



ALINA FEDOROWICZ MARTA

Na dawnych szlakach. Młody las
Opowieść prawdziwa z lat wojny
Zapiski sanitariuszki Oddziału Partyzanckiego
„Zenona” (marzec–sierpień 1944)

ARCHIWUM PAŃSTWOWE W LUBLINIE

Z
źródła lubelskie

Na dawnych szlakach. Młody las
Opowieść prawdziwa z lat wojny
Zapiski sanitariuszki Oddziału Partyzanckiego
„Zenona” (marzec–sierpień 1944)



TOM 2

REDAKTOR SERII

Piotr Dymmel

W SERII UKAZAŁY SIĘ:

1. Józef Siwiński, „Wracać do Was i klepać biedę nie myślę...” Listy z Syberii 1873–1879, oprac. E. Niebelski, Lublin 2013.



ALINA FEDOROWICZ MARTA

Na dawnych szlakach. Młody las

Opowieść prawdziwa z lat wojny

Zapiski sanitariuszki Oddziału Partyzanckiego
„Zenona” (marzec–sierpień 1944)

OPRACOWALI I WYDALI *Mariusz Bechta i Dariusz Magier*

WYDAWCA

*Archiwum Państwowe w Lublinie
Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych*

REDAKCJA TOMU

Piotr Dymmel

RECENZENT

dr hab. Rafał Wnuk

Copyright by Archiwum Państwowe w Lublinie, 2014

ISBN 978-83-64806-33-9

ISBN 978-83-938833-4-9

ADIUSTACJA

Maria Masłowska

OKŁADKA

*Grafika na okładce pochodzi ze „Szkicownika prof. Ludwika Maciąga z lat 1938–1941”
Muzeum Południowego Podlasia, nr inw. S/2726/MBP, fot. Tadeusz Żaczek*

PROJEKT OKŁADKI, SKŁAD

Studio Format / studioformat.pl

DRUK

Petit / petit.lublin.pl

Dofinansowano ze środków Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych

Spis treści

PRZEDMOWA	7
WSTĘP. NAD EDYCJĄ WSPOMNIEŃ ALINY FEDOROWICZ	9

NA DAWNYCH SZLAKACH. MŁODY LAS

OPOWIEŚĆ PRAWDZIWA Z LAT WOJNY	25
Prolog	27
Patrol	28
W kurierskiej służbie	31
Wolne święto	35
Chłopcy spod znaku dywersji i buntu	38
Ludzie i zwierzęta	45
Piosenką i humorem	50
Szlakiem Powstańców Styczniowych	61
Podlaski szlak	66
Amerykanie	69
Sztandar	77
Obława	82
Zielone... szumiące meliny	90
Jeńcy	94
Obozy i meliny	97
Front	108
Apel poległych	122
Epilog	128

ZDJĘCIA	131
ANEKSY	137
Aneks nr 1	137
Aneks nr 2	
Przygody lotników amerykańskich	
zestrzelonych nad Polską	141
Aneks nr 3	
Miejsca kwaterowania OP „Zenona”	
w okresie objętym opowiadaniem „Marty”	155
Aneks nr 4	
Wykaz pseudonimów występujących w tekście	158
BIBLIOGRAFIA	161
INDEKSY	163
Indeks osób	163
Indeks miejscowości	167

Przedmowa

„Źródła Lubelskie” są najmłodszą serią edytorską wydawaną przez Archiwum Państwowe w Lublinie. W zamyśle jej twórców jest ona poświęcona tekstom z XIX i XX wieku, zarówno tym, które pochodzą z lubelskiego archiwum, jak i spoza jego zasobu, ale związanym tematycznie z Lubelszczyzną. Seria ta została zapoczątkowana opublikowaną w 2013 roku edycją listów pisanych z Syberii przez Józefa Siwińskiego w latach 1873–1879. Obecnie trafia do rąk Czytelników jej kolejny, drugi tom, zawierający edycję pisanych wspomnień Aliny Fedorowicz z końcowego okresu II wojny światowej. Został on przygotowany przez dr. Mariusza Bechtę, pracownika naukowego Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Warszawie i dr. hab. Dariusza Magiera, kierownika Archiwum Państwowego w Lublinie Oddział w Radziniu Podlaskim.

Wspomnienia te pochodzą z zasobu lubelskiego archiwum, a zachowały się w sposób zupełnie nieoczekiwany dla uczestników związanych z nimi wydarzeń. Autorka tych zapisków nie mogła przewidywać, że skonfiskowane przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa dzieło zachowa się i zostanie odkryte po wielu latach. Wraz z inną dokumentacją organów bezpieczeństwa trafiło do Archiwum Państwowego, gdzie zostało bezpiecznie przechowane dla badaczy i miłośników historii.

Edycja wspomnień Aliny Fedorowicz „Marty” jest opatrzona oryginalnym, wieloczęściowym tytułem *Na dawnych szlakach. Młody las. Opowieść prawdziwa z lat wojny. Zapiski sanitariuszki Oddziału Partyzanckiego „Zenona” (marzec–sierpień 1944)*. Autorka starała się zawrzeć w nim cały opis i sens swych doświadczeń i przeżyć z kilku przełomowych miesięcy 1944 roku, kiedy z jednej strony kończyła się wojna z Niemcami, a z drugiej zaczynał bój o Polskę. Była uważną i wnikliwą obserwatorką ludzi, czynów i wydarzeń, jednak nie miała w sobie zamięłowania kronikarskiego. Jej opowieść nie jest skrupulatnie prowadzonym dziennikiem, nie jest też dziełem historycznym systematycznie opisującym życie i walkę partyzanckiego oddziału. Najlepiej rzecz oddała sama autorka, nazywając swe dzieło opowieścią, a więc wypowiedzią osobistą, złożoną z luźnych wątków opartych o własne obserwacje

i rozumienie wydarzeń, w których była uczestnikiem. Co więcej w swojej narracji autorka nie stroni od form literackich, a że ma do tego i talent, i wiedzę, jako studentka filologii polskiej, spod jej ręki wyszedł utwór ciekawy poznawczo i zajmujący estetycznie. Ma on charakter zarówno źródła historycznego, jak i dzieła literackiego.

Po siedemdziesięciu latach od zakończenia wojny warto sięgnąć po wspomnienia osoby uczestniczącej w opisywanych wydarzeniach. Dla dzisiejszego czytelnika wydają się one dość odległe, niemniej jednak czytając zapiski Aliny Fedorowicz, możemy mieć pewność co do wierności osobistych obserwacji i poczucia autentycznych przeżyć.

Piotr Dymmel
Dyrektor Archiwum Państwowego w Lublinie

Wstęp

Nad edycją wspomnień Aliny Fedorowicz

Podstawa wydania i kontekst historyczny

Do rąk Czytelnika trafia edycja niezwyklego źródła historycznego, jakim jest wspomnienie, a wręcz – zgodnie z zamierzeniem i przekonaniem autora – opowieść o oddziale partyzanckim Armii Krajowej operującym nad Bugiem na Podlasiu wiosną i latem 1944 r.

Podstawą wydania jest tekst częściowo w formie rękopisu, częściowo maszynopisu, przechowywany w zasobie Archiwum Państwowego w Lublinie, w zespole archiwalnym: Związek Walki Zbrojnej – Armia Krajowa Okręg Lublin, w serii: Inspektorat Radzyń Obwód Biała Podlaska, tworzący jednostkę archiwalną o sygn. 197¹.

Już pobieżna lektura tych niepozornych zapisków, które zawierała teczką nosząca wówczas wielce nieprecyzyjny tytuł „Opowiadanie nieznaney osoby dotyczące działalności konspiracyjnej organizacji i oddziałów partyzanckich oraz teksty wierszy partyzanckich”, jej literacki język i głębia informacyjna świadczyły, że ich autor był nietuzinkowym członkiem oddziału, który uczestniczył w wielu ważnych dla polskiego podziemia niepodległościowego wydarzeniach. Zapiski dotyczyły bowiem Oddziału Partyzanckiego 34 pp (OP 34) pod dowództwem por. AK/kpt. WiN Stefana Wyrzykowskiego „Zenona”, utworzonego na początku grudnia 1943 r. Stanowił on dywersyjne zgrupowanie AK podporządkowane bezpośrednio Kierownictwu Dywersji („Kedyw”) Okręgu AK Lublin. Operował w Inspektoracie Rejonowym Radzyń, głównie w Obwodzie Biała Podlaska. Jego podstawowym zadaniem była ochrona radiostacji KG AK (krypt. R-31), obsługiwanej przez „cichociemnego” por. Stanisława Kujawińskiego „Żonkila”. Oddział rekrutował się z konspiratorów walczących wcześniej – w tworzonych doraźnie – patrolach dywersyjnych

¹ Archiwum Państwowe w Lublinie, zespół archiwalny nr 1072: Związek Walki Zbrojnej – Armia Krajowa Okręg Lublin (dalej: APL, ZWZ-AK).

Związku Odwetu. Od końca 1943 r. stał się zwartą jednostką partyzancką, stale powiększającą swe szeregi. W kwietniu 1944 r. ten stan doprowadził do utworzenia Oddziału Lotnego z wyodrębnioną tzw. drużyną radiową. W maju 1944 r. OL „Zenona” został przemianowany rozkazem inspektora ppłk. Romana Drewnowskiego „Romana” na Oddział Partyzancki 34 pp, a jego dowódcę awansowano do stopnia porucznika AK. Nie posiadał on stałej bazy, co było powodem przemieszczania się i kwaterowania w wielu miejscowościach i w obozowiskach leśnych. W końcu 1943 r. liczył 58 żołnierzy, w tym 3 oficerów, 28 podoficerów i 27 strzelców. Gwałtowny wzrost liczebności oddziału nastąpił wiosną 1944 r., wówczas gdy dołączył doń również autor opowiadania. W końcu marca 1944 r. odkomenderowano do Oddziału Lotnego „Zenona” miejscowe patrole Kedywu: grupę st. wachm. AK Stanisława Lewickiego „Rogali” i kpr. AK Roberta Domańskiego „Jara-cha”. Na początku czerwca liczył już ponad 200 ludzi, a w okresie lipcowej akcji „Burza” w powiecie Biała Podlaska osiągnął stan ok. 300 żołnierzy. Jego struktura opierała się na trzech pododdziałach (plutonach) i oddziale ochrony radiostacji KG AK. Wiosną 1944 r. utworzono w nim ponadto pluton ckm, łączności, drużynę minerską i zwiad konny. Po zakończeniu akcji „Burza” oddział stał się trzonem odtwarzanego I batalionu 34 Pułku Piechoty w ramach 9 Dywizji Piechoty AK. W obliczu nowych warunków społeczno-politycznych 11 sierpnia 1944 r. oddział „Zenona” rozformował się w lesie koło wsi Zawadki niedaleko Międzyrzecza Podlaskiego, a jego broń została zamelinowana. Po wejściu na te tereny wojsk sowieckich wielu oficerów i żołnierzy z oddziału przeszło do konspiracji antykomunistycznej w ramach Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, a następnie Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”. Straty własne podkomendnych „Zenona” przez cały okres okupacji niemieckiej w walce wyniosły 35 żołnierzy, z tego 12 konspiratorów w działaniach dywersyjnych przed utworzeniem stałego oddziału AK na początku grudnia 1943 r. Reszta: 23 zabitych i 30 rannych, przypada na czas do momentu wkroczenia na Podlasie Armii Czerwonej w końcu lipca 1944 r. i to im autorka poświęca swoją opowieść.

Ścisłe związki OP „Zenona” z regionem bialsko-podlaskim, a także jego istotne, nawet z ogólnokrajowego punktu widzenia, zadania, takie jak np. udział w maju 1944 r. w akcji osłonowej wydobywania z rozlewiska Bugu niewybuchu niemieckiej rakiety V2 – tajnego niemieckiego projektu zbrojeniowego czy przechwycenie załogi amerykańskiego bombowca B17G, zastrzelonego

przez niemieckie myśliwce w okolicach Międzyrzecz Podlaskiego w czerwcu 1944 r., skłaniały do bliższego zajęcia się tym materiałem archiwalnym. Przygotowując do wydania źródło historyczne, wydawcy przyświecały dwa główne cele: po pierwsze, zgłębienie dziejów tekstu i próba ustalenia jego autorstwa; po drugie, udostępnienie go dla szerszego kręgu odbiorców, również spoza grona historyków pasjonatów, regionalistów, uczniów, kombatanów oraz rodzin związanych z osobami przewijającymi się w zapiskach. Co do słuszności tego drugiego celu nie było żadnych wątpliwości. Relacja ta niesie bowiem istotne informacje o sposobach funkcjonowania zgrupowania partyzanckiego, wewnętrznej organizacji oddziału, jego kontaktach ze społeczeństwem, charakteryzuje poszczególnych akowców znanych dotąd jedynie z literatury naukowej, czyniąc ze spiżowych dotychczas postaci ludzi z krwi i kości. Dodatkowej wartości nadaje opowiadaniu niezwykle obrazowy, komunikatywny język, a sama narracja przeplatana jest oryginalnymi wierzeniami powodującymi, iż wychodzi ona już poza ramy jedynie źródła historycznego i staje się swoistym dziełem literackim odtwarzającym rzeczywiste wydarzenia, niezwykle istotne dla mieszkańców opisywanych terenów. Poza tym materiał ten nie był dotąd publikowany i nie funkcjonuje w literaturze przedmiotu.

Dzieje i autorstwo źródła

Odtwarzanie historii anonimowego opowiadania wiązało się ściśle z dziejami zespołu archiwalnego ZWZ-AK Okręg Lublin, który trafił do zasobu Archiwum Państwowego w Lublinie w 1990 r. z archiwum Wydziału „C” Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Lublinie. Dokumentacja ZWZ-AK trafiła w ręce organów bezpieczeństwa PRL drogą konfiskat przeprowadzanych w latach 1946–1949 przez Powiatowe Urzędy Bezpieczeństwa Publicznego z terenu Lubelszczyzny, kiedy prowadziły one bezpardonową walkę z podziemiem antykomunistycznym. Materiały te służyły do zbierania informacji i sporządzania charakterystyk członków konspiracji niepodległościowej aż do końca trwania systemu komunistycznego w Polsce. To w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie wszystkie te dokumenty zostały zebrane w jeden zbiór. Początkowo znajdowały się w gestii zajmującego się techniką operacyjną i kartoteką Referatu II, przekształconego następnie

w Wydział II. W 1954 r. zmieniono go w Wydział Techniki Operacyjnej i Kartoteki, potem Wydział Ewidencji Operacyjnej, Statystyki i Archiwum WUBP w Lublinie, który następnie funkcjonował jako Wydział ds. Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie. W 1964 r. znalazły swe miejsce w archiwum KW MO w Lublinie, a od 1983 r. w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Lublinie².

Opowiadanie powstało najprawdopodobniej „na gorąco”, w 1945 lub 1946 r., w podzięcie dla kolegów z oddziału – co zostało wyrażone w pierwszych słowach tekstu – oraz ku pamięci poległych i pokrzepieniu serc ich rodzin: „Wszystkim najbliższym naszych poległych kolegów chcemy być serdeczną rodziną, a matkom, których nic nie pocieszy – synami”³. Rękopis i częściowo maszynopis powieści był przechowywany w archiwum Obwodu WiN Biała Podlaska. 7 grudnia 1946 r. wpadł on w ręce funkcjonariuszy PUBP w Białej Podlaskiej podczas rewizji w zabudowaniach Ludwika Sacewicza w Kolonii Mokre (gm. Rossosz). Znajdował się w jednej z czterech blaszanych puszek umieszczonych w ogniotrwałej skrzynce⁴. W ramach czynności śledczych i przygotowawczych do procesu komendanta Obwodu WiN Biała Podlaska kpt. Leonarda Dunicza „Świta”, podczas rutynowych oględzin dowodów rzeczowych w gmachu WUBP w Lublinie, w obecności ujętego oficera podziemia zostało to odnotowane w protokole z 10 kwietnia 1947 r. (poz. 12) pod zapisem: „Maszynopisy pt. *Na dawnych szlakach młody las* na 27 kartach”⁵. Zapewne wtedy na jednej z kart rękopisu złożył on adnotację, która ostatecznie pozwoliła na zidentyfikowanie autora powieści, o treści: „Jest to rękopis Marty z czasów okupacji niemieckiej. Dunicz”⁶. Pseudonim „Marta” nosiła w Oddziale Partyzanckim „Zenona” sanitariuszka Alina Fedorowicz z d. Kłopotowska, 1 voto Tuzowa, 2 voto Chrzanowska (ur. 1913; zm. 2002). W okresie uczestnictwa w podziemiu niepodległościowym podczas okupacji niemieckiej używała również pseudonimu „Mandarynka”,

² Ł. Mulak, *Wstęp do zespołu Związek Walki Zbrojnej – Armia Krajowa Okręg Lublin*, APL 2008, s. 16–17.

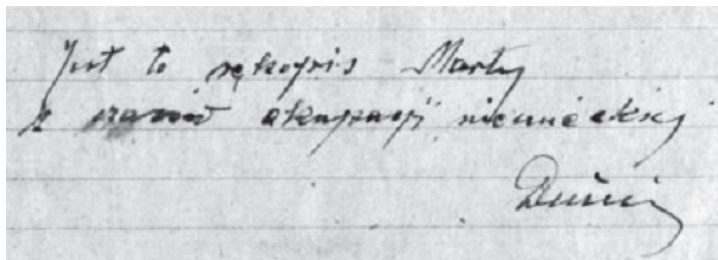
³ APL, ZWZ-AK, sygn. 197, s. 96.

⁴ Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Lublinie (dalej: IPN Lu-), Sąd Rejonowy w Lublinie, sygn. IPN Lu-17/507 (d. sygn. 559/47), k. 11, Akta śledcze w sprawie Leonarda Dunicza, Protokół rewizji (odpis) z 7 XII 1946 r.

⁵ Tamże, k. 12, Protokół oględzin z 10 IV 1947 r.

⁶ APL, ZWZ-AK, sygn. 197, s. 101.

a po wejściu Sowietów „Pokrzywa” i „Katusza”. Nazwiska konspiracyjne: Helena Zadrożna, Alina Wirska.



Adnotacja kpt.
WiN Leonarda
Dunicza ps.
„Świt” na
rękopisie
opowiadania.
Zob. przyp. 5.

„Marta” urodziła się 18 stycznia 1913 r. przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie w rodzinie rzymskokatolickiej (ochrzczona 12 sierpnia 1920 r. w parafii Najświętszego Zbawiciela w Warszawie). Była córką ziemianina Stanisława Kłopotowskiego i Janiny z d. Plewako. Przed I wojną światową jej ojciec (z zawodu inżynier agronom) dzierżawił majątek Perki pod Kobryniem na Polesiu. Po wybuchu wojny został powołany do armii rosyjskiej, ona zaś wraz z matką jesienią 1915 r. została przymusowo wysiedlona ze spalonego dworu przez cofające się w głąb imperium wojska rosyjskie. Przebywała w Moskwie, Bobrujsku, Smoleńsku i Wiaźmie. Po dojściu bolszewików do władzy w październiku 1917 r. Kłopotowscy – dołączył już wtedy ojciec – z córką i jej młodszym bratem Jerzym uciekli na Ukrainę. Z Kijowa dotarli do Białogrodki na Wołyniu, skąd latem 1918 r. wyjechali transportem kolejowym z Szepietówki do Warszawy. Powrócili do zniszczonego majątku na Polesiu w połowie 1919 r. i zamieszkali w dzierżawionym folwarku Gubernia pod Kobryniem. W lipcu 1920 r. Alina razem z matką i bratem, ojciec bowiem został zmobilizowany do 16 Pułku Ułanów Wielkopolskich, kolejny raz zbiegli przed bolszewikami. Przez most na Bugu dotarli do majątku Nowina pod Pratulinem na Podlasiu, skąd na drugi dzień wrócili do strefy przyfrontowej za Bugiem. Ze stacji kolejowej w Kobryniu ewakuowali się na zachód i przybyli do Warszawy.

Alina Fedorowicz
z d. Kłopotowska ps. „Marta”.
Źródło: www.fedorowicz.plewako.pl



Po wojnie polsko-bolszewickiej Kłopotowscy rozeszli się. Alina została przy matce. Zamieszkała w Warszawie w domu ojczyma Antoniego Jałowskiego. Od 1924 r. pobierała edukację w Gimnazjum im. Królowej Korony Polskiej u ss. Niepokolank w Nowym Sączu, gdzie mieszkała w internacie. Udzielając się w amatorskim szkolnym teatrze, rozbudziła w sobie zainteresowania literaturą. Jako siedemnastolatka debiutowała artykułem *W rocznicę niepodległości* na łamach krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” z 12 listopada 1930 r. Zdała maturę i otrzymała świadectwo dojrzałości 13 czerwca 1931 r. Studia polonistyczne podjęła na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego (nr albumu 38 322). W latach 1932/1933 odbyła kurs bibliotekarski z roczną praktyką w bibliotekach publicznych w stolicy. Studiowała z przerwami i z powodu wybuchu II wojny światowej nie złożyła ostatnich egzaminów na stopień magistra filologii w zakresie filologii polskiej. Politycznie przeciwna była akademikom orientacji

narodowo-radykalnej, będąc przedstawicielką lewicy sanacyjnej, sympatyzowała z nurtem liberalno-demokratycznym ze szczególnym naciskiem na walkę o równouprawnienie płci. Przewodniczyła Sekcji Akademiczek w Polskim Stowarzyszeniu Kobiet z Wyższym Wykształceniem. W latach 1932–1939 pracowała w Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet (wydział spraw kobiecych). Od 1937 r. była zatrudniona dorywczo w wydawnictwie Polskiego Touring Klubu (PTK). W 1938 r. w ramach stażu dziennikarskiego wyjechała na przyłączone przez Polskę Zaolzie.

W 1935 r. Alina Kłopotowska wyszła za mąż za lekarza Jerzego Tuza (1910–1987) z Białej Podlaskiej, lecz małżeństwo rozpadło się w 1938 r. Po jego unieważnieniu przed konsystorzem ewangelicko-reformowanym w Wilnie w maju 1939 r., po raz drugi wyszła za mąż 15 czerwca 1939 r. w obrządku greckokatolickim za dr. med. Jakuba Chrzanowskiego (1910–1940) z Zaklikowa. Nowożeńcy przeprowadzili się do Warszawy, gdzie Chrzanowski, absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego z 1935 r., pracował w klinice chorób wewnętrznych. Ponadto był absolwentem Szkoły Podchorążych Sanitarnych w Warszawie, którą ukończył z dziesiątą lokatą w 1935 r. Mianowany został ppor. ze starszeństwem od 1 stycznia 1936 r. i otrzymał przydział do 71 pp w Zambrowie, z którym odbywał ćwiczenia rezerwy w charakterze lekarza baonu. Na początku sierpnia 1939 r. został skierowany do opustoszałego garnizonu przy ulicy Szubińskiej w Bydgoszczy, gdzie przydzielono go na zastępcę lekarza sztabowego w ośrodku 16 Pułku Ułanów Wielkopolskich im. gen. Gustawa Orlicz-Dreszera, który już wymaszerował na wyznaczone miejsca koncentracji w Borach Tucholskich. W końcu sierpnia 1939 r., jako podporucznik rezerwy służby sanitarnej, otrzymał kartę mobilizacyjną do Sokółki (woj. podlaskie) koło Grodna. Wraz z jednostką brał udział w walkach z Niemcami pod Łomżą, z którą potem wycofany został do Wołkowyska. Po agresji sowieckiej udał się na koncentrację sił polskich w Kowlu. Atakowany przez ukraińskich dywersantów przeszedł na lewy brzeg Bugu i został wzięty do niewoli najprawdopodobniej pod Tomaszowem Lubelskim (po 26 września). Został osadzony w obozie w Szepietówce, skąd wywieziono go do obozu w Starobielsku (poz. 3566). Przez adwokata zaopatrzonego w specjalne pismo niemieckiego komisarza Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie żona bezskutecznie starała się przez ambasadę niemiecką w Moskwie wyreklamować męża z obozu NKWD. Zamordowano go w Charkowie przez NKWD w kwietniu 1940 r.

11 sierpnia 1939 r. Alina Chrzanowska wyjechała pociągiem z Warszawy do Łucka do spokrewnionej z nią Ewy Małaszkievicz – właścicielki majątku Stare Koszary pod Kowlem na Wołyniu. 19 września, na krótko i po raz ostatni, podczas ewakuacji jednostki wojskowej jej męża, która utknęła w zatorze na linii kolejowej Kowel–Dorohusk, spotkała się z nim w majątku. Rychło przeżyła wkroczenie jednostek Armii Czerwonej i grabież własności przez miejscowy „rewkom”. Po kilku tygodniach pobytu w czworakach dworskich, do których została wyrzucona z drewnianego dworku, w obawie przed deportacją na wschód starała się nielegalnie przekroczyć granicę sowiecko-niemiecką na Bugu. Pierwsza próba przejścia przez „zieloną granicę” pod Białymstokiem nie udała się, musiała wycofać się do Kowla, następnie wyjechała do Brześcia. 15 grudnia 1939 r. przeszła granicę pod ogniem sowieckiej służby granicznej koło Łap, w kierunku Małkini w Generalnym Gubernatorstwie. W grudniu 1939 r., w okresie świąt Bożego Narodzenia, dotarła do Warszawy. Po Nowym Roku, dzięki pomocy prezesa Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża dr. Władysława Gorczyckiego, podjęła pracę społeczną w Biurze Informacyjnym PCK w charakterze urzędniczki w Sekcji Pomocy Jeńcom – Koło Pomocy Jeńcom na Wschodzie. Posługiwała się legitymacją (*ausweisem*), która pozwalała na większe poczucie bezpieczeństwa podczas kontroli ulicznych przeprowadzanych przez okupanta. Na Podlasiu zajmowała się zbieraniem informacji o losach polskich oficerów wziętych do niewoli sowieckiej od wracających żołnierzy. Do konspiracji przystąpiła 2 lutego 1940 r. w Warszawie, rozpoczynając działalność w Organizacji Bojowej „Grunwald”/„Unia” scalonej następnie z ZWZ, by wreszcie znaleźć się w strukturze Armii Krajowej. Od lutego do połowy lipca 1940 r. w granicznym Terespolu nad Bugiem na stacji kolejowej prowadziła placówkę Zarządu Głównego PCK, która opiekowała się jeńcami przekazywanymi sobie przez sojuszników wówczas Niemcy i ZSRS. Organizowała wśród miejscowej ludności doraźną pomoc żywnościową jeńcom WP osadzonym w obozie przejściowym (na tzw. kwarantannie) w Małaszewiczach. Byli to szeregowcy pochodzący z Pomorza, Śląska i Wielkopolski przekazani stronie niemieckiej, którzy byli potem osadzani w stalagach w Rzeszy, oraz jeńcy polscy pochodzący z ziem anektowanych przez Sowieców i przekazywani władzom ZSRS.

W końcu lipca 1941 r., z polecenia generałowej Marii Bortnowskiej (kierownika Biura Informacji PCK) dotarła do Białej Podlaskiej z misją zdobycia kolejnych wiadomości o losie polskich oficerów wziętych do niewoli

sowieckiej we wrześniu i październiku 1939 r. W ramach pracy konspiracyjnej dostała także przydział do komórki wywiadu ZWZ w Makarówce (obserwacja ruchów wojsk niemieckich w związku z atakiem na Związek Sowiecki). Zamieszkała u szwagierki w majątku Bachorzy. Została zatrudniona w charakterze kelnerki w restauracji „Cafe 3” przy ulicy Dreszera 40 (obecnie ul. Łomaska) w Białej Podlaskiej. Dzięki znajomości języka francuskiego nawiązała znajomość z niemieckim lekarzem – doktorem kpt. Edwardem Blassem z Kolonii, który pracował w polowym szpitalu Wehrmachtu. Gdy otrzymał on przydział do szpitala w rejonie Smoleńska, obiecał Polce, że zdobędzie jakieś informacje mogące ustalić los jej męża przebywającego w niewoli sowieckiej. Uzgodnili między sobą specjalny kod słowny pozwalający uniknąć dekonspiracji w przypadku cenzury poczty frontowej. W październiku 1941 r. na jej warszawski adres (ul. Szczygła 1A m. 7) dotarł list, w którym niemiecki oficer poinformował, że wiosną 1940 r. polscy oficerowie zostali zamordowani i pochowani w lesie katyńskim pod Smoleńskiem. W tym czasie przekazała też dr Emilii Grocholskiej z PCK raport kpt. Henryka Cieślukowskiego z 9 pał w Białej Podlaskiej o zbrodni katyńskiej. Od lata 1940 r. oficer ten więziony był w obozie w Kozielsku, gdzie poznał szczegóły zbrodni sprzed kilku miesięcy. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności przeżył masakrę kolumny więźniów dokonanej przez eskortę NKWD podczas panicznego odwrotu w czerwcu 1941 r. na „drodze śmierci” Mińsk–Iłumień (Czerwień) i zbiegł na niemiecką stronę frontu, skąd został przewieziony do Białej Podlaskiej.

Rychło, bo w sierpniu 1941 r., po wykonaniu zadania zrezygnowała z pracy kelnerki. Wróciła do Warszawy i podjęła pracę zarobkową w jadalni przy ulicy Marszałkowskiej (do 1943 r.). Nadal pozostała w ścisłym kontakcie z PCK. Utrzymywała się z handlu wymiennego na wyjazdach na Podlasie. Równolegle przewoziła konspiracyjną prasę i rozkazy jako łączniczka Oddziału Leśnego por. Stefana Wyrzykowskiego „Zenona” w Obwodzie AK Biała Podlaska (placówka Makarówka) w Inspektoracie Rejonowym AK Radzyń Podlaski. Zimą 1943/1944 r. okresowo mieszkała w Białej Podlaskiej.

W marcu 1944 r. dostała rozkaz zorganizowania w ramach Wojskowej Służby Kobiet drużyny sanitarnej. Po ukończeniu przyspieszonego kursu sanitarnego w Ubezpieczalni Społecznej w Warszawie, po przejściu podstawowego przeszkolenia wojskowego została dowódcą tej drużyny, którą zorganizowała od podstaw w ramach OP I/34 por. Stefana Wyrzykowskiego „Zenona”. Prócz niej tworzyli ją: sanitariusz kpr. Stanisław Koc „Atleta”

i student medycyny z Warszawy kpr. pchor. Zbigniew Papliński „Doktor Ruski”. Do dyspozycji miała dwa wozy do przewożenia rannych i sprzętu. Powozili nimi: kozak Fiodor Pticew „Fiedia” i warszawianin Tadeusz Chojewski „Chojar”. W lipcu 1944 r., tuż przed akcją „Burza”, dołączyły jeszcze dwie sanitariuszki: strz. Mirosława Wardzińska-Gawrońska „Mirka” z Terespoła (sanitariuszka w twierdzy brzeskiej we wrześniu 1939 r.) oraz strz. Henryka Lipko-Hardygóra vel Galińska „Grażyna”. Pieczę nad zdrowiem oddziału sprawował lekarz, por. Paweł Zodrow „Doktor Mruczek” z Kornicy. W razie konieczności korzystano też z pomocy dr. Witolda Wróblewskiego z Łosic i dr. Zbigniewa Gałązki z Siedlec. Na identyczną pomoc mogli liczyć z Komendy Obwodu AK Biała Podlaska (lekarze Krajewski, Mroczkowski i kpt. Jan Płoński).

30 czerwca 1944 r. wzięła udział w krwawej bitwie oddziału AK z Niemcami pod Jeziorami (pow. siedlecki). Podczas wyjazdu służbowego do Białej Podlaskiej przypadkowo 19 lipca 1944 r. została zatrzymana na ulicy przez patrol Gestapo. Uratował ją gestapowiec feldfebel Otto Gruber, który pracował dla wywiadu alianckiego i posiadał kontakty z podziemiem AK. Na początku lipca 1944 r. na odprawie w Białej Podlaskiej inspektor rejonowy płk Stefan Drewnowski „Roman” mianował ją – zgodnie z sugestią ustępującej ze stanowiska Marii Sędzimir „Aliny” – komendantką służby sanitarnej z ramienia WSK w Inspektoracie na okres akcji „Burza” i w odtwarzanej 9 Podlaskiej Dywizji Piechoty AK. Jednak na własną prośbę została zwolniona z tego stanowiska przez gen. bryg. Ludwika Bittnera „Halkę” i wróciła do OP I/34 „Zenona” (potem I/34 pp AK).

Po wejściu Armii Czerwonej do Białej Podlaskiej pozostała w konspiracji antykomunistycznej. Od października 1944 do września 1945 r. była łączniczką kpt. Stefana Wyrzykowskiego „Saszy”, komendanta Obwodu AK-WiN Biała Podlaska. Z dniem 24 września 1944 r. została przez niego awansowana do stopnia st. strzelca. Wniosek ten czekał na rozpatrzenie od czasu okupacji niemieckiej. W połowie sierpnia 1944 r., razem z dowódcą „Zenonem” i jego rodzonym bratem kpr. pchor. Zbigniewem Wyrzykowskim „Granatem”, brała udział w ukryciu broni w rejonie wsi Zawadki (pow. białkopodlaski). 19 grudnia 1944 r. cała trójka wpadła w ręce sowieckiego kontrwywiadu „Smiersz” we wsi Kornica (pow. siedlecki). „Granat” zdołał zbiec podczas strzelaniny, zaś „Marta” z „Zenonem” zostali przewiezieni do więzienia sowieckiego w Siedlcach. Na przesłuchaniach starała się udawać

nierozgarniętą wiejską kobietę, która przypadkowo została przez nich zatrzymana. Poddawana była silnej presji psychicznej, zainscenizowano jej egzekucję przy użyciu ślepej amunicji w piwnicy katowni. Po trzech dniach aresztowania oboje zostali warunkowo zwolnieni po przyjęciu przez „Zenona” postawionych warunków w sprawie ujawnienia reszty konspiratorów pozostających na wolności, wydania broni i amunicji. Dla uwiarygodnienia intencji „Zenon” miał doprowadzić do zwolnienia przez „Smiersz” z więzienia około trzydziestu konspiratorów AK. W Wigilię Bożego Narodzenia 1944 r. odbyła się sfingowana przez „Zenona” odprawa w Białej Podlaskiej. Jej uczestnikom udało się uśpić czujność prześladowców i zbiec przed wyznaczonym terminem obowiązkowego stawienia się w placówce NKWD w mieście. Na rozkaz „Zenona” zdekonspirowani przez Sowieców i bezpiekę żołnierze AK 27 grudnia 1944 r. mieli jednocześnie zniknąć z zagrożonego terenu. W obawie przed powtórным zatrzymaniem „Marta” została wraz z trzema innymi konspiratorami przerzucona w transporcie wysiedleńczym do Lublina, a stamtąd na rozkaz dowództwa Okręgu AK Lublin wyjechała na Zamojszczyznę (styczeń – połowa lutego 1945 r.). Na początku marca 1945 r. wróciła do Białej Podlaskiej i dostała przydział jako sanitariuszka do oddziału samoobrony AK pod dowództwem ppor. cz. w. Roberta Domańskiego „Floriana”. Po bitwie z jednostką NKWD pod Ogrodnikami w pobliżu Konstantynowa nad Bugiem (pow. białkopodlaski) 8 kwietnia 1945 r., z powodu ropiejących ran nóg, przeszła na stanowisko oficera oświatowego Biura Informacji i Propagandy w Komendzie Obwodu Biała Podlaska. W maju/czerwcu 1945 r. została redaktorką lokalnego pisma AK-WiN „Reduta”, które regularnie ukazywało się do końca grudnia 1945 r. Zajmowała się korektą tekstów, lecz przede wszystkim pisała w nim formacyjne, ideowo zaangażowane artykuły wstępne, np. *Z ziemi włoskiej do Polski...* („Reduta” nr 34 z 9 sierpnia 1945 r.). Rozkazem płk. dypl. Jana Rzepeckiego „Wojnara” – delegata Delegatury Sił Zbrojnych w Kraju – z 1 czerwca 1945 r. otrzymała Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami („Rozkaz Personalny Nr 177”). Inspektor Inspektoratu Rejonowego AK-WiN Radzyń mjr Jan Szatowski-Szatyński „Jemioła”, na podstawie upoważnienia Komendanta Sił Zbrojnych w Kraju, awansował ją „Rozkazem personalnym nr 7” z 20 sierpnia 1945 r. na stopień kaprała (poz. 17, ze starszeństwem z dniem wydania rozkazu). W ankiecie ujawnieniowej z 1947 r. podała stopień wojskowy ppor. cz. w., którym zakończyła służbę.

30 grudnia 1945 r. u kowala w Pojelicach koło Swór funkcjonariusze UB z Białej Podlaskiej skonfiskowali maszynę drukarską tzw. pedałówkę, czcionki i dwa powielacze (członkowie redakcji ocalili, przebywali bowiem na kilkudniowym urlopie). W końcu stycznia 1946 r. bezpieka zatrzymała szefa BiP – por. Stanisława Lechocińskiego „Zbigniewa” i zecera Cecyliana Szabelskiego „Samsona”. Reszta dalej się ukrywała. W kwietniu 1946 r., będąc w ciąży, opuściła Podlasie ze świeżo poślubionym mężem (ślub cywilny zawarty 26 stycznia 1946 r. w Sworach) plut. Eugeniuszem Fedorowiczem (1919–1968) „Starym”, żołnierzem z drużyny radiowej por. Stanisława Kujawińskiego „Żonkila” w OP I/34 i kierownikiem technicznym „Reduty”. W maju 1946 r. dotarli do Kłodzka, a potem osiedlili się w Polanicy Zdroju na Dolnym Śląsku. Małżeństwo Fedorowiczów przybrało fałszywe nazwisko Wirskich. Fałszywe dokumenty wystawił im sołtys Huszlewa. Ujawnili się oboje w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Kłodzku ostatniego dnia obowiązywania ustawy amnestyjnej, tj. 15 kwietnia 1947 r. Od stycznia 1947 r. „Marta” (podobnie jak mąż) pracowała w Państwowym Zarządzie Uzdrowiska w Polanicy Zdroju na stanowisku referenta personalnego, z którego została zwolniona. We wrześniu 1949 r. objęła stanowisko wicedyrektora Szkoły Zdobienia Szkła w Szczytnej Śląskiej, pełniąc jednocześnie do 1 września 1950 r. funkcję referenta kulturalno-oświatowego w polanickim uzdrowisku. We wrześniu 1950 r. przeszła do szkolnictwa specjalnego, pracując w miejscowym sanatorium w charakterze nauczycielki i kierownika pedagogicznego w prewentorium.

Wstąpiła do PPS, a po kongresie zjednoczeniowym z PPR została członkiem PZPR, z której szeregów, jako osoba z konspiracyjną przeszłością, została usunięta już niewiele ponad rok później. Nie pozwolono jej wznowić studiów polonistycznych na UW, jednak w 1950 r. zapisała się na studia zaoczne w Państwowym Studium Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. W roku szkolnym 1952/1953 zdała eksternistycznie egzamin końcowy przed Państwową Komisją Egzaminacyjną. Przedłożyła pracę dyplomową pt. „Organizacja pracy dydaktyczno-wychowawczej w Domu Dziecka w Polanicy” i 11 marca 1955 r. otrzymała dyplom dający jej uprawnienia nauczyciela szkół specjalnych dla przewlekle chorych. W związku z zaangażowaniem męża – aktora krakowskiego Teatru Młodego Widza (potem Teatru Rozmaitości) – małżeństwo Fedorowiczów z dwoma synami, Maciejem i Jerzym, przeniosło się we wrześniu 1955 r. do Radziszowa koło Krakowa. Latem 1956 r. przeprowadzili się na ulicę Krakowską w Krakowie. Pracowała początkowo (od czerwca

1956 r.) jako nauczycielka w szkolnej klinice dziecięcej Akademii Medycznej w Krakowie, a potem od listopada 1960 r. tworzyła od podstaw, jako dyrektor placówki, szkołę specjalną i przedszkole w Szpitalu im. Stefana Żeromskiego w Nowej Hucie. W styczniu 1966 r. została skierowana do Instytutu Pediatrii AM w Krakowie Prokocimiu, gdzie ponownie zorganizowała przedszkole i szkołę. W Instytucie Pediatrii pracowała do przejścia na wczesną emeryturę w 1972 r. Działaczka ZSL w Krakowie, do którego wstąpiła w chwili objęcia stanowiska kierowniczego w nowohuckim szpitalu. Członek ZBoWiD w Krakowie, inwalida wojenny I grupy.

Na polecenie WUBP we Wrocławiu była rozpracowywana od 1949 r. przez funkcjonariuszy PUBP w Kłodzku. W drugiej połowie 1950 r. znalazła się w kręgu zainteresowania MBP w Warszawie. Po wyjeździe z Polanicy Zdroju była inwigilowana przez WU ds. BP (potem KW MO) w Krakowie. Pozostała pod obserwacją komunistycznej policji politycznej do instytucjonalnego końca PRL, zwłaszcza w okresie stanu wojennego w latach 80. W latach 70. XX w. napisała niepublikowane dotąd wspomnienia *Przygody z Ojczyzną*, w których wraca pamięcią do rodzinnych i osobistych spraw z okresu obu wojen światowych.

Zaangażowana w podtrzymywanie więzów środowiskowych wśród byłych partyzantów AK-WIN na Podlasiu w PRL i III RP. Animowała razem z ks. kanonikiem Romanem Soszyńskim i o. Eustachym Rakoczym spotkania towarzyszy broni w klasztorze oo. Paulinów w Leśnej Podlaskiej. Razem z ks. Stefanem Niedzielakiem, zamordowanym później przez „nieznanych sprawców”, tworzyła w latach 80. XX w. Sanktuarium „Poległym i Pomordowanym na Wschodzie” przy kościele pw. św. Karola Boromeusza na Powązkach w Warszawie. Organizatorka Rodziny Katyńskiej w Krakowie.

Otrzymała wiele odznaczeń nadanych przez rząd polski w Londynie: Medal Wojska (15 sierpnia 1948 r.), Krzyż Walecznych (30 grudnia 1949 r.) i Krzyż Armii Krajowej (14 listopada 1970 r.).

Zmarła 18 grudnia 2002 r. w Krakowie. Pochowana została na Cmentarzu Rakowickim. W ostatniej drodze towarzyszyli jej partyzanci z oddziału „Zenona”, mieszkańcy Krakowa oraz kompania honorowa Wojska Polskiego. W 2013 r. Szkoła Podstawowa nr 108 wchodząca w skład Zespołu Szkół Specjalnych nr 3 Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Krakowie, na prośbę grona pedagogicznego, uchwałą Rady Miasta Krakowa otrzymała imię Aliny Fedorowicz. Jest ona również patronką jednej z ulic w Białej Podlaskiej.

Zasady edycji

Edycję przygotowano zgodnie z *Projektem instrukcji wydawniczej dla źródeł historycznych XIX i początku XX wieku*⁷ oraz – ze względu na jego formułę – również z wykorzystaniem pewnych elementów instrukcji do edycji tekstów literackich⁸. Tekst został odczytany i złożony w całość, gdyż okazało się, że luźne karty są przemieszane, ten sam pod względem treści materiał czasami powtarza się w rękopisie i maszynopisie, w jednostce znajdują się dokumenty niewchodzące w skład opowiadania i narracja kolejnych, następujących po sobie stron nie stanowi logicznego ciągu. Z tego względu zaznaczenie – zgodnie z instrukcją wydawniczą – początku każdej nowej strony pełni w tym przypadku dodatkową rolę porządkującą materiał archiwalny z uwagi na niepokrywającą się z rzeczywistą kolejnością opowiadania paginacją. Z uwagi na charakter materiału źródłowego i okoliczności jego powstania zrezygnowano z zaznaczania skreśleń, poprawek, dopisków itp., których ogromna ilość mogłaby sprawić, że tekst opowiadania straciłby swój – bardzo istotny w naszym przekonaniu – literacki charakter i przestał być czytelny, nie wnosząc przy tym żadnych istotnych z edytorskiego punktu widzenia informacji. Ograniczyliśmy się jedynie do zaznaczenia formy materiału pisarskiego (rękopis, maszynopis).

Tytuł całości, tytuły rozdziałów, śródtytuły oraz tytuły wierszy – o ile istniały, są zrozumiałe dla dzisiejszego czytelnika i uzasadnione literacko – pozostawiono oryginalne. Braki w tym zakresie zostały uzupełnione za pomocą kursywy, natomiast domyślne znaczenie uszkodzonych lub trudnych do odczytania fragmentów antykwą w nawiasie kwadratowym. Wyrazy innojęzyczne wyróżniono rozstrzelonym drukiem. Braki, których nie dało się uzupełnić, zaznaczono nawiasem kwadratowym oraz literowym przypisem tekstowym. Zapis niektórych słów i sformułowań został uwspółcześniony (nieliczne przypadki) oraz zastosowano interpunkcję dostosowaną do dzisiejszych zasad.

Cyfrowe przypisy rzeczowe odsyłają do źródeł lub literatury, objaśniają zdarzenia lub fakty oraz imiona, nazwiska i stopnie wojskowe osób

⁷ I. Ihnatowicz, *Projekt instrukcji wydawniczej dla źródeł historycznych XIX i początku XX wieku*, „Studia Źródłoznawcze”, t. 7 (1962), s. 99–124.

⁸ J. Starnawski, *Praca wydawcy naukowego*, Wrocław 1978.

wymienianych w tekście za pomocą pseudonimów. Stopnie wojskowe żołnierzy AK podane w przypisach odnoszą się do opisywanego przez autorkę okresu okupacji niemieckiej, czyli od marca 1944 r. do momentu wkroczenia Armii Czerwonej w końcu lipca 1944 r., i nie obejmują awansów z okresu walki z komunistami. Autorka często posługuje się szarżami będącymi wynikiem późniejszych awansów. Według jednego z przekazów pamiętnikarskich rozkazem z początku sierpnia 1944 r. gen. bryg. Ludwika Bittnera „Halki” (dowódcy 9 DP AK) wszyscy oficerowie, podoficerowie i żołnierze AK, którzy wzięli udział w walkach lipcowych w zwartych oddziałach, zostali automatycznie awansowani o jeden stopień wzwyż.

Na stronie tytułowej wykorzystano szkic członka OP „Zenona” Ludwika Maciąga⁹ ps. „Sas”, który również znalazł swoje miejsce w publikowanych zapiskach „Marty”, oraz zdjęcia z epoki ukazujące OP „Zenona”, zaczerpnięte z albumu *W matni. Z dziejów podziemia niepodległościowego na Podlasiu w latach 1939–1956* (red. M. Bechta, Biała Podlaska–Warszawa 2008).

Edycję wzbogacono aneksami, z których dwa pierwsze to materiał źródłowy dotyczący zestrzelenia przez Niemców amerykańskiego bombowca i przechwycenia lotników przez akowców, zaś dwa kolejne to wykaz miejsc kwaterowania OP „Zenona” w okresie opisywanym przez autorkę oraz wykaz pseudonimów wraz z identyfikacją osób pod nimi się kryjących. Wydawnictwo uzupełniają indeksy osób i miejscowości występujących w tekście.

* * *

Za pomoc w przygotowaniu książki szczególne podziękowania kierujemy do Żołnierzy AK-WiN: Antoniego Stasiuka ps. „Pień” z Poznania i Tadeusza Sobieszcza ps. „Dudek” z Siedlec. Ponadto za wsparcie w pozyskiwaniu materiałów i informacji serdecznie dziękujemy: Synowi Autorki publikowanego źródła Jerzemu Fedorowiczowi z Krakowa – posłowi na Sejm RP, dr. Tadeuszowi Krawczakowi – dyrektorowi Archiwum Akt Nowych w Warszawie, dr. Jerzemu Izdebskiemu, dr. Henrykowi Piskunowiczowi,

⁹ Ludwik Maciąg (1920–2007) – znany polski malarz i pejzażysta, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie; urodzony w Krakowie, dzieciństwo spędził w Białej Podlaskiej.

a także Violetcie Jarząbkowskiej i Mirosławowi Barczyńskiemu z Muzeum Południowego Podlasia w Białej Podlaskiej, Sławomirowi Kordaczukowi z Muzeum Okręgowego w Siedlcach, Danielowi Szczepaniakowi z Muzeum Regionalnego w Krotoszynie, Januszowi Maciągowi – wnukowi prof. Ludwika Maciąga, Wiesławowi Mikiciukowi z Sarnak i Sławomirowi Łukaszukowi z Łodzi.



Na dawnych szlakach. Młody las
Opowieść prawdziwa z lat wojny

Prolog

[s. 102] Kochani Chłopcy, z myślą o Was i dla Was przede wszystkim pisana jest ta opowieść. Więcej nawet, pisaliśmy ją bowiem jakby wszyscy razem. Wy jesteście jej życiem, jej prawdą, jej sensem. I dlatego dziękuję Wam i proszę, darujcie, jeśli nie wszystko jest może tak, jakbyście pragnęli... jeśli coś przeoczyłam czy nie zrozumiałam w Waszym życiu. Starałam się pisać rzetelnie, to znaczy w pokorze i w prawdzie Waszej małej, ślicznej epopei. Wielu z Was nie wymieniłam, wiele chwil nie utrwaliło się, może też ważnych... . Lecz opowiadając, miałam przed oczyma wszystkich Was, całą zwartą gromadę leśnych chłopców – Chłopców od „Zenona”¹.

^a*Do Ojczyzny*^a

Szliśmy do ciebie przez śniegi,
Przez zimę głuchą, pod wiatr.
Czy nie słyszałaś jak nocą
Tłukły się nasze szeregi,
Jak w ścieżkach idąc setkami,
Jeden stawialiśmy ślad?
Pamiętasz uśpioną szosą
Jeden posuwał się cień.
A było nas tysiąc i więcej...

¹ Por. AK/kpt. WiN Stefan Wyrzykowski (1916–1985) „Zenon”, „Sasza”, „Podbiał”, „Tata”. Uczestnik walk z Niemcami we wrześniu 1939 r. Związany z konspiracją od listopada 1939 r. Początkowo w OW-KB scaloną z AK w lipcu 1942 r. Działał w pionie dywersji Kedywu. Wiosną 1943 r. zorganizował lotną grupę leśną (OL I), która w kwietniu 1944 r. przekształcona została w OP I/34 (od końca maja 1944 r. podporządkowany Komendzie Obwodu AK Biała Podlaska). W czasie akcji „Burzy” walczył w rejonie Białej Podlaskiej. Brał udział w odtworzeniu I batalionu 34 pp AK. Po wejściu Sowietów został komendantem Obwodu AK-WiN Biała Podlaska od września 1944 do lutego 1946 r. Ujawnił się przed bezpieczeństwem w Warszawie w kwietniu 1947 r. Zatrzymany przez funkcjonariuszy BP 1 sierpnia 1952 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z 25 marca 1954 r. skazany na karę 12 lat więzienia. Zwolniony z zakładu karnego w połowie maja 1956 r.

^{a-a} Or. Od Miateżników do partyzanckich Banditen.

[s. 103] Wiosna sadami rozkwitła...
Więc w białym szaleństwie wiśni,
Gdy akcją kończył się dzień,
Nam się marzyła bitwa.
O boju, hetmańskim boju,
Na równinach szerokich, otwartych,
Pod słońcem, w huraganie dział!
Śniliśmy o rycerskim znoju,
O wspaniałych szanćowych wartach.

Patrol

Przychodzili wieczorami, późną godziną. Pukali ostrożnie w szyby i stawali na progu z deszczem, wichurą lub śniegiem, prosto z lasu, z głuchych rozdroży, z mroku zimowej nocy. Zmarznięci, często głodni, sponiewierani – przecież zawsze pełni wesela i humoru. Trochę włóczykije, trochę obieżyświaty... . Naprawdę groźni bojówkarze – dywersanci, lecz przede wszystkim żołnierze.

W taką jedną grudniową noc na pustkowiu raptem kołatanie w okiennice. Podchodzimy pod drzwi ganku:

– Kto tam?

– Otwórzcie. Swoi... Polacy.

Głosy młode, wesołe, sympatyczne. Inaczej dobija się wróg, inaczej prowokator. Inaczej bandyta. Otwieramy. Boże! W sieni stają po prostu polskie żołnierzyki. Wciągamy ich czym prędzej w krąg światła, ciepła i naszych rozradowanych serc. Co za zuchy! Wysokie buty, kozuszkę na połówkach, orzełki, uzbrojeni po zęby, uśmiechnięci od ucha do ucha. Przyszli w sprawie furażu², lecz chcieliby się rozgrzać, odpocząć.

Więc szykuje się pospiesznie posiłek, wyjeżdża na stół „Cieleśnica”³, a tymczasem oni gadają, dokazują i pyszną się jak na paradzie. Że to niby tak: Niemcy są tu i tam, i wszędzie, a oni sobie z nich gwizdzą i nieraz jeszcze

² Furaż – pasza dla koni wojskowych.

³ Alkohol produkowany w „Fabryce wódek i likierów Cieleśnica” w majątku położonym na północny-wschód od Białej Podlaskiej. Gorzelnia była własnością rodziny Różyckiego de Rosenwerthów. Po II wojnie światowej została upaństwowiona przez władze komunistyczne.

często gęsto przetrzępią, a co będzie dopiero dalej? Ho, ho...! Ze skupieniem, uroczyście prezentują automaty. Zdobyczne. A ręce mimo woli wyciągają się do tej broni, do tych orzełków.

– I czego pani beczy? Co?

Pytanie szorstkie, junacką pychą pokrywające wzruszenie. Bo sami wiedzą dobrze, może najlepiej, że to jest czterdziesty trzeci rok Pawiaka, Majdanka, Oświęcimia, publicznych egzekucji i straszliwych obław. Czwarty rok żelaznego ucisku, a ich jest garstka szalonych zapaleńców, którzy tak właśnie, otwarcie, w mundurach i z bronią idą w las, na przekór wszystkim i wszystkiemu – wierni obrońcy polskiego honoru.

Przy wieczerzy coraz gwarniej i weselej. Sypią się kawały, opowiadania o przygodach i wyczynach. Pada imię uwielbianego dowódcy... . Gawęda toczy się wartko, lecz zawsze w ostrożnym, konspiracyjnym języku. Tyle a tyle mogą wiedzieć zaprzyjaźnieni cywile – dla propagandy, dla pokrzepienia serc i... dla fasunku. Na zapytanie starszej pani, czy aby pamiętają i o Bogu, jeden z trzech zuchów wyciąga z zanadru, niezgrabnie a wstydliwie, maleńki mariański ryngraf z Matką Boską. Piastuje Ona Dzieciątko nad chorągwiami. I nagle ten medalik w dłoni młodziutkiego partyzanta zabłysnął wymarzoną w dzieciństwie daleką wizją: Uchyliła się nad głowami Grottgerowa Legenda. Szumią dalekie lasy i zasypuje ślady biały puszysty śnieg. Może za moment gdzieś w okno uderzy tajemniczo i nieodwołalnie ZNAK. I zatrwoży się na krótką chwilę młoda matka tuląca do piersi dzieciątka, lecz zaraz po tym obudzi znużonego czuwaniem ojca, bo już CZAS. I padną pierwsze strzały [s. 104] i poleje się szkarłatna, gorąca krew tych, co chcą być wolni! Jakiś blask bije z poczerńiałych, starych ryngrafów. Więc ściska się serce radością i bólem. Inny jest wróg, ci sami i ta sama miłość, i ta sama walka. Więc daj Wam, Boże, daj Wam, Boże, Chłopczy.

Cicho szumią lasu knieje

[s. 128] Cicho szumią lasu knieje

Cicho szumi stary dąb

Tam w gęstwinie coś się dzieje

Jakieś głosy słyszać w głąb

Głosy ciche przytłumione
Czasem gwizd rozlega się
Widać postacie strudzone
Każda w stronę lasu mknie

Co za siła ich tam goni
Co za moc jakaś tajemna
Co za zjawą są ci oni
Czy od Wisły czy od Niemna

Już znikają w cieniu drzew
Nie zbudzą nawet ptaszyn
Słuchać hasło albo zew
Stać! „Radzyń” – „Raszyn”

Co to wszystko znaczyć ma
Co w tym lesie mieści się
Kto na to odpowiedź da
Nikt nic nie wie o nie

[s. 129] Bo to sami sprzysiężeni
Na śmierć i na życie
Co przez wroga pogromieni
Wstają o wolności świcie

Oni tu się zgromadzają
By wysłować krzywdy swe
Z rdzy swe ostrza oczyszczają
Bo we krwi wykąpią się

O Najwyższy Litościwy
Miejże ich w opiece swej
Niech wyzwolą polskie niwy
Niech przepędzą wroga z nich

Jechało się do nich polnymi drogami, przez błota i roztopy wiosenne⁴, kłuczając od wsi do wsi, nie raz na przełaj, wśród rozrzuconych kolonii i małych podlaskich sadyb, aż po ciemną linię lasów spływających falisto do Bugu. Wózek skrzypiał i podskakiwał na balach rzuconych przez błota i zanurzał się aż po szprychy w topieli olbrzymich rozlewnych kałuż na groblach. A potem ogarnął nas las uroczysty i głęboki, szumiący... . Poruszamy się teraz przez kraj dziki i wolny. Tędy nie przejedzie ciężkie auto niemieckie, nie odważy się tu zapuścić żandarmeria ani wszechwładne gestapo. Nawet szpicel się nie przemknie, boi się niewidzialnych mścicieli, boi się groźnego poszumu tych lasów. Nie darmo, choć takie niewielkie, powstaje już o nich legenda i rzeczywiście dzieją się tu rozmaite, tajemnicze sprawy i włada tu inne prawo. Prawo leśnych ludzi.

O, na przykład w tym zagajniku na prawo, łączniczka wskazuje batem, dokonał się wyrok na dwojgu konfidentach. Przywieziono ich w gąszcz [wykonano wyrok], a potem zakopano. Z pięćdziesiąt metrów od drogi. Kwitną tu teraz tysiące zawilców i puszcza pierwszą zieleń młodziutka leszczyna. Znaku nie ma, śladu nie ma. Zniknęli gdzieś w dalekim mieście i tu znaleźli grób wiadomy tylko kilkorgu ludziom. Grób hańbiący i już zapomniany.

Jedziemy dalej. Droga wlecze się wśród czarnych, mokrych korzeni, pod sklepieniem kosmatych gałęzi świerkowych. Ciągnie chłodną kwietniową wiosną. Wesoło pokrzykują szpaki. Mijamy wielkie drzewo, na korze ma nacięty dziwny znak. Zostawiamy konia, idziemy szukać dalej. Znowu to samo wśród gęstwiny. Posuwamy się jak za indiańskim tropem. Jeszcze kilka kroków i nagle odkrywamy w zbitej masie jodeł doskonale zamaskowany bunkier. Naokoło cisza, ani śladu ludzi. Wycofujemy się jednak ostrożnie. Najprawdopodobniej Sowietci zbiegli z obozu lub partyzanci małego desantu. Któż odgadnie? Jakoż na potwierdzenie domysłu w krzakach mignął człowiek. Mignął i przepadł bezszelestnie, dostrzegłyśmy jednak wojskowy drelich. Może ich być tu więcej. Odjeżdżamy pośpiesznie, bo jesteśmy same, bez broni, w gęstym, głuchym lesie, a mamy cenny ładunek i dobrego konia. Niech sobie siedzą, dla porządku się zamelduje.

⁴ Marzec 1944 r.

Do miejsca postoju oddziału dobijamy pod wieczór. Nic nie wskazuje, że wieś zajęta pod kwatery. Ot, cicho, spokojnie. Ludzie snujący się przy obrządku, żurawie⁵ skrzypią, dymią na odwieczerz kominy, tu i ówdzie błyszczą już wesołe światełko... Gdyby nie warta u wylotu ulicy, doskonale zresztą ukryta, która nas poznaje i pozdrawia wesoło, można by przejechać całą wieś i nic nie zauważyć.

Zajeżdżamy prosto na radiówkę⁶, właśnie będą nadawać komunikat. W obszernej izbie tłoczno, głowa przy głowie, mundury pomieszane z cywilną odzieżą. Słuchają chłopcy i słucha wieś. Motor w sieni huczy, a z głośnika płynie na izbę i przez otwarte okna szeroko w świat: „Haalo... hallo. Tu polskie radio Warszawa, Kraków, Poznań, Lwów, Wilno... na fali Londynu. Nadajemy...”. Nie ma teraz granic, frontów, bagnietów wroga. Dokuczliwy brzęczek nie zagłuszy czystego tonu pobudki dzwoniącej przez lądy. Jesteśmy w łączności. Słuchamy was i trwamy... Serca niebieskie poi wesele, kiedy je razem powiąże nić złota... Wiążemy się z wami złotą nicią wesela, co płynie z eteru. I dobrze nam. Przetrwamy.

Po audycji idziemy na drużynę gospodarczą⁷. Będzie się rozdawało paczki od „chrzestnych matek”. Gwar i hałas nieopisany. Paczek mnóstwo, przytąszczyliśmy przecież cały wóz, więc każdy szczęśliwiec natychmiast rozpakuje zawartość przy głośnych komentarzach kolegów.

– [s. 105] Patrzcie, byczo! Setka machorczaków⁸ i ciepły szalik. Pisz mi chrestna mamunia, żebym sobie gardła nie przeziebił... Psiakrew, przecież nie cywil – irytuje się czupurny żołnierz.

W kącie toczy się poważna narada nad przechodzącą z rąk do rąk koszulą.

⁵ Żuraw – drewniany czerpak o wysokości nawet do 10 m pozwalający pobierać wodę ze studni. Charakterystyczny element podlaskiej wsi, z czasem wyparty przez studnię z kołowrotem.

⁶ W celu ochrony radiostacji KG AK (R-31) inspektor Inspektoratu Rejowego Radzyń – ppłk Roman Drewnowski „Roman” – polecił ppor. S. Wyrzykowskiemu „Zenonowi” zorganizowanie osłony w listopadzie 1943 r. Z polecenia „Zenona” utworzono osłonę w sile 18 żołnierzy pod dowództwem por. Władysława Bykowskiego „Sępa”. W połowie kwietnia 1944 r. w szeregach OP I/ 34 istniejącą już drużynę radiową przekształcono w pluton pod dowództwem por. Stanisława Kujawińskiego „Żonkila”, jego zastępcą był st. sierż. Leonard Melaniuk „Unita”.

⁷ Drużyna gospodarcza (obejmowała kwatermistrzostwo, tabory i sanitariuszy) kierowana przez wachm. „Bruno” (NN).

⁸ *Machorka* (ros.) – tytoń gorszego gatunku. Ceniony środek płatniczy w realiach okupowanego kraju w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu.

– Rany Boskie, ale musiała chyba fatrowi⁹ buchnąć... . To co najmniej czterdziesty drugi numer! Jakże ja będę wyglądał? – niefortunny chrześniak wyciąga chudziutką, żyrafową szyjkę z przepastnej wiatrówki.

– Też zmartwienie – kolega spluwa z pogardą – a niby te dziury, co nosisz, to w sam raz na ciebie, wróblowy strachu? I tak mundurkiem przykryjesz, a kołnierzyk podkaszesz, jak nogawicę u portek.

– Ty... odwal się. Widzicie go. Żal ci, żeś sam nie dostał...

– Jak Boga kocham, „Feluś”¹⁰, „Gacek”¹¹! W plecaku same ciastka – towarzystwo jest jeszcze bardzo młodociane, więc rzuca się z zapalem na pokruszone, niestety, serniki i w mgnieniu oka nadęty plecak wiotczeje skromnie.

Inni przysłuchują się zazdrośnie treści listu: „Kochany Synu. Dumna jestem, że dostałam takiego chrześniaka. Podobno jesteś bohaterem... itd. itd.”

– Eee, to ci zalewa niewiasta. Pewnie już ktoś jej tam nachlastał „cudów”. Ale czekajcie, o, pisze „co by ci jeszcze przysłać?”. Idź se panna. Nie potrzebuję. Mam gęś na łańcuchy i pirogi... . Albo nie. Wiecie co? Kiedy się tak napiera, to jej właśnie kropnę: „Kochana Chrzestna Mateczko, proszę Cię bardzo przyślij swojemu synusiowi (sama chciałaś...), przyślij mu piękne papasze¹². Twój synek Bohater”. Be, jak byk, dużą literą. Zobaczcie, że na naród wszystko znajdzie. Dobra jest.

– Te, a ja ci mówię, że ona się złęknie.

– Ona się złęknie? Moja chrzestna mama?

– I kobitę tak naciągać? – dorzuca „Kubuś”¹³ filozoficznie.

– Odczepcie się wy raz od niej! Twoja ona czy moja?

– Słuchaj, „Kogut”¹⁴, zostaw go. On się już o nią bije, a nawet nie wie, jak ta mama wygląda.

– Jak wygląda, to wygląda – bohater trochę stygnie w zapale. – A kobita jest morowa i nie wąska. Koniec, szlus.

⁹ *Vater* (niem.) – ojciec.

¹⁰ Kpr. Mieczysław Łaszczuk „Felek”.

¹¹ Szer. Jerzy Gromczyński „Gacek”.

¹² Papacha – męska futrzana czapka upowszechniona na ziemiach polskich przez formacje kozackie.

¹³ Szer. Tadeusz Borowicz „Kuba”.

¹⁴ Kpr. Szymon Maciejuk „Kogut”.

– Proszę pani, czy pani zna „Stokrotkę”¹⁵? – pyta nieśmiało młodziutki kapral – bo, widzi pani, to takie nieporozumienie wyszło: ja sobie zażartowałem, a ona się zaraz obraziła. A mnie bardzo zależy, żeby była zgoda. Słyszałem, że „Stokrotka” jest taka dobra i... bardzo ładna – dodaje z zażenowaniem. – Niech jej pani wytłumaczy, że ja nie chciałem... proszę, to list i niech Stokrotka odpisze, niech dużo, dużo odpisze.

Drogie Chrzestne Mateczki, Bóg Wam zapłać za wszystko. Za te paczki takie miłe, tak nieraz ślicznie obmyślane, jakbyście między wiktuały i łaszki pakowały także wasze gorące serca. A przecież wiemy dobrze, żeście przeważnie były wielkie bidulki, obarczone obowiązkami, zmęczone wojną. Bóg Wam zapłać za Wasze listy, rzecz dziwna, jeszcze bardziej upragnione od paczek. Za listy, które cieszyły, krzepiły, a nieraz wychowywały. Dziękujemy Wam za medaliki, za obrazki z Jezusowym Sercem, za Wasze modlitwy – i łzy, gdy którego z chrześniaków zabrakło.

Przyjechał Komendant¹⁶. Wszyscy stają na baczność. Hałas cichnie. Podchodzimy się zameldować i przy sposobności wręczamy paczkę od jednej z jego licznych chrzestnych matek (oczywiście każda uważa się za jedyną). Komendant jest młody, energiczny, ma postawę i ruchy dowódcy. Wokół jego imienia rośnie już młoda legenda, pełna uroku i partyzanckiej sławy. Trochę zagończyk, trochę niespokojny watażka, nade wszystko nieustraszony żołnierz. Wychowała go dywersja i te groźne czasy, gdzie odwaga, fantazja i awanturniczość jakże chętnie zaprzęgają się w służbę szczytnej idei i stają się zrębem, na którym inni dobudowują [s. 106] niepodległość. Ten rodzaj ludzi kocha się w niebezpieczeństwie, w ryzyku, w żywiole wojaczki i przygód. Jeśli do tego taki człowiek ma we krwi szlachetność gestu i bezinteresowność pracy, opanuje nawet najniesforniejszy element, a pociągnie za sobą wszystkich. W oddziale Komendant jest wyrocznią, w okolicy jej chlubą i dumą, a nawet Niemcy, którym wiele krwi napsuł, w przenośni i dosłownie mówią o nim z podziwem. Znalazło to nawet ujęcie w rozczulająco megalomańskiej, naiwnej piosence oddziału: „Armia niemiecka, oszołomiona, powtarza ze strachem imię »Zenona«”.

Komendant śmieje się i żartuje, jak jest w humorze. W pewnej chwili zwraca się do mnie:

¹⁵ Krystyna Zaborowska-Czarkowska „Stokrotka”, „Alfa”.

¹⁶ Por. Stefan Wyrzykowski „Zenon”.

– A pani, to już zostanie z nami. Na stałe.
Aż mnie zatknęło.
– A co ja będę robić?
– Jak to co? Sanitariat. To i owo, i dziesiąte. Pracy masa. No więc jak? –
mruga porozumiewawczo. – Konia pani dostaje. I w ogóle nie ma się co
namyślać.
Zostałam. I bardzo dziękuję, Panie Komendancie.

Wolne święto

Wielkanoc [9–10 kwietnia 1944 r.] spędzano hucznie. Był sobie taki dom
obszerny, wygodny, na uboczu, z dala od drogi i osiedli. Był gospodarz goś-
cinny, który go nam użyczył¹⁷. Na całe święta. Więc stanęły stoły w podkowę,
umajone widłakiem, przyozdobione ślicznymi pisankami. Wszelkiego jadła
mnóstwo, jak za najlepszych czasów. Kręgi kielbas, szynki, potężne baby
i placki, i dużo „śmichu” na humor i aż dwa antałki piwa z przyjacielskiego
browaru. Gości najechało się sporo, sami najmorowisi sympatycy, dobrodziej
i chrzestne mamy. Wesoły ułan „Jaskółka”¹⁸ wycinał skoczne oberki i kuja-
wiaki na potężnej harmonii. Dawniej zawołany muzykant na okolicznych
weselach, teraz z wielką pychą przygrywał partyzanckiej zabawie. Tańczono
na umór, z fantazją, z rozmachem, po polsku. Pito też niezgorzej. Wznoszono
toasty i [życzono] zdrowia, coraz szumniejsze, coraz weselsze. Nawet padł
jeden rozochocony strzał i w ślad za nim straszliwa ruga Komendanta, ale
jakoś przeszło. Sklecony naprędce chór wyciągał żołnierskie piosenki. Te
dawne, miłe, bliskie każdemu sercu, jak bliscy są starzy przyjaciele, i te nowe,
partyzanckie, których się słucha ze wzruszeniem i śpiewa w uniesieniu, bo
one pójdą z nami i przeżyją może niejednego z nas, aż staną się znów wian-
kiem świeżej, żołnierskiej epopei.

Uwaga! Oddziałowy poeta będzie deklamował swe utwory. Szczupły,
mizerny po przebytych niedawno zapaleniu płuc, starszy strzelec „Sewer”¹⁹
występuje z pokaźnym zeszytem wierszy. O Komendancie, o leśnych

¹⁷ Dom Leona Kurczyńskiego na kolonii w Kobylanach (obecnie pow. łosicki).

¹⁸ Kpr. Edmund Lisiecki „Jaskółka”.

¹⁹ Kpr. Zygmunt Tarkowski „Sewer”.

chłopcach, o miłości Ojczyzny... . Proste są te rymy, niewyszukany rytm, zwyczajne słowa. Patos naiwny, lecz jakże serdeczny. Chłopcom podoba się bardzo, a o cóż więcej chodzi...? Pan „Sewer” tworzy, przeważnie smażąc kotlety i doprawiając zupy, nieraz więc rym wyskoczy razem ze skwierczącą skwarką. Zgoła niezwykle to warunki dla poetyckiej weny, lecz pan „Sewer” jest przede wszystkim żołnierzem, a że teraz kucharuje – to trudno, taka funkcja. Podobno musi być dobra jak każda inna, lecz nie wiercie temu, nieprawda! W pogardzie jest to babskie zajęcie, chyba że ktoś chce gwałtem odpaść. Poeta jest jednak pokorny i tak ma już wygląd Bożego Biedaczyny, istny święty Franciszek. Więc uszczęśliwiony naszymi pochwałami kłania się jak cywil i płoni jak panna (ta z dawnych czasów)... .

Wśród gości jeden z chłopców odnalazł swego profesora z przedwojennej szkoły. Wielka obustronna radość ze spotkania.

– Jak się tu znalazłeś, chłopcze?

– Włóczyłem się w dywersji. Odwalało się roboty ciężkie, niebezpieczne... . Na kolei nie mogłem wytrzymać. Ciągnęło mnie. Tacy obcy mówili: bandyta – wielkie, czarne oczy chmurnieją. – Dlaczego to tak? Siedzieli bezpiecznie, robili interesy, geszefty... – głos chłopca drga niezmierną goryczą i lekceważeniem.

[s. 107] Dlatego też partyzanci to nie pospolite ruszenie. A jeżeli już, to niepospolite. Partyzant różni się i tym od regularnego żołnierza, że nie ma nazwiska. Jakże często pseudonim jest wykładnikiem tej różnicy. Nazwisk w oddziale nie ujawnia się wcale, pseudonim i stopień – to wszystko. Nawet zanikają imiona. Oczywiście, że te pseudonimy są takie jak wszędzie. Najliczniejsza ich gromada to wszelka fauna. To groźne Rysie, Wilki, Lwy, Tygrysy, skromniejsze Lisy i Borsuki – to wszystko miłe, trochę rozhukane chłopaki. Rodzina ptasia jest też liczna: Sęp, Orzeł, Jastrząb, Sokół, Żuraw, Kogut i inne pomniejsze ptaszki. Ze świata owadów mieliśmy tylko dwie Muchy... . A dalej szedł las, jako najbliższy spokrewniony z partyzantem, więc szumiały w czasie akcji i przy bimbrze rozmaite Jesiony, Sosny, Dęby i Brzozy. Żywioły niebieskie szły w pomoc Grzmotom, Gromom oraz licznej rodzinie wiatrów – był więc Wicher, Zawierucha, Wichura i Wichracki. Zupełnie jakby powinowaci z zaścianka. Dwie Bomby, Granat, Grot, Lanca, Miecz dozbrajali pseudonimami własny rynsztunek. Miecz, w życiu prywatnym franciszkański braciszek zabłąkany przedziwnie w partyzantkę, podkreślał specjalnie zawołaniem swą, poddawaną w wątpliwość, bojowość. Złowrogą miną mieli straszyć Niemców

Groźny i Ponury. Rzecz prosta, że nieśmiertelna *Trylogia* brała w dalszym ciągu udział w dziejach. Najwyższy drągał oddziału, kulo łap, którego zresztą szczęśliwie nic nie drasnęło, zwał się Longinus Podbipięta, Kmicic wcielił się powtórnie w Kmicica, a Bohun przejął się na serio dzikością i sentymentami atamana, zaś mały Wołodyjowski odżył wdzięcznie w miłym plutonowym z kawalerii. Widzimy także Skrzetuskiego, Burłaja, na Zagłobę nikt nie zdecydował [się] niestety. Nieszkodliwe snoby albo miłośnicy tradycji powracali oficjalnie do herbów. Włączyły się z nami Nałęcz, Lubicze, Okrzeje i Dołęgi, srożył się stary Jaworczyk, Rogala uzupełniał. Poza tym była spora ilość imion czerpanych z kalendarza, historii, nawet z geografii. Hel twierdził, że był jedynym Helem w całej konspiracji. Zawisza, Narbutt, Wieniawa. Był ktoś, kto się przezwiał Bašką i nosił to imię niczym szarfę po ukochanej. Chodzili z nami Rudzi, Bładzi, Zimni, Zezowaci i Czupczyki, Brzytewki i Kropidełka. Tylu chłopców, tyle imion, przezwisk, zawołań, nie sposób wyliczyć całej gromady.

Partyzant jest przesądny jak lotnik. Sam wzór odwagi – Gozdawa, nosił zawsze przy sobie „niemalowane” drewnianko od przypadku, nawet na „odpukanie” wypożyczał je łaskawie. Mieliliśmy również pewną szczęśliwą kurtkę, także wypożyczaną od właścicielki w poważniejszych okolicznościach na pomyślność. A w ogóle obserwowało się rozmaite daty, rozmaite liczby. Jarach na przykład nigdy nie ruszał w patrol w siedem osób. Zauważyliśmy też, że dublowane pseudonimy przynoszą nieszczęście: z dwóch imienników zawsze ginął ten, który się pierwszy zaciągnął. Tak polegli śp. Rudy, Bomba, Mucha i Zdzisław. Odtąd się uważało.

Trylogion

[s. 108] Przecież to wszystko jedno czy żyłście naprawdę,
Czy tylko wśród Trylogii, najmiłsi bohaterzy.
I tak za Podbipiętę kmiotek się na Mszy modlił,
A dzieciom śnią się wasze szabelki i pancerze.

Czcigodny pan Zagłoba i wichrowaty Kmicic,
Tłukli się w tamtą wojnę w zdartym od kul tornistrze
I pomagali chłopcom nieprzyjacioły ćwiczyć.
Więc teraz was prosimy: bądźcie tu z nami w Polsce,

O towarzysze dobrzy spod pancernego znaku.
Chwalcie Warszawę dumną i na wiślanych mostach
Czekajcie wraz z młodzieżą na hasło do ataku.
Husarskie skrzydła spuście naszym sokołom w chmurach
I broń podrzućcie dzieciom, wślawioną w tyłu bojach.
A kiedy krwią spłyniemy – na Częstochowskiej Górze
Zapalcie święte lonty, o najmężniejsi z wojów.
Zejdź do nas, panie Skrzetuski, szlachetny, prawy, rycerzu,
Naucz jak zwalczać prywatę, a Bogu oddawać smutek.
Stań przy chwiejących ołtarzach, przy każdym małym żołnierzu
I zanieś modlitwę prostą rzeszom pognanym z druty.
O umiłowaniu honoru opowiedz, obrońco stanic.
I o tym jak śmierć za sprawę korony królów gasi.
A w służbie nieustannej u każdej z krwawych granic,
Naucz nas wszystkich męstwa dzielna, posłuszna Basiu.

Chłopcy spod znaku dywersji i buntu

Oddział rośnie, coraz więcej napływa ochotników ze wsi, miasteczek, miast, nawet z Warszawy. Zbieranina z całego świata: gospodarscy synowie, robotnicy, wesoła brać kolejarska, dawni podoficerowie. Zgłaszają się przedwojenni podchorążacy, wyszkoleni rotmistrze i nowy nabytek tajnych szkół wojskowych. Nie brakuje wesołych andrusów, batiarów lwowskich i nawet groźnych awanturników zmieniających się pod żelazną dyscypliną w karnych żołnierzy – cwaniaków. Są chłopcy z grup dywersyjnych, nieustraszeni „kedywiarze”, którzy już przedtem wysadzali pociągi, dokonywali niebezpiecznych zamachów, zdobywali broń i rany, pracując niezmordowanie w konspiracji od początku podziemnej kampanii. Zasłużeni, „sławni” i strasznie prości. Są młodzieńcy harcerze, dzieciaki prawie, którym się palą głowy i serca – żywcem chowani na *Trylogii*. Poziom najróżniejszy: prostaczkowie, inteligenci, paniczyki zatracające z dnia na dzień snobistyczne narowy i prymitywne surowe typy, które pogłębiają się i dojrzewają w twardej służbie. Zespół zgoła niezwykły przez różnorodność charakterów, inteligencji i środowisk. Ogromnie trudny do prowadzenia, lecz jakże bogaty, jakże bujny indywidualnie. Pierwszorzędny po opanowaniu materiał do akcji partyzanckiej, gdzie tak

wiele znaczy inicjatywa, fantazja, odwaga i „dobry węch”. Przeważnie wszyscy są młodzi, wszyscy zapaleni, przecież to w trzech czwartych ochotniczy zaciąg. Dyscyplina, podjazdowa wojaczka, rozkosze i udręki włóczęgi zżywają. Nie mniej działa tu osobisty urok komendanta i mocne koleżeństwo. Powoli rośnie coraz większa wspólnota przeżyć, powoli wykuwają się też żołnierskie cnoty. Czas pracuje i pomaga. Do akcji „Burza” [w trzeciej dekadzie lipca 1944 r.] staną już żołnierze.

Żołnierz partyzancki, ćwiczony w tych warunkach, będzie się niezawodnie różnił od żołnierza armii regularnej. Inna tu będzie karność, inna brawura, zaszwanuje nieraz przeszkolenie, nie ma tu bowiem systemu i rutyny, nie ma miejsca i czasu okres rekrucki, ale pokrywają ten brak żywą praktyką akcji i codziennego dnia, wyrabiając inne cenne przymioty dla partyzanckich działań, jak indywidualizm „roboty”, przytomność i czujność przy zaskoczeniu i poczuciu odpowiedzialności.

[s. 1] Dzielimy się na plutony i drużyny. Jako główne i stałe zadanie mamy osłonę „stacji”²⁰. Drużyna radiowa jest więc naszym oczkiem w głowie. Por. Staś albo „Żonkil”²¹. Skoczek z Anglii trzyma swych chłopców krótko i właściwie nie bardzo wiadomo jak, bo jest cichy, milczący, pochłonięty odpowiedzialną pracą, a przecie[ż] wszystko idzie jak z płatka i solidarność wśród chłopców ogromna. Radiówka jest zawałona robotą po całych dniach i nocach: depesze, depesze, depesze... Londyn–Warszawa. Emigracja–kraj. Szyfry, najściślejsze konspiracyjy – wołają, krzyczą, niosą wiadomości, meldunki, sfruwają z powrotem rozkazami, zachętą, pobudką. Chłopaki pracują

²⁰ Radiostacja nr KG AK (krypt. R-31) zapewniała regularny kontakt okupowanego kraju z władzami cywilnymi i dowództwem WP w Londynie od lutego 1944 r. Po wejściu Sowiec na Podlasie wznowiła nadawanie w sierpniu 1944 r. Zamilkła kilka tygodni później (listopad 1944 r.) w rezultacie kontrakcji NKWD. Została namierzona na koloniach wsi Koszoły pod Białą Podlaską.

²¹ Por. Stanisław Kujawiński (1920–1995) „Żonkil”. Po specjalistycznym przeszkoleniu jako „cichociemny” rzucony do GG w rejon Wyszkowa nad Bugiem w połowie września 1943 r. Przydzielony do obsługi radiostacji nr 31 w Inspektorze AK Radzyń Podlaski. Służył jako oficer łączności w OL „Zenona” od końca 1943 r. Potem był dowódcą drużyny, następnie plutonu OPI/34. 22 listopada 1944 r. aresztowany przez NKWD we wsi Koszoły (pow. Biała Podlaska). Wyrokiem Wojskowego Sądu Garnizonowego z 2 lutego 1945 r. skazany na karę śmierci (zamienioną na 10 lat więzienia). Wywieziony do ZSRS, z którego wrócił i został osadzony we Wronkach. W wyniku zastosowania zapisów ustawy amnestyjnej z 2 sierpnia 1945 r. został w końcu tego roku wypuszczony na wolność. W 1946 roku zbiegł z żoną na Zachód.

fantastycznie, biją rekordy szybkości, nie dosypiają, a jeszcze humorem potrafią zasilić cały oddział. Jeden „Kolejarz”²² starczy za dziesięciu kawalarzy. „Druciki”²³ udały się nam, a może i... Londynowi.

Konny zwiad, zwany u nas szumnie kawalerią, przejął się – w granicach swych możliwości – tradycją i fantazją tej broni. Już to wiadomo od dawna, że ułan w Polsce wydebił sobie wszystko: i owies dla konia, i dobrą kwatere, i serduszek panieńskie. Więc też noszą się odpowiednio godnie, zdobywając walecznie ostrogi, trzewiki i siodła. W braku lanc ozdabiają chorągiewkami furazerki (oczywiście w formie naszywek) i łaskawie dzielą się z końmi popularnością, zapominając, że właściwie jest ona przede wszystkim zdobyczą koni.

Najmorsze wiarusy i zabijaki zmówiły się w drużynie minerskiej²⁴. Oprócz swej funkcji zasadniczej, minerka chodzi na najbrudniejsze wypadki zbiorowo i indywidualnie, bywa ochroną w ochronie, wykonuje specjalne poruczenia, wypożycza obwodowi na doraźne [s. 2] i najryzykowniejsze akcje swych zuchów i porywa się nieraz z motyką na słońce, czyli np. na auto pancerne ze stenem, ale zawsze wychodzi cało, z nawiązką nowej sławy. Przewodzi im dziwny, zamknięty w sobie, młodzieńcki chłopiec. Nazywa się „Jarach”²⁵, ma lat dwadzieścia, od [19]39 roku siedzi w dywersji, nigdy nie posiadał kenkart²⁶. Dojrzały nad wiek, bardzo zdolny, koledzy mówią o nim,

²² Plut. Edward Subotkowski „Kolejarz”.

²³ Określenie radiotelegrafistów.

²⁴ Byli to żołnierze Kedywu pod dowództwem kpr. Roberta Domańskiego „Jaracha”, którzy na rozkaz szefa dywersji Inspektoratu Rejonowego AK Radzyń ppor. Czesława Rossińskiego „Kozła” dołączyli do OP „Zenona” w nocy z 31 marca na 1 kwietnia 1944 r., w rejonie wsi Ogrodniki koło Konstantynowa.

²⁵ Kpr. AK/ppor. cz. w. Robert Domański (1925–1995) „Jarach”, „Florian”. Żołnierz Związku Odwetu w powiecie Tomaszów Lubelski (1940–1943). Dowódca patrolu Kedywu Obwodu AK Biała Podlaska (1943–1944), dowódca drużyny minerskiej w OP „Zenona” (1944). Uczestnik akcji „Burza” w 34 pp AK w lipcu 1944 r. Po wejściu Sowietów, komendant rejonu 2 w Obwodzie AK Biała Podlaska (1944), następnie dowódca Oddziału Samobrony AK (1945). Po demobilizacji oddziału został dowódcą grup bojowych Obwodu WiN Biała Podlaska (1946), a następnie szefem BIP Inspektoratu WiN Radzyń Podlaski. Ujawnił się 27 marca 1947 r. przed komisją amnestijną w Warszawie. Inwigilowany i szkanowany przez komunistyczną policję polityczną do lat 80. XX wieku.

²⁶ Kenkarta (niem. *Kennkarte*) – dowód tożsamości wydawany nie-Niemcom przez władze okupacyjne, którzy ukończyli 15. rok życia w Generalnym Gubernatorstwie. Pozostały one przez dłuższy czas w użyciu też po wejściu Armii Czerwonej do Polski w 1944 r.

że to *Übermensch*²⁷. Odważny, przytomny, skupiony, posiada wielki wpływ na chłopców i jest dobrym duchem oddziału.

Cekaemy wyfasowały sobie (ale z godnością i wdziękiem) wszystkie linijki²⁸ po okolicznych dworach i po niewielkich przeróbkach już mają doskonałe taczanki²⁹. Cekaemy noszą się górnio, bo tam służy stara wiara, „specjaliści”, „fachowcy”, poza tym chronią sztandar – największą świętość oddziału.

Jest sobie u nas pewna grupka chłopców w wiecznym stadium organizacji – raz stają się już plutonem, to znów maleją do rozmiarów drużyny, a co najdziwniejsze, że chłopcy są zawsze w komplecie. Najlepiej więc ich określić jako pluton „przyszłości”, zależy to bowiem od sprzętu, a tu mianowicie od ilości rowerów. Ten oddziałowy kameleon to łączność. Rowery są zawsze złe, zawsze ich mało, przechodzą zresztą takie przeobrażenia, że dochodzi nieraz do cudów, np. rower jest, trwa i służy, ale nie posiada już ani jednej swej części „rodzonej”, nawet ramy. Czasami takie samo wrażenie sprawia i łącznik. Zaczyna gorliwy por. „Bartek”³⁰ nie zraża się jednak niczym i powoli łączność ma już tyle swych rumaków, ilu bohaterów. Ba, na akcję „Burza” rusza z motocyklami świeżymi na podwórzu Gestapo, a przeszkolenie w szerszym, właściwym zakresie staje na poziomie przedwojennym.

Pod koniec już kampanii urodziło się nam jeszcze jedno cudo: kompania szkolna. Ponieważ nie zdążyła się już zorganizować, więc jedynym jej

²⁷ *Übermensch* (niem.) – nadczłowiek.

²⁸ Linijka (pol.) – prosty pojazd czterokołowy z jednym długim siedzeniem tapicerowanym, opartym na osiach lub poprzecznych resorach. Na linijce siedziało się okrakiem lub bokiem. Pojazd charakterystyczny dla wsi polskiej XIX i XX w., najczęściej używany do objeżdżania pól przez ekonomów lub zarządców majątków.

²⁹ Taczanka – dwuosiowy pojazd zaprzęgowy, uzbrojony w ciężki karabin maszynowy. Cechą charakterystyczną taczanki było to, że karabin maszynowy mógł prowadzić ogień bezpośrednio z pojazdu. Był on montowany lub ustawiony z tyłu taczanki, prowadząc ogień do tyłu. Często taczanki były wykonywane doraźnie z wozów konnych lub bryczek. Na masową skalę pojawiły się w czasie rewolucji bolszewickiej i wojny domowej w Rosji.

³⁰ Ppor. rez. WP/kpt. WiN Leonard Dunicz (1911–1993) „Bartek”, „Świt”. Do kwietnia 1944 r. pełnił funkcję komendanta rejonu VIII (miasto) Obwodu AK Biała Podlaska. Zagrożony aresztowaniem przez Niemców został skierowany do oddziału OP I/34 „Zenona”, w którym został dowódcą plutonu łączności od czerwca 1944 r. Po akcji „Burza” w lipcu 1944 r. ponownie objął dowództwo rejonu AK w Białej Podlaskiej. W lutym 1946 r. objął stanowisko komendanta Obwodu WiN Biała Podlaska. Zatrzymany przez bezpiekę w Sopocie 26 grudnia 1946 r. Objęła go ustawa amnestyjna i w związku z umorzeniem postępowania w kwietniu 1947 r. odzyskał wolność.

przedstawicielem był inteligentny, sympatyczny „Gozdawa”³¹. Jako indywidualista we wszystkich kwestiach musiał przez tydzień [słowo nieczytelne] indywidualnie reprezentować obiecującą grupę.

[s. 3] Wśród masy naszych miłych, morowych piechociarzy wyróżnia się odrębnością i... niemieckimi mundurami drużyna sowiecka³². Są to zbiedzy z obozów, przyjęci w drodze wyjątku, a może nawet i fantazji partyzanckiej. Trzeba bezstronnie przyznać, że mogą być śmiało wzorem karności. Są bardzo obcy, bardzo inni, lecz nic im zarzucić nie można. Dobrzy koledzy i zdrowi żołnierze. Nie politykują, nie przejmują też naszych wpływów, chcą przetrwać. Nienawidzą Niemców i to jest jedyna wspólna płaszczyzna porozumienia. Poza tym ogromnie tęsknią nie tyle do kraju, co do rodzin i tych bliższych rzekomo, własnych stron. Ale to nie jest ojczyzna. Znajdują się między nimi mili, dobrzy ludzie, np. poczcwiy, łagodny Fiedka, który zrugany płacze, a chwalony cieszy się jak dziecko. Typ starszego, dobrodusznego chłopca Wielkorusa z jakimś piętnem pańszczyzny, choć go przyhołubiła rewolucja. A może jej brzemię jest podobne? I ten sam daje wynik? Jest inteligentny Waśka rusznikarz, deklamujący Puszkina, jest miły „Kostia”³³ – urodzony żołnierz, zawadiaka. Wszyscy śpiewają prześlicznie swoje tęskne, wspaniałe pieśni. Zapamiętują się w nich jak w modlitwie, której nigdy nie odmawiają. Śpiewają olbrzymimi, rozlewnymi głosami, szeroko i tęskno. Ich melodiom za ciasno u nas, w step by im, a może na ruiny wielkich miast, do Stalingradu! Trwamy obok siebie, nie wypowiadamy się – jesteśmy sobie obcy. Obcy!

Oczywiście, że najwięcej lekceważone są tabory. One utrudniają każdy przemarsz, grzęzną, marudzą, majstrują i klną. Nie chcą cichaczem podwozić „podbitych” łazików, zrzucają bez litości niedozwolony ładunek plecaków, słowem, bywają irytującym utrapieniem i zgoła balastem, zwłaszcza o ile ciągną

³¹ Kpr. Wiesław Biedrzycki „Gozdawa”.

³² Na początku maja 1944 r. do oddziału AK przyłączyła się 19-osobowa grupa dezertów (Kozaków dońskich) pilnujących magazyny wojskowe we wsi Kryńka (pow. Łuków). Drużyna rosyjska (16 ludzi) pod dowództwem plut. pchor. Kazimierza Jasińskiego „Długiego” wchodziła w skład 3 plutonu. 27 lipca 1944 r. (po zakończeniu akcji „Burza”) zostali przekazani Armii Czerwonej. Najprawdopodobniej uznani za „zdrajców” zostali rozstrzelani w lasach między Międzyrzecem Podlaskim a Białą Podlaską. Według innej wersji po egzekucji ich dowódcy Konstantego Prockija „Kosti” reszta została wcielona do karnej kompanii i wysłana na front (co równoznaczne było z odwiecznymi w czasie wyrokami śmierci). Zob. J. Giewartowski, *Moja młodość*, Siedlce 2010, s. 161–162.

³³ Konstanty Prockij „Kostia”.

za sobą krowy na ubój. [s. 4] A przecież są tak ważne: arsenał spiżarnia i radio – wszystko na kołach. Na postojach wracają momentalnie do łask. Drużyna gospodarcza to cichy bohater i nieszczęsna ofiara. Ileż pretensji, ileż narzekań przy ładunku żywności. Żarcia, chwała Bogu, jest zwykle dużo, ale rozdzieli człowieku sprawiedliwie krówkę czy spalego wieprza! Zawsze ta poprzedzająca, czy ta następna drużyna dostaje lepiej, więcej niż twoja. Patrol zdobywców uważa, że za akcję należy im się jeszcze i procent i przytaska innych łupów. Wartownicy, że nie śpią, muszą zjeść solidniej itd. itd. Pocziwy „Znicz”³⁴ szaleje, tłumaczy, perswaduje, szarpie resztki czupryny, w końcu przypomina sobie klasztor i zaczyna słodziutkie, rozpaczliwe kazania do „braciszków najmilszych”, do „wiernych w Chrystusie baranków”, ale baranki uderzają w straszliwy bek i w zgola nie owcze rechotanie, aż Znicz opada bezsilny na wory sucharów i z jękiem błaga kogoś z sanitariatu, o hańbo i wstydzie, o walerianie!

Filarem sanitariatu jest młody doktor „Ruski”³⁵. Leczy mnogie czyraki straszliwym propidonem, na szkorbut zaleca cebulę, od czasu do czasu zarządza srogi przegląd sanitarny. Poza tym ma lekkiego fioła na punkcie broni. Ciągłe coś zdobywa, zamienia, dopasowuje, wyklóca się ze zbrojmistrzem, a pas od swojego kołta nosi jak koalicijkę, taką już ma fantazję. Wielbicielki doktorka mówią, że jego oczy „zadymione”. Podobno to bardzo interesujące.

Najpociesniejszą figurą oddziału jest niezawodnie kpr. „Atleta”³⁶ – sanitariusz. Krępy, tępy i pocziwy, okrutny zabijaka – bojówkarz, chlubiący się dobrą wiarą, że był szefem sanitarnym DOK Brześć³⁷. Sam generał powierzał jego opiece personel lekarski i rannych. „Atleta” tylko nimi rządził, rugał, więc czym dla niego jest praca w takim ubożuchnym oddziale. [s. 5] Na wszelkie dolegliwości aplikuje śmiech, którego sam jest gorliwym wyznawcą. Wygłasza wspaniałe monologi oraz prelekcje „naukowo-medyczne” na temat drażliwych chorób i pewnych obyczajów. Dorywczo różnie z lubością owce i świnię. Zapewne też dlatego babra się w sanitariacie z zacięciem rzeźnickim

³⁴ Franciszkanin konwentualny Prowincji Warszawskiej Augustyn Kisielewski „Miecz”, wywieziony do łagru sowieckiego w Riazaniu (do kraju wrócił w listopadzie 1947 r.).

³⁵ Kpr. Zbigniew Papliński „Ruski”.

³⁶ Kpr. Stanisław Koc „Atleta” (poległ pod Łomazami 21 lipca 1944 r.). Był rezerwistą, który odbył służbę wojskową przy jednostce sanitarnej w Brześciu.

³⁷ Dowództwo Okręgu Korpusu nr IX. Terytorialny organ MSW w okresie międzywojennym pełniący funkcje administracyjno-gospodarcze, mobilizacyjne i garnizonowo-porządkowe z siedzibą w Brześciu nad Bugiem.

i bezdenną pogardą dla higieny. Opanowuje się go na wszystkie sposoby i wdraża w czystość, ale przeważnie bezskutecznie. Odsunąć go zupełnie nie można, bo mimo wszystko jest tym sanitariuszem zawodowym. A kto się zechce temu przeszkadzać dosadnie... bardzo byłby „Atleta” nieszcześliwy. Chłopcy przewali go mocno niecenzuralnie: Doktor Szczydoniecki. Nasz cyrulik podpisuje się z dumą tym nazwiskiem na rzekomych receptach i cicho wojuje z doktorkiem. „Martę”³⁸ uznaje, bo ma do niej słabość, nawet na jej rugi wyczyści paznokcie i nie urznie się na wymarsz. „Marta” też leczy, poza tym gotuje, gospodaruje i rządzi się po taborach. Czasem wychowuje, czasem oplakuje, ma też fioła na punkcie koni.

Nasza łączniczka Lucyna³⁹ udała się – słynie z brawury. Jeździ sobie z pakami granatów w kolejce między Białą [Podlaską] a Leśną [Podlaską]. W czasie rewizji z czarującym uśmiechem [daje] niewinny bagaż pod opiekę SS-Frau⁴⁰. Tylko na chwilę naturalnie. Kilometrami przewozi broń pod słomą na wozie. Rzuca się wpływ przez obławę, przenosząc bezpiecznie meldunki i przedziera się przez front do Warszawy i z powrotem pieszo i chora. Nazywamy ją „Brylancik”.

Z wszelką szarżą żyje się tu za pan brat. Tak już bywa w partyzantce. Najbardziej chyba popularny jest por. „Janek”⁴¹. Podbija serce prostotą i bezpośrednim podejściem do żołnierza. Poważny, ogólnie lubiany jest pchor. „Aleksander”⁴², adiutant. Słynie z dowcipu i flegmy. W akcji wykazuje zawsze ogromny spokój, bystrość i orientację. Kiedyś będzie z niego oficer – dowódca.

[s. 6] Wszyscy mają zaufanie do por. „Narbutta”⁴³. Wszyscy lubią cichego, delikatnego „Zdzisława”⁴⁴. Poza tym wszelkie poruczniki, wesołe podcho-

³⁸ Autorka opowiadania.

³⁹ St. strz. AK Lucyna Czajka (Kujawińska) „Brylancik”.

⁴⁰ Kobieta będąca członkiem SS.

⁴¹ Kpr. pchor./ppor. Jan Giewartowski „Janek”, dowódca 3 kompanii I/34 pp AK.

⁴² Kpr. pchor./ppor. cz. w. AK-DSZ Aleksander Łacic „Aleksander” – adiutant dowódcy OP I/34 „Zenona” (od 3 maja 1944 r.). W lipcu 1944 r. także szef oddziału.

⁴³ Ppor. WP/kpt. WiN Stefan Lemieszek (1915–1946) „Narbutt”, „Alf”. Od 1941 r. w konspiracji ZWZ-AK. Kwatermistrz OP I/34 od czerwca 1944 r. W sierpniu 1944 r. w ramach OSZ był zastępcą „Zenona” (a zarazem dowódcą II kompanii I/34 pp AK). Po wejściu Sowietów – oficer broni w komendzie Obwodu AK Biała Podlaska, a potem komendant Podobwodu „Małgorzata” (1945). Komendant Obwodu WiN Łuków zastrzelony podczas obławy UB i KBW 15 listopada 1946 r. w rejonie wsi Ciężkie koło Wojcieszkowa.

⁴⁴ Ppor. Bolesław Dąbrowski „Zdzisław”, dowódca III plutonu OP I/34 (poległ pod Kozłami 23 lipca 1944 r.).

rażaki i w ogóle podoficery są na ogół do rzeczy, a że się czasem mądrzą szczyptę, a to do wiatru człowieka wystawią lub, co gorsza, pod karabin na słońce, to już wiadomo. Od tego mają gwiazdki i inne belki, a stąd i swoje widzimisię – wybaczymy, słuchamy i przeważnie przyznajemy im rację.

Przepadamy za ks. Kapelanem⁴⁵. Rozgrzesza z pistoletem, kazania macha krótkie a serdeczne i do kompanii się przysiadają, i kawał sążnisty opowie.

Nad wszystkim i wszystkimi stoi Komendant⁴⁶ – postrach, pycha i miłość oddziały. Sklina straszliwie, czasem i coś dołoży. Przy karaniu dosłownie dygoczą łydki najodważniejszym strzelcom. Ale znów wiedzą dobrze, że o każdego dba i o każdym pamięta. Tępi lizusostwo i tzw. protekcję. Idą za nim z zapalem. Mimo że był kilkakrotnie już ranny, żołnierz uważa, że Starego kule się nie imają. Komendanta między nami, prywatnie nazywa się Tata. Sporo „synków” przerasta go wiekiem, ale w pewnej sytuacji, gdy zdawało się, że nie ma już wyjścia, zrozpaczony żołnierz wołał: „Tata! Tata!”, a nie „Panie Komendancie”... I tak samo go przyzywał: gorąco i żarliwie, umierający pod kulami, mały, bezręki partyzant „Ryksza”⁴⁷.

Rozmaicie się ocenia dowódców i rozmaicie się ich odznacza. Miara wartości a miara oceny jest nieraz zupełnie różna. Chłopcy sami wiedzieli najlepiej – ofiarowali kochanemu Komendantowi pierścien z wrytym *Virtuti Militari* i nazwali go poufale a serdecznie Tata. Pierwszy gest to sprawiedliwa, żołnierska ocena i zbiorowe życzenie. Drugi to najpiękniejszy wyraz wzajemnego stosunku. I Komendant sobie na to zasłużył.

^bLudzie i zwierzęta^b

Końska śmierć

[s. 7] Aksamitne miękkie chrapy rozdęte na wiatr
A główka niespokojna, ze śmiałą strzałką dumna.
I oczu czarnych ogień radosny połyskliwy
I wicher pozłocisty kapryśnej bujnej grzywy

⁴⁵ Ks. Jan Karnicki „Miś”, kapelan OP I/34 (potem 9 DP AK).

⁴⁶ Por. Stefan Wyrzykowski „Zenon”.

⁴⁷ Szer. Władysław Zaborowski „Rymsza” (poległ w Chotyczach 30 czerwca 1944 r.).

^{b-b} Or. Przyjaciele.

I krew tętniąca warem szlachetna krew szumna
Hej! Taki los już padł.
Od szosy, lasu, pola zrywa się nagle bój.
Na linii cekaemy walczą z tysiącnym echem,
Gdzieś granat oszalały pęka z złowieszczym śmiechem
I gwiżdże, dzwoni, świszcz kuli rozskrzydlonych rój.
Zawrotny pęd oślepił na las, na roli szmat.
Płucom już tchu nie starcza, w oczach się skrzy czerwono,
Szczęk stenów, poświst wściekły, ból tępy od ostrogi,
Ziemia się rwie, ugina, w posoce grzęzną nogi
I tylko rozszalałe, grające chrapy płoną!
Zwała tak ciężko huk i łoskot głuchy
W buchającej krwi strumieniem żywym
W szarpiającej męce, trwodze, w dymu koszmarze ostrym
Koińska śmierć ciszy serce drgającymi nuty.

[s. 8] Najbliższym towarzyszem partyzanta jest koń. Czy ten taborowy ciura, doświadczona wyga, co gęstwinie i ciemności manewruje tak sobą i wozem, jak baletnica na sznurze parasolką. Czy ten pod siodłem cwany zagończyk chodzący wilczym chodem objadający w potrzebie korę a wpa-trzony w swego pana, że przejmuje jego charakter i nawyki, oczywiście na koińskie kopyto. W ogóle szkapy zaprawiły się w partyzantce nie gorzej od panów. Znają na pamięć mnóstwo szlaków, ścieżek, wertepów, skręcają nie-omylnie w każdą dwudziestą czy pięćdziesiątą stajnię. Wytrzymują słoty pod gołym niebem, nie zapadają na kolki, starają się nie zołzowa i nie gubić podków. Smok i Byk z gospodarczej nauczyły się jeść mięso. Mądrala, przerażający rozumem (chłopaki twierdzili, że niektórzy koledzy nie dorastają mu do pęcin) – wyprowadził spokojnie porzuconą wśród obstrzału pustą taczankę i dognał oddział na przestrzeni 20 km, nie mając kierunku marszu w nieznane, zgubiwszy się na parę godzin. To samo konisko kradło przemyślnie chleb z rozłożonych chlebaków i spod koców, porządkowało sobie lżejsze ładunki na poprzedzającej taczance, aby w drodze wygodniej umieścić kiwający łeb. A w ogóle Mądrala [miał] sobie za nic różne nieroztropne indywidua, gdy zaś kogoś upatrzył, chodził za nim jak pies, zupełnie zresztą bezinteresownie.

W ogóle konie taborowe zdały na ogół wspaniale egzamin, wytrzymując bez szwanku całą kampanię, nie zrobiwszy wstydu i nie mając strat.

Wycofywały się pod gęstym obstrzałem tak spokojnie, jakby się nic nie działo, nie myliły nigdy kolejności wozów, nie płoszyły się ani narowiły. Dla uczciwości trzeba dodać, że tylko raz jeden zawiodły konie Radiówki, mianowicie zdezerterowały haniebnie w czasie walki od wozu. W zaskoczeniu zdarzają się takie pomyłki stworzeniom. [s. 9] Uszły niechcący do Niemców. Ale były młode, nieostrzelane i niezaprężone. Takie fuksy. Zastąpiły je szybko inne, zdeterminowane i przytomne. Wyprowadziły szczęśliwie wóz i ocaliły nasz bezcenny ładunek: radio... no i honor końskiego partyzanta.

W kawalerii koń chyba tym się różni w koleżeństwie od ułana, że nie może awansować. Zresztą nie dba o to. Jemu wystarczy miłość swego pana. Jak tam konie były pieszczone i kochane, pisać nie trzeba, to się rozumie samo przez się. Ułan mógł być głodny – koń nigdy. Ułan bywał obdarty i zasmarowany – koń zawsze błyszczał i lśnił. Chyba wystarczy. Koniska były na ogół ładne, dobrane maścią, lekkie, młode, pełne fantazji. O ile, niestety, nasze obdartusy z piechoty przeżywała żartobliwie ludność wojskiem św. Jadwigi lub św. Heleny, to znów o kawalerii mówiono, że to „pańskie” wojsko⁴⁸. Ta pańskość to postawa i wygląd koni. Chłopcy jeździli na ogół dobrze i dbali o zewnętrzny fason ułański, toteż przemarsz zwiadu budził zawsze entuzjazm. Konie szły równo rytmicznym, rozkołysanym kłusem, sprężyste i lekko ze ślicznym wyrzutem migotliwych pęciny i kopyt, a gdy zrywały się w porywisty, tętniący galop, by wyciągnąć się wśród tumanów kurzawy na drodze, niby wielkie złociste ptaki, ratowały się oczy i serca. Prowadził zwykle szybkonogi jak jeleni wicher, a za nim składnymi trójkami, równiutko, Łab w łeb, nie wyłamując szeregu, szły różne Gniadosze i Kasztany i sadził wspaniały Deresz. Wszyscy lubili płochą, wesołą Zośkę i małą, nerwową Ludkę, i Wichra nr 2. Wiele zamieszania na postojach wprowadzał zdobywczy Mister Schmidt – indywidualista i buntownik, zapewne mierziło go własne imię. Świtezianka pchor. „Sasa”⁴⁹ przypominała pannę z dobrego domu: lekka snobka w wyborze towarzystwa i paszy, nosiła górną wytworną główkę kapryśnym profilem. [s. 10] Pieszczoszka, zwyczajem swego pana,

⁴⁸ Pluton kawalerii zwany zwiadem konnym został utworzony rozkazem 22 marca 1944 r. Dowodzony przez wachm. Adama Wojtaszczyka „Kmicica” (do 26 maja 1944 r.), a po nim przez por. Zygmunta Raczyńskiego „Nałęcz”. W czerwcu 1944 r. dowództwo nad nim przejął plut. Antoni Kucharski „Wołodzyjowski”. W chwili zakończenia akcji „Burza” liczył 32 ułanów.

⁴⁹ Kpr. pchor. AK Ludwik Maciąg „Sas”.

skręcała w każdą zagrodę i cierpiała trochę na fochy, a Bachor drobił pręciutko i z wdziękiem starając się gorliwie przyswoić wiedzę wojskową od mądrzejszych towarzyszy. Urodą gasiła wszystkie konie piękna Kasztanka, zdobycz z konstantynowskiej stadniny⁵⁰. Miała nóżki jak ze stali i ognia, królewską postawę, prześliczną giętką szyję, na której pysznie był osadzony suchy, wykwintny łeb. Pod szlachetną, cienką skórą grały pięknie mięśnie i rysowały się żyłki. Wspaniale obsadzony ogon, puszysta grzywa płonęły złotem w słońcu, a delikatne, zamszowe chrapy prosiły o pieśczętę. Była to wielka pani księżniczka między dwórkami, rzewna i śliczna jak piosnka, jak marzenia ludzkiej tęsknoty o pięknie.

Nasze konie doczekały się swego „Kossaka”. Rysował je z wielkim zamiłowaniem i maestrią pchor. „Sas”. W szkicowniku opartym przygodnie o siodło czy grzywę powstawały na postojach pełne kultury i smaku obrazki: konie w marszu, konie przy wodopoju, konie na paszy. Bujny, samorodny talent batalistyczny, niespaczony manierą ani banałem stwarzał pełne prawdy i wyrazu arcydziełka. Takim majstersztykiem stał się też surowy i mroczny szkic ułański – „Bitwa nad Jeziorami”⁵¹. Tchnął siłą i prostotą.

[s. 11] Były z nami dwa psy: Beri i Erka. Duży, silny Beri, niby-dog, niby-kundel, uznawał tylko kpr. „Felka” i nikogo więcej nie zauważał. Żywił się własnym przemysłem, chodził własnymi drogami, lekceważący, pewny siebie, zgoła znarowiony partyzant. Włóczęga i niespokojny duch. Gdy jego pan przeniósł się do kawalerii, wypowiedział wojnę koniom. Nie mógł ich ścierpieć, szalał, obszczekiwał, łapał za nogi. Nabrawszy gorzkiego, doświadczony dzięki niecierpliwym kopytom, skradał się cichaczem i usiłował gryźć. Nie były to już zwykłe psie figle, lecz wściekła pasja. Po wmaszerowaniu do Białej [Podlaskiej] porzucił „Felka” i nas sromotnie. Mówiono, że zgłupiał w mieście i poszedł „na panienki”... ale to chyba przez te konie.

Erkę lubiliśmy bardzo. Była taka piękna: srebrzysta, smukła, o ostrych, czujnych oczach i długim, bardzo właściwie noszonym ogonie. Jej wilczo-szczeniące maniery, jej płochliwość i niespodziewane zuchwalstwa przysparzały wiele zamieszania, ale i radości. Wyraźnie kochała się w Komendancie,

⁵⁰ Majątek rodziny Zyberk-Platerów został przejęty przez Niemców na Liegenschaft. Po II wojnie światowej znacjonalizowany. Przy pałacu istniała stajnia złupiona przez czerwonoarmistów we wrześniu 1939 r.

⁵¹ Krwawe starcie oddziału AK z Niemcami 30 czerwca 1944 r.

nie pozwoliła się do niego zbliżyć, jadła tylko z jego ręki. Zostawiona gdzieś po drodze, wracała zwykle do miejsca poprzedniego postoju na kwaterę Taty i czekała. Biada temu, kto by się ją ośmielił zaczepić. Dopiero ruszał na poszukiwania „św. Franciszek” – „Sewer” i jakoś ją namawiał do rezygnacji. Pod nieobecność Komendanta pętała się przy taborach, koło „Marty”, jadła jak z łaski i była bardzo smutna. W chwilach dobrego humoru nosiła kości, składała je zwykle u stóp swych przelotnych sympatii, ale dostać od Erki kość to był straszliwy wstyd! Tak się jakoś utarło... .

W lesie zapadła na nosówkę. Kurowaliśmy ją wtedy jak bezwładne, kochane dziecko. Połykała posłusznie siarkę w mleku, poddawała się zastrzykom, wyraźnie dając przykład niektórym [s. 12] strzelcom – bardzo odważnym w akcji a mdlejącym na widok strzykawki. Dzielila z nami Erka dolę i niedolę, przemierzała przy wozach lub za koniem Taty dziesiątki kilometrów. Wiernie, wytrwałymi łapami. Należała do Komendanta, a była wspólną własnością i wspólną maskotką. Zaginęła w czasie akcji pod Kozłami⁵². Czy padła od kuli, jak mały żołnierz, czy spłoszona oderwała się od oddziału i zagubiła w zamęcie? Któż odgadnie. Do Niemców nie poszła na pewno – w to wierzymy. Była szlachetnym polskim psem i była partyzantem – słuchała przecież nieraz poglądowych lekcji na tematy patriotyczne, miała żywo przed oczami, przed mokrym, czujnym nosem budujące przykłady. O to więc jesteśmy spokojni. Ale co się z nią stało? Przewalał się wtedy nad nami regularny front⁵³. W ciągłych starciach, kluczeniach i przeskokach nie było czasu ani możliwości szukania. Cóż zresztą znaczy jedno małe psie życie wobec ran i krwi broczącej z żołnierzy? Czym jest wobec wielkich, ważnych spraw ludzkich? A jednak tak nam smutno, jakby odszedł nagle dobry, bezbronny przyjaciel, któremu się nie pomogło, któremu się czegoś nie dotrzymało. Więc bardzo, bardzo nam przykro, Erko.

⁵² Starcie z Niemcami z 23 lipca 1944 r.

⁵³ Akcja „Burza” pod Białą Podlaską odbyła się w trzeciej dekadzie lipca 1944 r.

„Piosenką i humorem”

O wierzbach płaczących

[s. 13] „Rozszumiały się wierzby płaczące”

Nad drogami którymiśmy szli

Nad wodami gdzie się zorze płonące

Kładły mostem żołnierzom wśród mgły

Każdy miał swą zieloną wierzbine

I swą dróżkę daleką po kres

Każdy w domu zostawił dziewczynę

Nie otarłszy „błyszczących jej łez”

Więc gdy z wrogiem się mierząc w bój walił

Tę melodię chował w piersi tętniącą

Jak gałązkę na karabin zasadził

Swą piosenkę o tych wierzbach płaczących

Śpiewaliśmy „Wierzby” z zapalem. Chóralnie, na głosy, przy każdej okazji, po kwaterach i w lesie. Przyrosła do nas ta prosta piosenka jak ciepła, serdeczna markietanka. Kiedy nam było smutno i tęskno, nuciliśmy inną, odgrzebaną z legionowych wspominków: „A gdy na wojenkę szli Ojczyźnie służyć, wicher wiał im w oczy u rozstajnych dróg...”⁵⁴. Rzewna, trochę monotonna melodia wyłuskiwała gorące, pełne patosu i goryczy słowa. Upajaliśmy się jej prawdą i tęsknotą. „Ktoś się cicho modlił w murowanym dworze, ktoś w bielonej izbie głową bił o próg”. Myśleliśmy o matkach. Por. „Zdzisław” zawsze się myli w tej zwrotce.

Poza tym śpiewało się wszystko co się dało. Stare wiązanki wojskowe: *Białe róże, Wojenka wojenka, Maszerują chłopcy, Jadą ułani*. Wesoły por. „Roch”⁵⁵

^{c-c} Or. Z piosenką bez łez, ze śmiechem do łez.

⁵⁴ Pieśń legionowa do słów wiersza Edwarda Słońskiego i muzyki Feliksa Halperna powstała 1 grudnia 1915 r. w Warszawie.

⁵⁵ Ppor. WP/kpt. AK-WiN Aleksander Wereszko (1917–1999) „Roch”, „Rosomak” Oficer broni i wyszkolenia w OP I/34 (był również dowódcą I kompanii strzeleckiej). Przeniesiony z dniem 1 czerwca 1944 r. na stanowisko komendanta rejonu VII (Wisznice-Sławatycze)

w mig stawał się dyrygentem. [s. 14] „Nie ma wesela, nie ma muzyki, gdzie by nie było panny Ludwika...” – skandował z zapalem, a chór podchwytywał radośnie: „Panna Ludwika fajna dziewczyna”, i dalej w koło. Śpiewaliśmy z nim razem o „wesołym plutonie i smutnej kompanii”, o „ognistym całusie” dziewczyny, która cię kocha, „bo lejesz krew gorącą, szalem dla niej tętniącą, bo ginąć szepczesz imię jej”.

Strzelał i wzbijał się nad nasze unisono dziarski, soczysty głos „Rocha”. Wspinał się na szczeblach mruczenia swawolnym staccato, zawracał melodię jak dziewczynę w oberku i prowadził piosenkę szumnie, potoczyście, biby samo wesele. Roztrzepotała się czasem swawolna *Młynareczka*, piękna *Hanusia* podawała rączki na bułanka, Belina⁵⁶ prowadził z szabelką ku Warszawie... *Żołnierz drogą maszerował*.

Czasem „Sewer” obwijał głowę rącznikiem, wznosił ręce i oczy w niebiosa i wyciągał żałośliwy *Stambuł*, chór kiwał się zgodnie do wtóru i zawodził tajemniczo: „ała”, „chałwa” albo „makagigi” i zwykle zachciewało się wtedy czegoś słodkiego... „Sewer” ucinał nagle wysokim trelem i trwał jak wniebowzięty.

Nastrój idylliczny wprowadzał „Narbutt” swym popisowym *Pokochaj mnie, pokochaj mnie*. Śpiewał namiętnie, z przejściem, a że nie było z goła niewieścich obiektów zbyt blisko, więc tango biegło sobie ku rozmaitym wymarzonym wizjom, wabiło, kusiło, czarowało i każdy przy końcu mógł sobie westchnąć i powiedzieć – ha! Może się trafi urlop. A pchor. „Wichura”⁵⁷ prosił zaraz o następne tango już wojenne: „Coraz dalej wciąż wędrujem dzisiaj tu a jutro tam...”, i to był kwadrans poświęcony sentymentom osobistym.

Obwodu AK Biała Podlaska. Jednocześnie pełnił obowiązki komendanta Szkoły Podoficerskiej 34 pp w lasach romanowskich. W ramach OSZ dowódca 7 kompanii III/34 pp AK. Aresztowany przez Sowietów 18 września 1944 r. i odbity 8 października z więzienia w Białej Podlaskiej. W Zrzeszeniu WiN początkowo zastępca (od połowy maja 1945 r.), a potem komendant Podobwodu krypt. „Małgorzata” powstałego na bazie dwóch rejonów Obwodu Radzyń Podlaski, a od początku czerwca 1946 r. – Obwodu Siedlce („J-22”). Aresztowany 27 sierpnia 1946 r. w Siedlcach. WSR w Lublinie skazał go na 5 lat więzienia. Zwolniony na mocy amnestii z 22 lutego 1947 r.

⁵⁶ Władysław Belina-Prażmowski (1888–1938). Płk kawalerii WP. Członek Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego przed I wojną światową. Legendarny dowódca siedmioosobowego patrolu konnego z I kompanii kadrowej Legionów Polskich z pierwszych dni sierpnia 1914 r., która wkroczyła do zaboru rosyjskiego. Stała się ona zaczątkiem kawalerii II RP.

⁵⁷ Sierż. pchor. Julian Wilczyński „Wichura” (ranny pod Jeziorami 30 czerwca 1944 r.).

Myślano wtedy o niej, o tej najdroższej i znowu robiło się smutno, bardzo smutno.

[s. 15] „Sewer” na nutę *Wizji sztyldwacha*⁵⁸ ułożył piękną pieśń *To idą w bój partyzanckie oddziały podziemne*, którą staraliśmy się przyswoić na wszystkich drużynach.

Kończyliśmy śpiewne posiedzenia szlachetnym w melodii i słowach marszem, a brzmiał on tak:

Niech ta piosenka prowadzi zawsze nas
Czy w dzień pogodny czy w zawieruchy czas
Żle jest czy dobrze, smutno czy wesoło
Do góry wzniesmy pogodne swe czoła
To jest nasz wielki marsz przez życie aż po zgon
To jest nasz wielki marsz niech dźwięczy pieśni ton
Osiągnąć chcemy cel mimo stu potęg złych
Partyzanci czy słyszycie serc bicie w rytm kroków swych

Dziś maszerujemy słoneczną szosą w dal
A jutro może pożogą niebo spłonie i wyruszymy wśród kul
Na wielki bój

Byliśmy zawsze na to gotowi, ale pieśń wypowiadała gorący entuzjazm hardych, wstydliwie zamkniętych serc.

⁵⁸ Jedna z najbardziej znanych piosenek kawaleryjskich poświęcona 1 Pułkowi Ułanów Krechowieckich, napisana przez Stanisława Ratolda do francuskiej melodii *La Revue Passe* (być może XIX-wiecznej – kompozytor Kries). Według innych źródeł była to melodia *Le Grenadier d'Áusterlitz*. Dokładna data powstania utworu nie jest znana. Pieśń powstała prawdopodobnie w latach 1918–1920.

Humor chodzi zawsze z dobrym żołnierzem krok w krok i noga w nogę – nie jest to jednak, broń Boże, cień. Musiałby być bowiem płaski i ponury, ten zaś śmiga sobie w podskokach zupełnie niby zajączek puszcany lustreczkiem pod słońce, choć żołnierz kroczy poważnie a marszowo.

Oczywiście, że i nasze chłopaki były z zasady wesołe. Nie darmo przecież śpiewali o smutnej kompanii, co wiała przed wesołym plutonem. Kto wie? Może dlatego też udawały się zawsze akcje na Niemcach? Bo ktoś, jak nie oni, łązą sobie z tym humorem „cienistym” pod rękę i dowcip mają taki „ciężki”, że aż w ucieczce ich obciąża?

W oddziale w ogóle wszystko aż rżało z wesela, nawet konie [s. 16] nie obrażyłyby się też z pewnością na dowcip w stylu „i koń by się uśmieł”, gdyż śmiały się ciągle. Do nas, do owsa, pomiędzy sobą i w ogóle. Tak zwane wygłupianie się tępione było bezlitośnie okrutnym, rozrehotanym szyderstwem, lecz dobre żołnierskie powiedzonko rzucone w trakcie w wesołe sedno nabierało zaraz pełnych praw obywatelskich, jakaś od niechcenia wtrącona „złota myśl”, niby stateczna a chichocząca w kułak.

Przywędrowało do nas z terenu takie głupiutkie słówko „nie wąsko” – co się też z nim nie wyrabiało! Odmieniane na wszystkie sensy i bezsensy, przeobrażało się zależnie od okoliczności i intonacji w pychę, radość, podziw. „Nie wąsko” kropiło się Niemców, „nie wąsko” czarowało panienki, „nie wąsko” obsztorcował Komendant. [...]

[s. 17] Życie samo podsuwa rozmaite zabawne okazje – powstawały dowcipy i humor okolicznościowy. Każdy szanujący się zabijaka musiał mieć co najmniej kilka rodzinnych melin. W takim opatrnościowym azylu była zawsze młoda panienka, teść i teściowa. Ostatecznie jedno ze starszych. „Wyśle gdzie Komendant, trzeba zanocować – jest gdzie, przechodzi się wypadkowo z oddziałem, można się pochwalić przed bractwem panną i szacunkiem, jakim cię tam otaczają teściowie...” Zaraz zyskujesz w oczach towarzyszy. Instytucja „teściów”, czyli „Stacja kropli mleka”, albo zgoła pogotowie ratunkowe od wszelkich kłopotów była wprost przewrotową. Teściowa jest tam ważna, doceniana, wprost opatrnościowa! Oczywiście rodziny te kwitły na zasadzie monogamii, to znaczy nie wiedziały jedna o drugiej. Z chwilą „wsypy” kończyły się i łaski. Ani panny, ani teściowie nie darowaliby „swej konkurencji” i zdrajcy. Już teściowie prędzej. Rozumieli męską chytryść.

Z tak haniebnie spalonej meliny należało najszybciej, przynajmniej na jakiś czas, wiać, gdzie pieprz rośnie! Później można jeszcze było uderzyć do łask panny – wrodzona słabość do delikwenta zwyciężała zwykle. Patriotyzm! Lecz stosunki układały się dalej jak klejone skorupy – chyba że się je zdru-towało⁵⁹ miłością. Podobno takie garnki są najlepsze... .

[s. 18] Jeden tylko „Rudy Drugi”⁶⁰ wobec mnogości „teściów” zaprowa-dził oficjalne porządki honorowe na swych melinach... . Niech tylko żaden podejrzliwy nie wyciąga z tego nieciekawych wniosków. Panienki otoczone były zawsze szacunkiem, i nie uwodzone. Nikt tam sobie wzajemnie niczego nie przyrzekał i żaden „teść” nie myślał, by chłopiec z partii⁶¹ był zaraz partią dla córek. Ot tak to się wszystko układało na zasadzie sympatii obustronnych. Wśród chłopców obowiązywało surowe prawo: nie pożądać cudzej meliny i nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu – to znaczy nie dema-skuj go tam, że ma „Teściów” tuzinami. Wypełniano to wiernie, szczerem zaś nonszalancji, popularności czy też kunsztu życiowego była melina z „teściami” w komplecie i... w ogóle bez panny. Tego musiał dokonać tylko dziwny „Jarach”.

„Chrzestne matki” dawał nam Obwód, więc przeważnie chłopcy ich nie znali. Przynajmniej na razie. Była to instytucja również w stylu poprzedniej, lecz cokolwiek na innych zasadach i już bardziej konspiracyjna. Dawało to miłe pole do wdzięcznych mistyfikacji. Zaczęły panny, młodsze i starsze, korzy-stając z przywileju, że kobieta jest przede wszystkim kwiatem i kwiatkiem, a zawsze w kwiecie wieku, przybierały najczęściej imiona z klombów i raba-tek. Chłopcy ogromnie ciekawi dopytywali się ustawicznie o wygląd swych opiekunek. Zaprawdę dużo jest kobiet uroczych na świecie, lecz trudno, żeby zaraz w czambuł wszystkie chrzestne mamy były piękne i młode! Podobne zagadnienie dręczyło i te mamusie: chorowały wprost na bohaterstwo swoich synków. Krakowskim targiem czy sądem Salomona rozstrzygały te kwestie „paczkowe” kurierki, nie biorąc jednak odpowiedzialności za skutki. Na ogół wszystko się udawało szczęśliwie, zwłaszcza jeśli chodzi o „chrześniaków”. Jednak zdarzyło się i tak, że pewna „Mesalina”⁶², co z własną aprobatą kazała

⁵⁹ W znaczeniu: związało; scementowało.

⁶⁰ Kpr. Krzysztof Górczyński „Rudy II”.

⁶¹ Z oddziału zbrojnego.

⁶² Valeria Messalina – słynna z urody i atrakcyjności trzecia żona cesarza Klaudiusza. Była nimfomanką i dopuszczała się wielu podbojów erotycznych. Na rozkaz męża zgła-dzona w 48. roku po Chrystusie.

się przedstawić w naturalnie uroczych kolorach i wdziękach, musiała się też i później na gwałt chować przed ścigającym ją po Białej [Podlaskiej] „synkiem”. Z żalem, lecz po bohatersku wołała pozostać piękną i młodą.

Gdy raz dwie „chrzestne [s. 19] mamy” były w kłopotcie, jak się nazwać oryginalnie – dopasowaliśmy je odpowiednio do synków. Matką „Gucia”⁶³ została Krosteczka, a „Łamigłowy”⁶⁴ – pani Gapa. Krosteczka się trochę broniła, lecz już przepadło. Gapa miała zaś większe poczucie humoru... .

„Martą” opiekowali się trzej „chrzestni ojcowie”, z których jeden ciągle się tym cieszył, a dwaj inni i tak wkrótce wsiąkli do oddziału. Imponujące matki mieli „Żuraw”⁶⁵ i „Sewer”. Komendant zaś na pewno sam nie wiedział, ile ich miał, bo każda z pań i panienek ubiegała się o ten zaszczyt. O melinach „teściów” to już w ogóle lepiej nie wspominać, bo tu tym bardziej trudno się zorientować, gdzie szukał ich sam Tata, a gdzie córeczki, „teściowie”, „teściowa”... . Jak tam było (nie wkraczając oczywiście w ściśle prywatne życie Komendanta), sam diabeł by nie rozeznał. „Zenon” był pogromcą serc, nawet bez własnego starania.

Oczywiście, że humor chodził stale chłopcom po kościach, było się tylko potknąć, już coś strzelało wesoło. Tak się też nieraz wśród salw śmiechu rodziły pseudonimy. Gdy dołączył do oddziału młody brat Taty, jeszcze jako Zbyszek, ochrzczono go natychmiast „Granatem”⁶⁶, bo stanął wśród chłopców z uroczystą pychą, dzierżąc tę broń niby buławę. Śmiech powstał też na widok drugiego młodego warszawiaka o małej głowinie a długich uszach. Nic tylko „Gacek” i „Gacek” i tak już zostało. Tenże „Gacek” wspominał zawsze rzewnie „Mamuńcie” i „Tatuńcia”, a zaczynało się zwykle tak: „Mamuńcia się martwi”. „Mamuńcia się ucieszy”. „Tatuńcio buty zrobił”. „Tatuńcio spodnie przystroił”. Roznietoperzał się jeszcze bardziej, gdy chłopaki ustawicznie robili z „Gacka” ofiarę. Przybyło sobie raz dwóch dżentelmenów – andrusów z Pragi. Należy pamiętać, że Warszawa i Praga kłóciły się między sobą zawsze w oddziale o pierwszeństwo w zasługach bojowych. Tam jeszcze w stolicy i teraz tutaj. Przedstawiciele ulicy Brzeskiej zostali jednogłośnie okrzyczani jako „Tyka”⁶⁷

⁶³ Kpr. Tadeusz Strzałkowski „Gustaw”.

⁶⁴ Kpr. Franciszek Węgrzyniak „Łamigłowa”.

⁶⁵ Kpr. Władysław Bocian „Żuraw” (poległ pod Janówką 25 lipca 1944 r.).

⁶⁶ Kpr. Zbigniew Wyrzykowski „Granat”.

⁶⁷ Szer. Jan Tyczyński „Tyka”.

i „Machaja”⁶⁸. Tak już wyglądali. Jeden niby fasolowa podpórka, drugi rozhuśtany jak strzałka przy dawnym autobusie warszawskim. [s. 20] „Machaja”, cwaniak i łazik, a w głębi duszy trochę dziecko, musiał podróżować na wozie minerki. Właśnie dlatego, że nie miał nigdy do czynienia z końmi.

Nigdy nie mogłam się zorientować, gdzie chodziło o zaprawienie nieumiejętnych we wszechstronności partyzanckich wysiłków, a gdzie sobie dawało upust kawalarstwo. W partyzantce można było zauważyć, że służba przy krowach pędzonych na rzeź wypadła zawsze miejskim chuchrom, a „Gacka”, dzielnego zucha, lecz łamagę sportową, wsadzano gwałtem na konia... .

Królem humoru był „Jastrząb”⁶⁹ występujący zawsze z królewiczem Jaskółką. Już sama zwalista, a niezrównanie komiczna postać Jastrzębia budziła wesołość – coś dopiero gdy się zaprodukował! Wszystkie okolicznościowe historyjki, wyczyny i wypadki przemieniały się w magicznej gestykulacji i minach tego zucha w jakąś niesamowicie zabawną pantomimę. Natchnienia dodawał mu pewnie zawsze „Jaskółka”... . „Gdzie mój brat »Jastrząb«?! Gdzie?” – ryczał, sadząc susami po drużynach. Wiedziało się od razu, że powstaje właśnie kawał. We dwóch błaznowali jak żaki, jak prowincjonalni aktorzy zgrywający się z bezwiednym wdziękiem i dobrą wiarą. Indywidualnie Jaskółka wyrobił sobie pewien typ do odtwarzania: kreację zagapionego połamańca. Trzeba go było widzieć na koniu lub ziemi w czasie ataku takiej roli! Inaczej nie można bowiem nazwać tych scen – „Jaskółkę” po prostu nachodziło.

Oba nasze sowizdrzały w momentach smutnych były niby dobre błazny. Pan płk „Jaskółka” musztrował przeważnie szeregi. Pan „Jastrząb” brzęczał tak, jakby się słyszało dzwoneczki. Bezwiednie mu to przychodziło, nie tyle z myśli, jak z podlaskiego serca.

Dowcip „Kolejarza” był znów zgoła miejski, objawiał się w kwietnych pieniach i nieprawdopodobnych opowiadaniach, takiego wesołka o „wiechowatym”⁷⁰ zacięciu można ze świecą szukać po wszystkich oddziałach.

⁶⁸ N.N. (pochodził z Warszawy).

⁶⁹ Plut. Kazimierz Biernacki „Jastrząb”.

⁷⁰ Wiech – gwara warszawska zaadoptowana literacko przez Stefana Wiecheckiego (Wiecha). Rolą wiechu jest nadanie, zwłaszcza dialogom, elementów rodzajowości i komizmu.

Kpr. „Stary”⁷¹ produkował się dyskretnie i rzadko. Reprezentował humor rasowy, wytrawny, niby coś z Kiplinga, a może i Dickensa. Po angielsku, od niechcienia, z wybranych.

[s. 21] Oprócz czołowych przedstawicieli „komediantów” łąziło po oddziałach mnóstwo typów bezwiednych, zabawnych, śmiesznych. Profile, gęby, gesty, postaci i rozmaity fason w noszeniu siebie, broni czy zagonów – już mogły umarłego pobudzić do śmiechu... . Tu sobie kroczy groźny zawadiaka i zadziera tak nos, że sama postawa budzi szacunek i przestrasz, tam chyłkiem i z wyciągniętą szyją przemyka się pewien cwaniak, wyraźnie celuje w jakąś upatrzoną zdobycz – a tai się, by go kto nie ubiegł. Z wielkim tedy napięciem uwagi, z przebiegłością w ramionach grzbietu sunie, pełza, rozpląszcza się przy płocie i... trach, karambol, już go ubiegli... Opadają desperacko ręce i głowa, i nogi – otom oklapły pajac. A te wrzaski zapału przy oglądaniu nowej broni, a te kłótnie o podkradaną sobie cichaczem amunicję! Walki kogutów, oracje dyktatorów, sztubackie dyskusje i krzyki. Ileż tam komizmu, humoru i ruchu.

Osobny rozdział można by śmiało poświęcić dr. „Atlecie”⁷². Była to zgoła figura czynna i bierna w królestwie śmiechu. Znamy go już ze słownych laudacji i „tragicznego” nazwiska, z szumnego samochwalstwa, lecz trzeba go widzieć w zapale bojowym, przy „uczonym” opatrunku, wreszcie na kwatery... . Przyjechał do nas generał⁷³, „Atletę” aż rozebrało z rozczulenia i śmiechu. Zwinął się bowiem z punktu [medycznego] – wreszcie sam Pan Generał, kolega tego z DOK Brześć, uczciwa kadra przedwojenna. Stoi sobie nasz kapral na samym końcu szeregu, bo był mały, a Komendant lustruje chłopaków przed przeglądem oficjalnym. Zauważył też zaraz rzewny stan bohatera.

– „Atleta”, wystąp!

„Atleta” nic. Stoi, oczy wlepił w Tatę⁷⁴. Sprężył się przepisowo, ale mur. Ani drgnie. Komendant jeszcze ostrzej:

⁷¹ Kpr./plut. Eugeniusz Fedorowicz „Stary”.

⁷² Kpr. Stanisław Koc „Atleta”.

⁷³ Gen. bryg. Ludwik Bittner (1892–1960) „Halka”. W lipcu 1944 r. objął dowództwo odtwarzanej na terenie Inspektoratu Rejonowego – 9 Dywizji Piechoty AK. 14 sierpnia 1944 r. został aresztowany przez NKWD i samolotem wywieziony do Moskwy. Od września 1944 r. był internowany w obozie w Charkowie, potem w Diagilewie i Griazowcu. Do kraju wrócił 4 listopada 1947 r.

⁷⁴ Por. Stefan Wyrzykowski „Zenon”.

– „Atleta”, wystąp!

Chłopcy już truchleją. Coś podobnego nie zdarzyło się nigdy. Pomyśleć nawet nie sposób. Ale niedawno srogi Komendant był i Tatą, więc chociaż taki obcy i bardzo trzymający w służbowym dystansie, teraz właśnie sam podszedł do „Atlety” i klepnął go w ramię raz i drugi.

– No, wystąpże, stary.

I „Atleta” wystąpił posłusznie. Tata go wprost „odkorkował”.

Na defiladę „Atleta” jednak nie poszedł oczywiście. Nie zorientował się w tym zresztą swoim lubym błogostanie. Za to jakiś czas później widzimy, jak nasz „Doktór” z braku podłogi wypróbowuje równy krok na kolejninie drogi i mruczy przy tym: „Pan Generał... Pan Generał”. A generał właśnie sobie przechodził i strasznie się śmiał.

[s. 22] Tenże „Atleta” dokonał raz cudu – uspokoił pieszą babkę. Nikt jej nie mógł dać rady. Była obłąkana i wrzeszczała wniebogłosy, klnąc świat, ludzi, rodzinę, w końcu i nas. Bez przerwy. Ogromnie uciążliwa taka kwatera. Chłopcy z innych zlecili się radzić. Ruszył poskramiać „Wichracki”⁷⁵, dowodził coś babce długo i szeroko. On swoje, babka swoje. Rozkrzyczała się na potęgę. Uciekł. I tak po kolei wszyscy – groźbą, prośbą, perswazją. Babka nic, tylko się drze, jakby ktoś ją ze skóry obdzierał. I to jakby coraz więcej do sensu. Pretensje ma wyraźne, żal zgola nieutulony. Wielkie „natarcie” pękło. Nikt już nie ryzykuje, więc „Atleta” odważył się nagle i... jak nie palnie przemowę, jak nie zacznie nadskakiwać babci, a szeptać czule, w oczka zaglądać. Baba cichnie, baba się uśmiecha – już się wiodą pod rękę ku ławeczce, już gwarzą. Wyraźnie spodobał się babci i to tak, że zapomniała zgola o obłądzie. Chodziła, biedactwo, w ceglanych rumieńczykach na pomarszczonej buzi i wzdychała. „Atleta” zaś puszył się jak paw. Wreszcie i on miał sukces. Meliny⁷⁶ tam jednak nie założył.

Kiedyś przybył znów do nas Komendant Obwodu [AK Biała Podlaska]⁷⁷. Stoją chłopaki szeregiem, a on chodzi i pyta o to i owo każdego. Żołnierze odpowiadają.

⁷⁵ Kpr. Mieczysław Radzikowski „Wichracki” (najprawdopodobniej zastrzelony przez komunistów 17 lutego 1945 r. podczas ucieczki z dworku Samulskich w Litewnikach Starych w kierunku Walimia).

⁷⁶ Kwatera.

⁷⁷ Kpt. WP Seweryn Świeprawski (1902–1972) „Szymon”, „Janusz”. Oficer służby stałej piechoty. Służył jako oficer w 33 pp w Łomży, potem w 12 pp w Wadowicach. W połowie

– Powiedzcie mi, jakie jest wasze wykształcenie? – rzuca któremuś podlaskiemu chłopięciu.

– Melduję posłusznie, panie majorze, rzymskokatolickie.

Chłopaki już się cieszą, już łypią. Lecz taką odpowiedź usprawiedliwia się na unickiej ziemi.

Komendant kroczy dalej i wreszcie może przy dwudziestym kroku znowu wesoła historia:

– Co masz przy pasie?

– Melduję posłusznie, granat.

– Dobrze. Jaki?

– Zaczepny.

– Dobrze. Dlaczego się tak nazywa?

– Melduję posłusznie... bo... bo zaczepiam go za pas!

Tu już i pan major nie zdzierzył.

Nie jest to bynajmniej przykład „przeszkoleniowy”, chłopczyzna” był w ogóle trzeci dzień wśród nas, ale wiarusy mu nie darowały!

[s. 23] Raz dostała „Marta” pewnego konia. Chwilowo, tyle że na jeden przemarsz po stracie klaczy. Ależ to był koń! Czarny węgrzynek tak chudy i płaski, że chłopcy posądzali go o brak trzeciego wymiaru. Istne straszdyłło o wystających gnatach i smutnym, jakby osłupiałym wyrazie pyska. Wcielone nieszczęście końskie, donkiszot i popychadło. Po paru kilometrach przebytych stępa stękał i rozkraczał się rozpaczliwie. Zachęcany rechem chłopaków zrywał się w rozpaczliwy klusik i stawał, wybałuszając kaprawe ślepie. Skąd się wziął, nikt nie wiedział. Dlaczego musiała się „Marta” na nim kompromitować? Bo tabory wtedy nie szły, a przemarsz był długi, żadnego zaś konia zapasowego nie było. W perspektywie zaś dopiero jaśniała wizja brudnego kasztana, lecz trzeba było do niego dojechać. Było tuż po

czerwca 1939 r. został przeniesiony z Wadowic do KOP. Komendant Obwodu ZWZ-AK Łuków (styczeń 1942–styczeń 1943 r.). Komendant Obwodu AK Biała Podlaska od lutego do końca lipca 1944 r. Funkcję tę łączył ze stanowiskiem zastępcy inspektora Inspektoratu Rejonowego „Radzyń”. Po akcji „Burza” dowódca I batalionu 34 pp AK. Uniknął ujęcia przez NKWD w sierpniu 1944 r. i przejął stanowisko inspektora Inspektoratu (pełnił je do połowy października 1944 r.), koordynując reorganizację podziemia AK w warunkach nowej okupacji. Opuścił Podlasie i osiadł w Olsztynie na Warmii (udzielał pomocy materialnej ukrywającym się konspiratorom z Podlasia).

akcji „Burza”⁷⁸. Wędrujemy tak przez wsie – ludzie patrzą, patrzą, a co na „Martę” to w śmiech, zaś chłopcy bezlitośnie dogadują koniowi i pytają mnie z szelmowskim współczuciem, kiedy on padnie? Zwłaszcza „Alfred”⁷⁹ co chwileczkę:

– Pani Marciunia, a jak tam koń – he? Ależ koń!

Przerażonym zjawą ludziom tłumaczyli bardzo chytrze, że to sama Wanda Wasilewska⁸⁰ jedzie.

– A coś oni oboje tacy mizerni i ona, i koń? – pytają niedowierzająco i z szyderstwem baby.

– Spod Moskwy, matko, spod Moskwy tak wędrują... Droga daleka... no, i w ogóle wiadomo, że jak spod Moskwy...

Gdzieś tam jakaś baba coś rzekła. Do Wasilewskiej miała pretensje, nie do „Marty”, ale chłopcom się pokręciło wtedy. Od razu babie dołożyli. Tak czasem rozfigluje się polityka. Swoją drogą rumak ten mógł nauczyć nie tylko cierpliwości, współczucia dla końskiej biedy, ale i zgoła pokory.

Sobótka

[s. 24] Zorza dziś pali sobótkowe ognie
Rzeka podściela się srebrno pod wianki
I noc nadchodzi króciutka jak szczęście
W obręczce świtu, w woni macierzanki

Zaszył się w gąszczu Jan święty
Porzucił dzban jagodowy
Nie schyla się do rzemyka
Ani też nie chrzci u źródłu

⁷⁸ Prawdopodobnie początek sierpnia 1944 r.

⁷⁹ Józef Całczyński „Alfred”.

⁸⁰ Wanda Wasilewska (1905–1964). Członek Rady Naczelnej PPS. Komunizowała przed II wojną światową (zwolenniczka budowy wraz z KPP Frontu Ludowego). Po agresji ZSRS na Polskę w 1939 r. udała się do sowieckiej strefy okupacyjnej. Kolaborowała z agresorem. Przyjęła obywatelstwo sowieckie i osiadła we Lwowie. W 1941 r. przyjęta do Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej (bolszewików). W 1944 r. wiceprzewodnicząca PKWN z ramienia PPR. W 1945 r. została na stałe w Związku Sowieckim.

Bo dziś Marzanna przebiega
Rozchichotana weselem
I pędzi uśpione sarny
Kozłom do wodopoju

Słyszysz jak grają po kniei
Jak szczypią kwiat paprociowy
A w nozdrza chwytają wiatr?

Nad wodą rozsunał się szeregi
Spokój kosańców liliowy

Szlakiem Powstańców Styczniowych

^d[...] *Pod krzyżami Ojców*^d

[s. 25] Na szlakach starych szlakach samotnych
Ślad się wasz dawny dziś ustokrotnił
W lasach szumiących po uroczyskach
Parskają konie i broń znów błyska
Głęboką nocą pukamy w okno
Obrazy święte, przewrócone krosno
W chacie szept modlitw i hasło: Gotów
W kuźniach znów ogień tryska spod młotów
A po moczarach z gąszczów się wlecze
Ni cień ni widmo w ślady człowiecze
Idziem my – Partyzanci
Idziem nowe szeregi powstańcze
W epopeję nas leśną zamknęli
Tak jak was – wbrew na przekór nadziei
Grottgerowa nas chłonie legenda
Polska w sercach ranami przyklekła

^{d-d} Or. W wędrówce pod krzyżami Ojców.

Oddział chodzi w terenie, chodzi, to znaczy przemieszcza się ostrożnie, nocami, przez boczne drogi i wertepy na coraz inne miejsce postoju, co dwa, co trzy dni nowy przemarsz, wyjątkowo tylko wśród dnia. W przeciwieństwie do większości partyzantek nigdy nie rozbijamy „obozu”, nie pozwala na to mały zakres przestrzeni, po której wolno nam krążyć, brak większych lasów, silne zagęszczenie ludności i cały szereg [s. 27] warunków lokalnych. Wędruje się od wsi do wsi, nieraz też pod nosem Niemcom i przystaje na krótko po lasach. W rzeczywistości jest to ciągle kluczenie po jednym powiecie z wrzynaniem się od czasu do czasu w sąsiednie. Każda akcja, przygotowana czy przygodna, wymaga odskoku. Przemarsz odbywa się więc nieraz z fortelami dla zmylenia wrogów i zatarcia śladów. Niejednokrotnie tabor przemieszcza się skrajem drogi, gdzie tylko to możliwe, by nie rozjechać kolein. Szos się unika. W razie konieczności przebycia ich omija się starannie huczące bruki. Mostki przechodzi się po kociemu. Zawsze obowiązuje absolutna cisza, niepalenie i zdwojona czujność nad końmi. Broń stale w pogotowiu, oczy i uszy w kierunku nieprzyjaciela, to znaczy na wszystkie strony. Przypomina to trochę emocjonujące zabawy w Indian lub w złodziei i policjantów, choć zgoła sytuacja nieco poważniejsza. Przyjemność jednak podobna.

Zachód słońca. Pogotowie marszowe trwa. Wozy czekają załadowane. Sprawdza się jeszcze to i owo, zwija ostatnie manatki i żegna z miłą kwaterą. Powoli zapada zmierzch. Warty już ściągnięte, patrole wyszły i wyszli szerepacze. Teraz ruszyła i szpica. Idziemy. Za ubezpieczeniem przednim posuwa się cały oddział, bokami drogi, mając na środku cekaemy, a za nami tabory. Zamyka pochód ubezpieczenie tylne. Konny zwiad chodzi rozmaicie, zwykle jednak samodzielnie. Spotykamy się czasem na chwilowych postojach, przeważnie po kwaterach.

Komendant i szef kompanii konno sprawdzają szyki marszu, rozsyłają łączników i przeważnie rugają.

Noc. Idziemy przez kraj płaski, monotony, wtulony dokoła w niebo smugami lasów, wklęsnięty jak wielka misa obrzeżona świetlistym rąbkiem zorzy. Łagodny, pachnący powiew niesie dalekie rechotanie żab, szeleszczący oddech zasypiających pól. Wchłania nas miękki, ciepły mrok, tylko piach skrzypi. [s. 28] Postukują wozy – pełzające smoki, czasem parskanie rześko koń na szczęście, na dobrą wróżbę. Wąska ścieżynka po bokach drogi, silniej wyczuć stopą niż wzrokiem, rozwija się spod nóg leciutką szarawą wstążeczką coraz dalej i dalej. Trącane w przelocie zboża szemrzą metalicznie,

raz po raz zakłębi się nagle czarny krzak, ożyje kształtem jakiegoś zwierzaka czy baśniowego potworka i znów rozpląszczy się w nocy. Drzewa nadchodzą z wolna, rosną, olbrzymieją. Mijane zatrzepią nad głowami śpiewnym liścianym podmuchem, uderzą kosmatą gałęzią i urywają się raptownie z gasnącym poszeptem.

Gdzieś zakwili żałośnie przebudzony ptak, klapnie miękko niewidzialna żaba, bliźniutko zaszczęknie broń... . Gdy droga dźwignie się nieco, zakołyszą się nagle na jaśniejącym horyzoncie wysmukłe, o stopionych konturach cienie, przepływają powłóczęczą falą jak duchy grzbietem wzniesienia i znów giną. Z daleka odzywają się psy, wkrótce mijamy uśpione chaty. Ślepe okna połyskują srebrnawo szybko. Kwitną wiśnie. Wytryskają nad drogą jak przepyszne ślubne bukiety, a w ich przygasłej bieli, w bezbrzeżnym mroku weselnych gałęzi trzepocze się i drży jakby piosenko-tęsknota, ogromnie prosta i ogromnie swoja. W przelocie rwie się mokre kiście bzów. Co za rozkosz wtulić ukradkiem twarz w liliowe szczęścia kwiecie, uczuć na wargach gorzkawy, chłodny smak liści. Koniowi też miło, gdy mu się pachnącą gałązkę zatknie przy uchu. Niech się i on cieszy.

Znowu wędrujemy wśród pól, znowu ciężki piach, klekoczące mostki, czarne samotne kamienie. Tam gdzieś po niebie pełza i goni reflektor dalekiego lotniska⁸¹, przypomina nam – rozmarzonym zuchwalcom, że wróg czuwa. Szuka sobie ten reflektor samolotów, jest niby też żołnierzem. Jakże krótki jest jego zasięg po wolnych przestworzach, jak ograniczony i tępy w swej monotonii ten ruch. [s. 29] Tam ponad lasem wszędzie łagodny, dobry księżyc – wąziutkim sierpem z jasną gwiazdą poranną. Jeden potężniejszy wiatr od wojny zdmuchnie ze spokojnych niebios tamten sztuczny, błądy sygnał przemocy, a Boże światła nad krajem wstaną, nie przeminą, jak nie przeminie Boża opieka.

Nadpływa ku nam las. Pogrążamy się w czarny nieprzebity mrok, w grabowe, jesionowe bramy, w świerkowe tunele, w leszczynowe ściany. Szum i smutny poświst polatuje górą, dołem ciągnie wilgotny, konwaliowy chłód i pachnie macierzanką. Majestat starych, czcigodnych olbrzymów, chybotałe wesele brzoźek. Drzewa gwarzą, drzewa żyją, drzewa pamiętają... . Wędrujemy szlakiem powstańczym, zapewne tędy przed 80 laty przechodzili

⁸¹ Dawne lotnisko Podlaskiej Wytwórni Samolotów w Białej Podlaskiej.

Rogiński⁸², Lewandowski⁸³, tu może odpoczywał ze swą partią ks. Brzóska⁸⁴. Te same lasy, te same drogi, ta sama tułaczka i tęsknota. A czy ten sam los?

Do świtu jeszcze daleko, więc daleko i do miejsca postoju. Przedzieramy się paprociowym duktem pod świetlistą strzałą nieba płynącą nad wierzchołkami drzew. Gdzieś gdzie zbiegną się te ściany lasu, może i kres wędrówki, lecz jakby w nieskończoność idą drzewa i w nieskończoność wloką się drogi... Tyle ich, a żadna nie prowadzi do domu. My zresztą domu nie mamy. I koń nasz nie ma żłobu.

Las urwał się nagle, przeprawiamy się przez mokradła, wozy grzęzną, postronki się rwą. Ktoś klnie. Ktoś wzdycha nad odparzonymi nogami. Woda chlupie w butach. Zatrzymujemy się na przymusowy postój. Krótki odpoczynek. Pod osłoną krzaków można ukradkiem pociągnąć papierosa w rękawie, można popieścić wilgotne chrapy miłego towarzysza, podsunąć mu pod pysk przygarść soczystej trawy, byle nie rżał i schylał się nieodpoprężony. [s. 30] Szef kogoś straszliwie objeżdża, a trzecia drużyna kłóci się syczącymi szepotami. Taboryci chronią łańcuchami i wyciągają wozy. Malutki „Brono”⁸⁵, taborowy komendant, szaleje. Wreszcie gotowe – ruszamy. I znowu monotonia

⁸² Roman Rogiński (1840–1915). Zwolennik „czerwonych”. Wyznaczony przez Komitet Centralny Narodowy komisarzem województwa podlaskiego w 1862 r. Po wybuchu powstania styczniowego bezskutecznie próbował opanować rosyjski garnizon z 22 na 23 stycznia 1863 r. w Białej Podlaskiej. Brał udział w bitwie pod Siemiatyczami 7 lutego 1863 r., gdzie jego partia powstańcza została pobita. Z jej resztkami przeszedł na Polesie, gdzie po wielu starciach z Rosjanami został ujęty 3 marca 1863 r. przez chłopów białoruskich pod Turowem i przekazany zaborcy. Karę śmierci zamieniono mu na 20 lat katorgi na Syberii.

⁸³ Walenty Lewandowski (1823–1907). W powstaniu styczniowym naczelnik wojenny województwa podlaskiego w stopniu pułkownika od 5 stycznia 1863 r. Walczył z Rosjanami po obu stronach Bugu. Uczestniczył w przegranej bitwie pod Siemiatyczami, a następnie stoczył bitwy pod Woskrzenicami (17 lutego) i Sycyną (21 lutego). 24 marca 1863 r. dostał się do niewoli rosyjskiej. Karę śmierci zamieniono mu na osiedlenie bez praw na Syberii.

⁸⁴ Ks. Stanisław Brzóska (1832–1865). Ksiądz rzymskokatolicki. Po wybuchu powstania styczniowego pełnił funkcję naczelnika administracji powstańczej w powiecie Łuków. Mianowany przez Rząd Narodowy naczelnym kapłanem wojsk powstańczych w stopniu generała. Uczestniczył w wielu starciach z Rosjanami. Wiosną 1864 r. utworzył własną partię powstańczą rozbitą w końcu grudnia tego roku. W kwietniu 1865 r. został ujęty po walce wraz z adiutantem Franciszkiem Wilczyńskim we wsi Krasnodęby-Sypytki pod Sokołowem Podlaskim. Wyrokiem sądu polowego został skazany na śmierć przez powieszenie. Egzekucja odbyła się 23 maja 1865 r. na sokołowskim rynku. Był ostatnim powstańcem w Królestwie Polskim.

⁸⁵ Wachm. (N.N.). Używał też pseudonimu „Trębacz” („Trąbka”).

pól, łąki mleczne w tumanach, krzyże pochyle i smutne, gdzie przypadnie na moment ptaszcącym trzepotem króciutka partyzancka modlitwa.

Nadjeżdża Komendant, należy zdwoić czujność. (Zapewne w pobliżu są Niemcy.) Na razie nic nam wiedzieć nie wolno, ale łącznicy robią się zaraz okropnie ważni, więc leciutka emocja chwyta za piersi. Zasadzka, oblawa, przypadek? Idziemy niemal bezszelestnie, lecz nic się nie dzieje. Czegoś nagle szkoda i w końcu rozczarowanie. Ogarnia teraz coraz większe zmęczenie, głowa i nogi ciężą ołowiem, dokucza chlebak, nawet broń. Robi się zimno, jest głodno. Jeszcze parę kilometrów. Taki niewielki marsz, ale buty są złe, siły też nie herkulesowe i czegoś dolega już poniewierka. Daleka jest droga nie tylko do Tipperary⁸⁶, daleka jest do własnej Ojczyzny partyzanckim marszem. Ale dojdziemy na pewno. Na razie dobijamy już do kwater. Niebo blednie, towarzysz przestaje być cieniem, wynurza się powoli zarys krajobrazu. Z wolnej przestrzeni pól, lasów i nocy wchodzimy w surową rzeczywistość, a przecież, choć zewsząd czai się wróg, jesteśmy tu u siebie, bo nasz jest ten śliczny kraj, nasze całe Podlasie i wsie, i miasteczka, i ludzie w nich są nasi. Oto z pierzastych mgieł wystrzela wiatrak ogromny, palczasty, niby runiczny znak słowiańskiego uroczyszcza, wynurzają się z białej topieli baty żurawi studziennych i zbita gęstwa sadów. Wschód różowieje pod chmurami. Po opłotkach pieją koguty. Idzie dzień. U wylotu wsi stada rozwrzeszczanych gęsi. Psy [s. 31] ujadają straszliwie. Jesteśmy na miejscu.

⁸⁶ *It's a Long Way to Tipperary* (*Długa droga do Tipperary*) to irlandzka pieśń skomponowana w 1912 r. Pieśń była popularna początkowo wśród oddziałów irlandzkich, a następnie śpiewana przez anglojęzycznych żołnierzy na frontach I wojny światowej. Stała się jednym z jej symboli. Zwrot „it's a long way to Tipperary” w przenośni oznaczał długą drogę do domu rodzinnego, do ukochanej, do celu, do kresu trudów i wyrzeczeń.

„Podlaski szlak”

Szara podlaska chato

Szara podlaska chato
Wy ludzie sercem prości
Jak w owo dziwne lato
Wasz próg nas pięknie gościł

Jak wasze ręce znojne
Łamały chleb jak miłość
I synów dały wojnie
Na losów złych zawilość

Jak wasze krzyże polne
Trzymały wartę z nami
A poszum srebrnych topól
Drżał w śnie nad żołnierzami

Szara podlaska chato
Wy ludzie sercem prości
Wyszliście przebogato
Na drogę ku wolności

Oddział wchodzi do wsi, kwatery już przygotowane przez patrol. Wozy rozjeżdżają się w różne strony, my zdobywamy stodoły i kominy po chatach. Przyjmują nas ludzie rozmaicie, po raz pierwszy niejednokrotnie z przerażeniem, zwłaszcza że noc sprzyja takim nastrojom (obawa band). Dla wielu jesteśmy jeszcze „bandą”. Dalej lęk przed odpowiedzialnością, obawą, zaskoczeniem ze strony Niemców. Skutki bywają zawsze groźne. [s. 32] Ludzie są sterroryzowani i zmęczeni już bez granic. Traktują nas więc również jako dopust Boży. Poza tym chłop, a w szczególności podlaski, jest nieufny, konserwatywny i bardzo trzeźwy. Jesteśmy dla niego garścią szaleńców. A jednak patriotyzm i zacięta nienawiść do wroga bierze górę, reszta przychodzi od

^{e-e} Or. Przybyli ułani pod okienko.

nas samych. Na razie przy wspólnej dobrej woli układamy się. Chłopcy nic nie rabują, nie niszczą, zachowują się przeważnie delikatnie. Kwatermistrz dobrze płaci. No i wreszcie przecież to polskie wojsko, chociaż od świętej Jadwigi⁸⁷. Najtrudniejszy jest początek, nieufną wieś trzeba po prostu wziąć sobie w jasyr.

Jest jeszcze noc, włazimy hurmem do izby. Wystraszona kobiecina coś tłumaczy, molestuje i płacze. Gospodarz patrzy spode łba, milczy. Bezzębna baka żegna się krzyżem świętym i spluwa. Niedobrze. Więc wesoły por. „Narbutt”⁸⁸ bierze w obroty starego, potrząsa kordialnie jego rękę, pyta, czy ojciec trunkowy i ile Niemcy zdarli kontyngentu. Gospodynię obskakują chłopcy i już jej życ nie dają, robią taki humor, rwetes, wesele, że baba głupieje i w końcu wybucha śmiechem. Do babki przypuszcza szturm „Atleta”, on jest specjalistą od babek. Po tajemniczych szeptach i wymownych gestach babka mięknie i puszcza obfite ślozy. „Marta” zaś odkrywa tulące się po kątach dzieci. Wielkie niebieskie oczy patrzą ze zdumieniem i lękiem, buzia w podkówkę i drży, ale po chwili mały pastuszek wędruje nieśmiało do guzika z orzełkiem. Na twarzyczce jawi się błysk uśmiechu: „Ja chcem mieć tys takiego”. Przymierze zawarte. Resztę dopełniają dziewczęta. Boczą się trochę, cenią, chichoczą. Wtedy wiara z „Atletą” na czele przypuszcza szturm generalny i wieś zdobyta. Kobiety litują się teraz w macierzyńskich sercach nad chudziakami, wyrostki pociąga i olśniewa broń. Niejeden gospodarz przypomni sobie, że to „w dwudziestym roku tys wojował”, tytoniem poczęstuje, o politykę ostrożnie zapyta.

[s. 33] Zdarza się, że ktoś z wiejskich odkryje w oddziale znajomka albo krewniaka, wtedy radość, nawet pycha. Akcje skaczą nagle o wiele procent. Kawaleria robi swoje, jak zwykle. Gdy przeciąga przez wieś w ciągu dnia – jak huragan, jak sama piosnka o malowanych ułanach, baby płaczą, dziewczyny wyłazą ze skóry, a gospodarze prostują się mimo woli. Taka to już jest polska miłość do konnicy. Na radio mogą się schodzić wszyscy. Słuchają z nabożeństwem i wzruszeniem, pilnują czasu komunikatów, chwytają gorączkowo każdą wieść dobrą, wierzą jej.

⁸⁷ Jadwiga Andegaweńska (1373/1374–1399), król Polski od 1384 r. Żona Władysława Jagiełły, wielkiego księcia litewskiego i króla Polski po chrzcie i małżeństwie z Jadwigą w 1386 r. na Wawelu. Święta Kościoła katolickiego (kanonizowana przez Jana Pawła II 8 czerwca 1997 r.), patronka Polski i apostoł Litwy.

⁸⁸ Ppor. Stefan Lemieszek „Narbutt”.

Na stare kwatery wracamy nieraz jak do siebie do domu. Ileż po tych wsiach zostawiamy przyjaciół! Znamy ich rodziny, dzieciaki, ich konie i psy. Znamy kłopoty, troski, nieszczęścia i radości. Oni ze swej strony nie szczędzą nam serc. Dopytują się o nieobecnych, opłakują zabitych, cieszą się żywymi. Dostajemy czasem nieśmiałe gościńce na drogę. Jedna z gospodyń na Felinie⁸⁹ nie chciała wziąć pieniędzy za pobraną żywność. Tłumaczymy, perswadowujemy. Nie i nie. Ofiarowała się. Pytamy dlaczego? „Żeby panią »Martę« nie zabiło co, broń Boże...”. Na jednej ubożuchnej kolonii kobiecina wyciągnęła ze strzechy butelkę wódki, jedyną, jaką miała, żeby ugościć. Pewna wieś przysłała gońca i prośbę, żeby koniecznie u nich stanąć. Dla Pana Komendanta ułożono nawet podłogę... Olszanka wydaje wspaniały obiad własnym sumptem, znosi kwiaty. Zaścianki przyjmują nas tak po staropolsku, tak serdecznie, że wyjechać ciężko, a wracać jak do raju. Ileż tam duchowego zdrowia, ile tężyzny i patriotyzmu! Gdzie jak gdzie, ale u nich chyba to sama Polska przysiadła sobie na niskich progach ganeczków.

Wychodzimy prawie zawsze z nowymi ochotnikami, były włościańskie rodziny co po dwóch, trzech synów nam oddawały.

– [s. 34] Wstawcie się za mną, uprosicie Komendanta – błagał w Sz. [pakach?] młodziutki chłopaczyna. Tłumaczymy, że za młody, że wąty, że wreszcie musi i ojciec pozwolić, a wiemy, że ojciec przeciwny.

– Ja i tak do was przyjdę, ucieknę stąd – mówi z desperacją. – Nie odgonicie... W oczach aż łzy. Uciekł, dowędrował. Nie odgoniliśmy.

Propaganda – wielkie, obce słowo zmieniające zgoła oblicze ziemi, przetrzucające armie po świecie, wstrząsające wnętrzem narodów. Na usługach ma płachty dzienników, jaskrawe afisze, blask gigantycznych filmów, posłuszne fale eteru. Nagina dla siebie potęgę żywego słowa i poszept płynący podziemnym nurtem. Propaganda... została gdzieś daleko. Wieś jej nie lubi, nie szanuje, prawie nie zna i wsi nie trzeba propagandy. U nas jest po Bożemu, po katolicku, bo ksiądz wyjdzie ze mszą polową, a ludziska ściągną pobożnie i chętnie. U nas jest po polsku, bo chłopcy noszą orzelki i noszą broń, chcą o wolność walczyć i walczą. To wszystko... . Takiej Polski potrzeba, takiej pragnęli ojcowie i dziady, którzy nie wiedzieli zgoła, co to za sztuczny stwór propaganda. „Miej serce i patrzaj w serce” – powiedział dobry wieszcz. Serce jest Polska. To wszystko.

⁸⁹ Wieś w gminie Huszlew (obecnie pow. łosicki).

Nie wypłacimy się nigdy tej polskiej wsi. Że się tu i ówdzie komuś pomogło, że się dało lekarstwo, że się ulżyło trochę na ciele i duszy, obroniło od band – to wszystko jest nic. Narażaliśmy tych ludzi straszliwie. Bóg dał, że oprócz dwóch tragicznych, a dla nas przez to bardzo bolesnych, wypadków tych kilkadziesiąt miejsc postoju ocalało. Więc jeśli oddział przetrwał w terenie, jeśli rósł i walczył, mamy to w ogromnej mierze do zawdzięczenia zacnej podlaskiej wsi. Była ona dla nas tak jak ta młoda matka, którą usłyszeliśmy mówiącą do synka: „Patrz Stasiu, zapamiętaj: to jest polski żołnierz, trzeba mu wszystko dać i trzeba go kochać mocno i z całej siły”.

Amerykanie

[s. 35] *Z latającej fortecy do lasu*

Gdy powrócicie do swoich w szeregi
Mówcie że trwamy mówcie że jesteśmy
Że kraj nasz cały krwią spływa
Chłostany germańskim knutem
Że z każdą nocą obrońców ubywa
Tysięczne rzesze wloką się przez śniegi
Tysięczne rzesze powiązane w drutach
Kominy dymią
To w ich krematoriach giną nam dzieci!
A my czekamy po lasach
A my stoimy pod bronią
I knujem zemstę w podziemiu
Zza węgła mierzym ręką przyczajoną
A w nocie chrystusowe w nocie śmiercią parne
My im wysadzim pociąg sanitarny
Za nasze dzieci
Niech go nie chroni
Święty – znak czerwonego krzyża
Niech na ostatniej stacji i im zabraknie wody
I głuche będą niebiosy
Niech mrą i giną bezbronni

A dusze niech wloką z nieba bogi
Piekielnej wiary germańskiej
A ścierwo niech psy rozwłóczą złe, głodne i bezpańskie
Za nasze dzieci za żony bite o ścianę za włosy
I za to o Wolny Narodzie zza oceanu i chmur
Że w nas zdeptali rycerzy

[s. 36] Gdy powrócicie do swoich w szeregi
Powiedzcie Wielkiej Ojczyźnie od puszczy Kanady do gór
Że my czekamy że trwamy
Że w lasach ukryte zbiegi
Płoszą wojenne pochody
Że szarpią niszczą złą siłę
Powiedzcie że partyzanci i lasy – to Termopile.

Wyście słyszeli wyście widzieli
I przeszli nasze drogi
Wam nic nie było obce
Świadczyć przed światem wy przyjaciele
Leśni Żołnierze
Amerykańscy Chłopczy!

Staliśmy wtedy na postoju w małej wiosce o dziwacznej kozackiej nazwie Harachwosty. Nastrój panował pod psem, bo z gromadki zuchów, która udała się do Białej [Podlaskiej] na bardzo niebezpieczną akcję⁹⁰, nie powrócili

⁹⁰ Z rozkazu Kierownictwa Walki Cywilnej patrolu AK z OP I/34 por. Stefana Wyrzykowskiego „Zenona” i OP II/34 por. Stanisława Chmielarskiego „Lecha” przeprowadziły 19 czerwca 1944 r. kilka akcji likwidacyjnych Volksdeutschów, agentów Gestapo w Białej Podlaskiej. Na ulicy Brzeskiej (obecnie deptak od strony placu Wolności) ciężko raniono funkcjonariusza Policji Kryminalnej – Konstantyna Bałdygę, zabito zegarmistrza Stolarczyka na Woli, restauratora Śledzia na ulicy Witoroskiej.

„Wieniawa”⁹¹ i „Lech”⁹². „Wieniawa” był tak jak stracony, bo ciężko ranny i pobity dostał się w ręce Gestapo. O „Lechu” brakło wiadomości.

Skończyły się właściwie ćwiczenia, więc korzystając z wspaniałego słońca, chłopaki się rozlażyli po sadkach. Nagle na niebie ukazały się potężne eskadry samolotów⁹³. Szły górą, wysoko, wtopione niemal w olśniewający błękit, mieniąc się chwilami jak białosrebrzyste rybki na falach słonecznego powietrza. Prawie jednocześnie z pobliskiego lotniska⁹⁴ odezwała się artyleria i wyszykowały pościgowce. Oddział już był na nogach. „Amerykany! [s. 37] Amerykany lecą!” Wyskoczyliśmy na skraj łąki, by lepiej obserwować. Lornetka przechodziła z rąk do rąk i gołym okiem można było doskonale odróżnić ciężkie bombowce sunące majestatycznie, z powagą od fali jaskółkowatych myśliwców, które towarzyszyły im niby stada drobnych ptaszków za jastrzębiami. Na nie to rzucił się pierwszy impet pościgu. We wsi zaczął się oczywiście popłoch, łąkę ogarnęło ogromne podniecenie. Wszystko zresztą trwało bardzo krótko: kilkanaście efektownych piruetów i kólek, kilkanaście błysków między obłokami, warkot jazgotliwy, to znów perlisty i białe łagodne dymki to tu, to tam, jak puszki kwitnących topoli dmuchnięte wiatrem w powietrze. Niebo nad walką niby modry rozhuśtany klosz, szkliste i słoneczne. Powoli odpływają w jego dal swobodne, niepokonane samoloty. Pościgowcom jakby zabrakło tchu, kręcą się jeszcze, starają dopaść nieprzyjaciela, lecz czynią już tylko wrażenie złych pszczoł krążących w zasięgu ula.

Działa jeszcze huczą i oto nagle, już w siwej dali, odrywa się od szybujących spokojnie kuzynów jeden z ptaków widocznie trafiony artyleryjskim

⁹¹ Strz. Józef Skowron „Wieniawa”. Według meldunku Ekspozytury nr 2 KG AK w Siedlcach: „19 VI [1944] oddział żołnierzy węgierskich udał się po drzewo do lasu Bagonica pow. 171 [Biała Podlaska]. Na drodze spotkał 2 mężczyzn, których zatrzymał i legitymował. Jednego po wylegitymowaniu zwolniono, drugi [»Wieniawa«] zaś wyjął broń i zabił jednego Węgra. W ucieczce za nim Węgrzy rzucili granaty i oddali kilka strzałów. Rannego ujęto i odwieziono do m.[iasta] 171 [Biała Podlaska], gdzie oddano go w ręce Gestapo. Ujęty przyznał się, że jest Polakiem”. (Wiad.[omość] od Węgra, potwierdzona przez szereg osób.) (Kopia dokumentu w zbiorach Mariusza Bechty.) Ujęty żołnierz AK został przez Niemców rozstrzelany (lipiec 1944 r.?).

⁹² Szer. Jerzy Kwoka „Lech” (ranny pod Zalesiem 1 kwietnia 1944 r.).

⁹³ Opis przelotu z 21 czerwca 1944 r. amerykańskich 114 superfortec B-17 G w osłonie 70 myśliwców P-51 Mustang po bombardowaniu Zagłębia Ruhry na sowieckie lotnisko w Połtawie.

⁹⁴ Niemieckie lotnisko szkolne w Krzewicy koło Międzyrzecza Podlaskiego, z którego poderwały się myśliwce Me-109.

pociskiem. Wpada prawie natychmiast w chybotliwy korkociąg i z długim ogonem dymu wali ku ziemi⁹⁵. Ten i ów z nas aż zakrzyknął z wrażenia. Patrzymy jak urzeczeni, przyjacielskie maszyny już roztopiły się w przestworzach, lotnisko ucichło, gdzieś warczą jeszcze dokuczliwe niemieckie samoloty, a nad siną smugą lasu coś dymi, coś przyciąga uporczywie oczy i serca... . Za chwilę w Harachwostach zawrzało: rrrany Boskie, toż tam Amerykańcy mogli się uratować na spadochronach. Teraz im trzeba pomóc, ocalić od Niemców! Tylko szybko, szybko! Komendant sam to wie, bo wścieka i gotuje, ale zwarta ława ochotników napiera i aż skamle z uciechy.

Jak i kiedy Tata wydał rozkaz, Bóg raczy wiedzieć, bo w niespełna kilkanaście minut pędziła na łeb na szyję w tumanach kurzu kawaleria, a za nią dudniły taczanki. Oficerowie musieli wprost poskramiać tumult wśród zawiedzionych amatorów wyprawy, bo dosłownie chciał lecieć cały oddział. [s. 38] Zaczęły się teraz wlec długie chwile oczekiwania dla obozu... .

A tymczasem patrol gonił ile sił w nogach i ile siły w koniach. Przypuszczenia okazały się trafne, załoga złożona z dziesięciu ludzi zeskoczyła w ostatniej chwili z trafionej maszyny. Ostatni wyskoczył dowódca. Trzech ludzi wpadło w ręce Niemców, siedmiu dostało się w nasze. Niemcy przybyli na samochodach z pobliskiego Worońca. Nasi chłopcy konno trochę na przełaj, lecz zawsze mając około 10 km i drogi i... prawie jednocześnie byli z żandarmerią. Sytuacja wytworzyła się w stylu piosenki: „tobie siodło a mnie koń”, w tym wypadku samochód. A jednak ponieważ nasze szczęście stało zawsze w odwrotnym stosunku do istotnych możliwości – więc siodło okazało się zgola koniem. Przyjechaliśmy na czas, świsnęliśmy Niemcom spod nosa większość Amerykanów i jeszcze uciekliśmy szczęśliwie ze zdobyczą i ze spadochronami. Robota czysta jak złoto. Żal nam tylko było tamtych trzech – okazuje się – rannych, dlatego też żandarmom łatwo ich było podjąć. Oczywiście, że na pytanie Niemców ludzie miejscowi byli zdziwieni i głusi, nam pomagali w amerykańskiej obławie gorliwie i z zapałem. Nie obeszło się bez tragikomicznych scen. Tyraliera niemiecka była tuż tuż, przetrząsany teren dosyć duży, zboża już wysokie – trzeba szukać i uważać na nieprzyjaciela. I oto taki bratanek Wuja Sama przycapnięty w krzakach z anglosaską leguminą, lotniczy „klucz” międzynarodowych rozmówek i wodzi palcem

⁹⁵ Strącona została superforteca, której załoga uratowała się, skacząc na spadochronach w rejonie Worońca.

po tekstach. Nie pomagają przynaglania na migi i rozpaczliwe gesty. Wreszcie zaczynający coś kapować cudzoziemiec podtyka pod nos wzburzonego partyzanta pytanie, które brzmi: „Jak daleko znajduje się nieprzyjaciel?”. Zapytany z niedbałą miną, lecz z pośpiechem podkreśla mu 200 metrów. I dopiero przerażony Amerykaniec kapituluje. Inny jego kolega nic nie rozumie, kto i dlaczego go łapie mimo mundurów i broni. Tata nie ma czasu tego tłumaczyć, jest w ogóle już oburzony taką ignorancją i brakiem zaufania. A że to człowiek porywczy i szybkiej decyzji, ogłusza nieszkodliwie [s. 39] delikwenta i porywa go ze sobą jak brankę w jasyr, bo Niemcy prawie już na karku. (Później wyściskali się serdecznie obaj przez to zdarzenie.) Koniowodni trzymali szkapy na skraju lasu, chłopcy rozstrzelili się grupkami, teraz się wszystko zbiera po wycofaniu. Niemcy zrezygnowali i na pewno udali, że nas nie widzą⁹⁶.

Powrót nastąpił zgoła triumfalny. Ludność po drodze zatrzymywała na poczęstunek, rzucała kwiaty. Jeden z dworów porwał ekspedycję na wspaniały obiad. Oczywiście, że wjazd do Harachwostów był wielką, długą manifestacją, zwłaszcza że w miarę upływającego czasu należało zdwoić czujność, by nie robić szumu koło miejsca postoju, więc Amerykanie „kapali”, a wieś i chłopcy bez przerwy czekali i wiwatowali. Dwie małe dziewczyneczki podawały gościom jeden i ten sam bukiet jaśminu opasany białymi i czerwonymi wstążeczkami z warkoczów. Było to dosyć komiczne, ale to z powodu braku tych wstążek, skoro więc jeden z Amerykanów wkroczył na kwaterę i bukiet położył, dzieciaki porywały kwiaty i znów pędziły na wartę. Myślę, że obdarowywani nie zauważyli tych manewrów. A w ogóle byli oni tak ogłuszeni wypadkami dnia, że robili wrażenie jakby z lekka zawianych i [to] nie na wesoło, raczej mocno wszystko nadrabiali minami. Od części jednak zaplątał się wesoły „Linowiec”⁹⁷, co tak dobrze trzepał po angielsku i taką

⁹⁶ Zob. Aneks nr 1.

⁹⁷ Postać tajemnicza i budząca wiele kontrowersji. Więcej na jej temat jest domysłów niż informacji pewnych. Nie jest nawet znana jej prawdziwa tożsamość. W literaturze najczęściej występuje jako kpr. Zygmunt (lub Tadeusz) Szarfa „Linowiec” (nazwisko okupacyjne, które również może być pseudonimem). Miał być byłym członkiem KPP pochodzenia żydowskiego zatrudnionym w bialskim „Rolniku” przed II wojną światową. Istnieje też poszlaka, że jako „Kaczmarek” był kierownikiem kina (lub pracował w wytwórni filmów) w Warszawie. W bliżej nieznanych okolicznościach wydostał się z bialskiego Gestapo (choć może było to więzienie przy ul. Prostej) na wolność. Przechowywał się na kwaterach partyzanckich na kolonii wsi Krzymowskie, Krasna i Waśkowólka, zanim dołączył na

miał słabość oraz wędh do Ameryki, że na własną rękę wytropił także jej lotników. Teraz przyciągnął na stałe już za nimi jako tłumacz, gospodarz i coś w rodzaju męskiego bawidamka. On też pierwszy wyłuszczył Amerykanom o nas i w straszliwy z goła sposób przedstawił nędzę niewoli niemieckiej, od której ocalili ich weseli partyzanci. Nie wiem jednak, czy trzeźwym Anglosom więcej nie trafił do przekonania por. Staś ze swoją stacją – najlepszym kolegą angielskich alianckich obozów.

„Marta” usmażyła im krwiste befsztyki i omlety na deser. Opatrując dotkliwie potłuczonego trochę upadkiem dowódcę, zauważyliśmy, że nogę miał [s. 40] już przewiazaną pocziwą podlaską chusteczką. To już jakaś nasza babina zlitowała się nad „zamorcem”. Powoli goście się oswoili: zachwycali się głośno „świętymi obrazami”, prymitywizmem chaty – słomiane strzechy, suszące się na płotach gliniane garnki wydawały się im zgola egzotyką. Ogromnie się dziwili żurawiom.

Obsiedliśmy „chłopców z nieba” robić propagandę. Zmęczyliśmy ich strasznie, bo wszystko na raz: i historia z Pułaskim i Kościuszką na czele (okropnie wymawialiśmy im tych bohaterów) i obecny ruch partyzancki,

stałe do oddziału AK. Zob. S. Kordaczuk, *Wywiad z Aliną Sawicką*, Zawadki 21 sierpnia 2003 r., Kaseta 530 (rękopis notacji w zbiorach Mariusza Bechty). Od stycznia do marca 1944 r. był szefem OL „Zenona”, następnie jego kwatermistrzem do 22 czerwca 1944 r. (w chwili uratowania lotników amerykańskich został ich tłumaczem, gdy niespodziewanie przed resztą partyzantów ujawnił świetną znajomość języka angielskiego). Po akcji „Burza” dowódca 34 pp AK „Rozkazem dziennym nr 6/44” z 5 sierpnia 1944 r. udzielił „Liniowcowi” z I/34 pp AK dwutygodniowego urlopu (5–18 sierpnia) celem uporządkowania pracy we własnym majątku (nie znamy jego lokalizacji). Zob. APL, Okręg ZWZ-AK Lublin, Obwód Biała Podlaska, sygn. 185, k. 9. Jednak po wkroczeniu Armii Czerwonej do Białej Podlaskiej widziany był przez kolegów z oddziału w mundurze majora NKWD w koszarach 34 pp przy ul. Warszawskiej. Na początku sierpnia 1944 r. miał on rzekomo ostrzec swego dowódcę „Zenona” przed wzięciem udziału w odprawie (która okazała się pułapką) kadry dowódczej 34 pp AK w Białej Podlaskiej z oficerami sowieckimi. Raz jeszcze miał pomóc finansowo ppor. Janowi Giewartowskiemu „Jankowi” przypadkowo spotkanemu na ulicy przy siedleckiej katedrze w drugiej połowie sierpnia 1944 r. Zob. Rozmowa telefoniczna Mariusza Bechty z Tadeuszem Sobieszczakiem „Dudkiem” 18 lipca 2014 r. (notatka). Według hipotezy jednego z badaczy był on już przed II wojną światową sowieckim agentem („śpiochem”), który w Armii Krajowej dyskretnie kontrolował radiostację R-31 (kierowaną przez por. Stanisława Kujawińskiego „Żonkila”) przez organizację jej osłony. Zob. S. Kordaczuk, *Bitwa Oddziału Partyzanckiego „Zenona” w Jeziorach*, Siedlce 2008, s. 60–61. Wyjechał z PRL do Szwajcarii, lecz utrzymywał kontakt listowny z krajem. Zob. AAN, Akta Aliny i Eugeniusza Fedorowiczów.

i broń zrzutowa – nasza pycha, świadectwo przynależności do sprzymierzonych, i nasze piosenki, i monologi (tego już nic nie rozumieli). Odbywało się to wszystko w tłoku, z wrzaskiem nad „Liniewiczem”, który tłumaczył jak nakręcona pozytywka. Wymienialiśmy też na gwałt rozmaite pamiątki, zupełnie jakby Amerykanie już się z nami żegnali. Tu jednak nasze oszołomione, uśmiechające się uprzejmie ofiary wpadły w ożywienie. Skwapliwie brali małe srebrne monety i orzełki, w zamian chętnie odpinali swe odznaki i wspaniałomyślnie darowali nam lotnicze pudełeczka – bardzo tajemnicze ze względu na zawartość. Były tam malutkie mydełka do golenia, jakieś czekoladowe pastylki, jakieś medykamenty na podtrzymanie sił przy długodystansowych lotach. Wstyd i groza, ale nasze chłopaki przypominały w tym momencie zupełnie „czarnych ludzi”, gdy tak stali grupkami, zjadając i smakując, a jednocześnie pokazując na niebo. Było to jeszcze zapewne przeżywanie na nowo dzisiejszych przygód. Skutki zaś wystąpiły niezapowiedziane, to w zapale niejeden połknął mydło i były mocno prozaiczne.

Nad ranem mieliśmy alarm. To szła sobie obława na nas pomnożonych przez siedmiu Amerykanów. Mnożnik był tak cenny, żeśmy urosli i w oczach Niemców. Samochody sunęły o kilometr od miejsca postoju, we wsi trwało ostre pogotowie, a nasi Amerykanie, [s. 41] zerwani ze snu, nieprzyzwyczajeni do tego życia zajęczo-tygrysięgo, wyglądali bardzo niewyraźnie. Później im z wolna przeszło i też zżyliśmy się bardzo. Ulubieńcem oddziału i okolicznych, bliskich nam domów był różowy, śliczny jak panienka, a straszny drągał, Tommy⁹⁸. Komendant miał zaś słabość do swego „brańca”, zawadiackiego blondyna o ruchach i minie *batiara*⁹⁹. Zaciekawiał wyglądem ich dowódca porucznik: z pewnością w jego żyłach płynęła silna domieszka krwi indiańskiej¹⁰⁰. Był to jeden z tych głęboko interesujących, pełnych wewnętrznego uroku typów ludzkich, jakich zwykle wydaje kombinacja ras i różnych kultur, o ile wszystkie wartościowe składniki wysublimują się harmonijnie. W oczach tego człowieka, jasnych i ogromnych, drzemała jakby prastara tajemnica bytu i wielka współczesna dobroć.

Wszyscy oni byli weseli, pogodni, tacy niezależni wewnętrznie i bardzo powściągliwi. Jako żołnierze sprawiali wrażenie miłych sportowców,

⁹⁸ Thomas J. Madden.

⁹⁹ *Batiar* (*baciar*) – potoczne i gwarowe określenie awanturника, ulicznika we Lwowie.

¹⁰⁰ Louis R. Hernandez.

zamożnych i beztroskich, którzy udali się na wycieczkę samolotem, a po drodze od niechcenia, choć sumiennie zrzucili bomby na... Bremę. Ogromnie ich ubawiło, gdy lecąc nad tym miastem, złapali audycję w angielskim języku piorunującą na Amerykę, wtedy wcisnęli właśnie pierwszy ładunek. Lecz to była bodaj jedyna ich indywidualna fantazja w zadanym przedsięwzięciu. Niemców oczywiście nie cierpieli, lecz podejście do nieprzyjaciela i wojny było skrajnie różne od naszego. Już raczej więcej zgrzytali zębami na Japończyków.

O Polsce wiedzieli mało, o partyzantce na razie nic, wkrótce doraźnie bardzo wiele. Odnosili się do nas lojalnie, życzliwie, w końcu serdecznie. My zaś dbaliśmy o nich bardzo, nie tylko jako o przypadkowych przedstawicieli potężnej Ameryki, dbaliśmy przede wszystkim przez polską gościnność i żołnierskie koleżeństwo. Pieczę nad ich żołądkami objął później sławny mistrz „Wrona”¹⁰¹. Sami mówili, że w czasie wojny jedli w Polsce najlepiej. Propagandowo więc głód odpadał, lecz przecież i takie terminy nas dopadały, że chłopcy dosłownie nie mieli kawałka chleba, a dla [s. 42] Amerykanów zawsze się coś znalazło szczęśliwie. Staraliśmy się o ich wygody, strzegaliśmy jak mogli od niefortunnnych wypadków. Dla nas śmierć to zwykła żołnierska sprawa, ale Amerykanin nie ważył się zginąć, byłaby to hańba dla gospodarczy. Przydzielili im Komendant, jako szefa drużyny, a właściwie chłopaka do posług i pomocy, „Małego”¹⁰² (rzecz zgoła u nas niepraktykowana). Mały był ogromnie dumny ze swej funkcji. Jako najmłodszy i najmniejszy wyglądał strasznie komicznie przy raporcie, gdy meldował cienkim głosikiem stan drużyny. Zawojował zresztą swych pupilków zupełnie i nawet pomrukiwał z pychą, niosąc krupnik: „Żryj, żryj, amerykański aniołku”. Lecz to było też i z rozczulenia.

Przeszli z nami zamorscy goście wszystko. Poznali trochę Podlasie, poznali dobrze naszą twardą, tragiczną rzeczywistość. Świstały nad nimi kule i dukały im wszy. Nie wywczasowali się na pewno na tej nowej przygodnej wycieczce, lecz skorzystali z niej wiele. Ogrywały ich trochę nasze cwaniaki w karty, lecz oni za to ogrywali nas z serc – uczciwym, rzetelnym kapitałem płaciliśmy im z głębi rozrzutnej duszy polskiej.

¹⁰¹ Przypuszczalnie Stanisław Rybarczyk „Wrona”.

¹⁰² N.N.

Gdy od nas odeszli¹⁰³, powracając szczęśliwie do swych baz i wielkiej ojczyzny, zanieśli tam na pewno dobre, szlachetne słowo o nieszczęśliwym kraju i dziwnych chłopcach z lasu. Kto wie? Może nawet wesoły Tommy, co we wspomnieniach z partyzantki podlaskiej zamierzał zrobić passus w prasie, zarażony serdecznym bakcyłem zaczął pisać po... polsku, chociaż w angielskim języku?

Amerykanie musieli mieć też pseudonimy dla humoru i fasonu, więc dostali jeden zbiorczy – Afrykańcy. I to była chytra konspiracja.

Sztandar

[s. 43] *W krwawym polu srebrne ptaszę*

Trzepoczesz się nad nami piosenką srebrne ptaszę
I w krwawe pola wiedziesz na walkę trud i znój.
Pobudkę gra nam trębacz a las nad nami płacze
I poszum skargi płynie z zagonów polskich pól.

Panienka Częstochowska dała nam swą koronę
Dzieciątkiem błogosławi żołnierzy, konie, broń.
Pod Twoją pieczę, Matko, pod płaszcz Twój, pod obronę
Garniem się partyzanci, Podlasie, Bugu toń.

Sam Bóg wypisał hasło, sam Bóg powierzył honor.
Idziemy z Rozmarynem na bój wśród białych róż.
Za Pawiak, za Oświęcim, za kraj okryty kirem,
Niesiemy wrogom płomień, karabin, pięść i nóż.

¹⁰³ Po przejściu frontu Amerykanie zostali 27/28 lipca 1944 r. w Janówce-Danówce przekazani przez Armię Krajową stronie sowieckiej. We wrześniu 1944 r. radio BBC nadało podziękowania polskiemu podziemiu za uratowanie lotników. 30 grudnia 1944 r. lotnicy zostali przyjęci przez prezydenta Franklina D. Roosevelta, a w magazynie „Saturday Evening Post” (30 grudnia 1944, Vol. 217, Issue 27) ukazało się o nich obszerne opowiadanie (Charles Finston, Stefan Kossak, *Seven fighting guests of the Polish Underground*). Zob. Aneks nr 2.

I będziem trwali wiernie przy Tej, co nie zginęła,
Za wolność dajem krew swą i zbrojną w granaty dłoń.
Ślubujem ci, Sztandarze, co obca przemoc wzięła,
Odebrać – choćby twierdzą był każdy próg i dom!

Bóg dał nam dzień pogodny. Cudowne słońce i cisza. Stoimy w lesie. Od świtu już słyszać huk siekier, to łączność wznosi ołtarz, a pierwszy pluton kleci wielometrowe stoły i ławy. Ludzie i konie spędzają czas na rannej toalecie, pucuje się buty na „lusterka”, czyści skrupulatnie broń – za chwilę nastąpi generalny przegląd przed występem. [s. 44] Biada, jeśli szef „Cezary”¹⁰⁴ zauważy brak guzika lub krzywo zapięty pas. Co dopiero mówić o broni, o koniach, widmo raportu karnego w taki dzień jest zgoła straszne.

Na leśniczówce wre praca koło przygotowania wielkiego obiadu. Raz po raz zajeżdżają tam załadowane wozy, wszystko dary z okolicy. Bowiem przed tygodniem ruszyła w objazd wdzięczna ekspedycja (połączyło się kwatermistrzostwo wewnętrzne i zewnętrzne¹⁰⁵) zapraszać na święto sztandaru¹⁰⁶, a tym samym wyfasować większą ilość „żarcia”. Staraliśmy się przeprowadzić to z taktem i godnością – wrodzonymi cechami dobrze ułożonego partyzanta. Wstępowało się przecież do dworów, do potężnych młynów i gorzelni. Ekspedycja rozłożyła sobie zadanie w ten sposób, że każdy wkraczał tam, gdzie mógł najwięcej wydebić. „Lanca”¹⁰⁷ czarował panny, „Konar”¹⁰⁸ olśniewał polityczną perspektywą statystów, a „Marta”, porwawszy po drodze śliczną Marysię¹⁰⁹, siostrę „Lancy”, objeżdżała te dwory, gdzie miano słabość do płci nadobnej. Myślę, że nam darują mili przyjaciele te chytne zabiegi – ponosiła nas tylko szlachetna ambicja, żeby święto wypadło najwspanialej i żeby chłopcy trochę sobie użyli. Ale przyjaciele zawstydzili nas strasznie, nieświadome intencje przejrzeni do samego dna i wynik był taki, żeśmy sami wpadli w przerażenie. Szynki, kiełbasy, kiszki toczyły się nieckami, wory pieczywa

¹⁰⁴ St. sierż. Stanisław Celmer „Cezary”, szef OP I/34 (od końca marca do początku lipca 1944 r.).

¹⁰⁵ Chodzi o służbę kwatermistrzowską OP I/34 wspartą hojnością mieszkańców okolicznych majątków.

¹⁰⁶ Uroczyste poświęcenie sztandaru OP I/34 w Jeziorach 29 czerwca 1944 r.

¹⁰⁷ Kpr. Tadeusz Nostitz-Jackowski „Lanca”.

¹⁰⁸ Antoni Samoć „Konar”.

¹⁰⁹ Maria Nostitz-Jackowska.

i placków, kociołki różnych smakowitych sałatek, kosze truskawek i bańki spirytusu. Nawet puszki z lodami, nawet rabarbarowe kompoty. Oprócz tego potężny kontyngent cukru i setki papierosów. Konie dostały owies. Oddział był duży, ale można było ze trzy takie nakarmić tym do syta. Mistrz ceremonii „Konar” promieniał. Świadczyliśmy sobie nawzajem komplementy i chodzili wszyscy, puszac się jak towarzystwo samoadoracji.

[s. 45] Koło dziesiątej zaczęli się zjeżdżać goście – dobrodzieje. Z pobliskiej okolicy nadciągnęły gromady ludności. Straż pożarna wmaszerowała do lasu czwórkami, w złotych hełmach, z rynsztunkiem, jak za dobrych lat. Konspiracja prawie prysła, ale już był taki czas, że z podziemia wychodziło się powoli na słońce¹¹⁰. Niech wszyscy swoi wiedzą i widzą. Niech się cieszą niech zasilają już masówką stare szeregi. O 5 km stała silna załoga żandarmerii¹¹¹, na zawołanie mogła ruszyć wszystkie pancerniki, samoloty, setki żołnierzy z sąsiednich garnizonów (Białej [Podlaskiej] i Siedlec). W lesie była garstka pod bronią i tłum ludzi bezbronnych, którzy w dodatku mieli w okolicy swe rodziny, swe domy... . Lecz nikt się nie bał, nikt się nie płoszył, nikt szpiclów nie widział. Byliśmy u siebie... .

Na rozległej polanie, pod drzewami stanął ołtarz prosty i piękny. Od wierzchołka wyniosłego świerku spływa na kształt srebrzystego żagla ogromny amerykański spadochron. Półprzeźroczysta w słońcu tkanina opada z wdziękiem falami i otula surowy, prosty krzyż. Po bokach wytryskają koronkową zielenią brzoźki, na bieli jedwabiu płoną przepyszne szkarłatne peonie i ciemną plamą ponad tabernakulum odcina się ryngraf pamiętający powstanie [styczniowe]. Łagodny powiew porusza i marszczy połyskliwe osłony. Z daleka ołtarz czyni wrażenie płynącej wśród drzew Bożej łodzi albo świętego namiotu. Bije z niego wzniosła prostota i modlitewny nastrój.

Po obu stronach szpalerem stanęli w szeregach chłopcy, przykleknął w skupieniu naród. Rozpoczęła się uroczysta msza połowa. Chór śpiewa *Serdeczna Matko*. Drgają złote motylki świec, kołyszą się sennie brzoźki. Krzyż wyciąga

¹¹⁰ Mowa zapewne o demonstracyjnym zachowaniu podziemia niepodległościowego wobec spotykanej ludności polskiej. Poświęcenie sztandaru AK w Jeziorach z 29 czerwca 1944 r. było największą publiczną manifestacją oporu wobec okupanta przed lipcową akcją „Burza” w Inspektoracie AK Radzyń Podlaski. Podobny wydźwięk miała uroczystość z 28 czerwca 1944 r. zakończenia „oboza szkolnego” Batalionów Chłopskich w lesie Sumierz koło Rossosza.

¹¹¹ W Łosicach.

ramiona nad rozmodlony tłum, padają ciche słowa ministrantury. Spełnia się codzienna, bezkrwawa Ofiara. Na ewangelię zrywa się krótka komenda: „Baczność! Prezentuj broń!”. I dawnym polskim zwyczajem, miast szabel, [s. 46] szczękają miarowo karabiny. Ludzi ogarnia głębokie, z dna duszy płynące wzruszenie. Pieśń niesie się lasem szeroko, niebiesko. W czasie podniesienia zapada cisza kościelna, tylko szumią drzewa i płonie w błękitach, zawieszone jak hostia, słońce.

Potem chłopcy klękają do komunii. A po tym ksiądz¹¹² odwraca się od ołtarza z gorącą przemową. Proste są jego słowa, jak prosty jest ten las, ci surowi chłopcy, ta rozmodlona rzesza. Mówi spokojnie, uroczyście, a tak porywająco: „oto Polska was kocha i kocha was Bóg. Błogosławione jest wasze ramię, wasza męka, wasza krew. Błogosławiony wasz trud żołnierski. Za chwilę wręczone wam sztandar. Daje go wam znękane, udręczone społeczeństwo, którego jesteście radością i dumą. Powierza go w wasze dzielne, wypróbowane ręce, powierza go waszym sercom, które kochają Ojczyznę. Szanując świętą chorągiew, brońcie jej. Niech wam będzie symbolem honoru i cnót żołnierskich i niech was doprowadzi szczęśliwie do wolnej Polski”. Załamuje się głos mówcy, w tłumie zrywa się szloch.

Teraz księża przystępują do poświęcenia, w szeregach cisza, tylko serca biją w piersiach jak młoty. Po chwili od stopni ołtarza wykwita dumnie białoczerwony proporzec z orłem i z Matką Boską, ze słowami „Honor i Ojczyzna”, a na górze drobnymi literkami wyszyte: „Oddział partyzancki 34 pułku piechoty”. Łopocze radośnie na wietrze, wita i błogosławi. Komentant salutuje, żołnierze prezentują broń, a z szeregów wzbija się nagle pod niebo srebrzysta, dźwięczna pobudka Wojska Polskiego. Jak cudnie gra, jak bojowo! Roztrącona w perliste echa niesie się wśród drzew radosnym hejnałem. Ludzie płaczą głośno.

Potem mówi coś ze wzruszeniem siwy, czcigodny pan¹¹³, po czym Komentant przyklęka i całuje sztandar. Ślubowanie. Komendant mówić nie może,

¹¹² Ks. Jan Karnicki „Miś”.

¹¹³ Dr Witold Wróblewski z Łosic. Aresztowany przez komunistów 13 maja 1952 r. pod zarzutem współpracy z AK i udzielania pomocy rannym partyzantom z patrolu 6 Brygady Wileńskiej AK sierż. Adama Ratyńca „Lamparta”, 24 września 1952 r. WSR w Warszawie na sesji wyjazdowej w Siedlcach skazał go na 11 lat pozbawienia wolności. Zmarł 13 maja 1954 r., po wyjściu z więzienia, skrajnie wycieńczony śledztwem i warunkami, w jakich przebywał.

w milczeniu, uroczyście powierza naszą świętość plut. „Wrzosowi”¹¹⁴. Sztandarowy poczet wypręża się na baczność, [s. 47] a z szeregów zrywa się potężny hymn *Boże coś Polskę*. Podchwytną pieśń wszyscy zebrani, cała leśna świątynia śpiewa. Teraz i po surowych, skupionych twarzach chłopców płyną łzy.

Po uroczystości zaproszona na święto władza przyjmuje defiladę. Maszerują z przejęciem i pompą nasze biedne drapichrusty. Paradny krok niestety trochę szwankuje, nie ma wiele czasu na przeszkolenie, na płynną swobodę marszów. Obskubane są te mundury, zbierane przygodnie, wytarte tułaczka, cała nieszczęsna dola włóczęgów wyłazi na tej paradzie w słońcu, pod krytycznymi oczami z porównaniem dawniejszych czasów. Po prostu zobaczyliśmy się i zawstydzili jak pierwsi rodzice w raju. W nieświadomości zażenowania nie dostrzegamy zgoła, że właśnie taki strój wzrusza naszych widzów i że te łaty, niezdarnie podczyszczone plamy, niemodne owijacze, koślawe buciska, spłowiałe kurty – to wysiłek i trud. Na razie grunt to z fasonem wciśnięta furażerka i nasza pycha – automaty. Broń mamy. A miny? – biada Niemcom!

Kawaleria jak zawsze podnosi na drodze tumany kurzawy i szaloną owację patrzących. Jadą, jakby sto diabłów siedziało im na karku albo lepiej – jakby sto diabłów gonili. Władza zadowolona ze wszystkich, nie szczędzi pochwał i wzruszenia, wyraźnie jest rozczulona, a Tata Komendant aż rośnie, tak się cieszy ze swoich chłopców.

Głodne towarzystwo rusza teraz do stołów. Wszystko, dzięki pomocy licznych pań, przygotowane. Strzelcy zajmują miejsca, a – wedle rozkazu – usługuje dzisiaj szarża. Jakże się robi wesoło, istna majówka. Przy stołach, koło furmanek i pojazdów, na trawie pod chmurami biwakują mniejsze i większe grupy. Goście wymawiają się od poczęstunków, lecz przecież wszystkim starczy, więc siłą się karmi. Dzieciaki wiejskie płaczą się i łasują. Wśród grzmiących „Sto lat” coraz [s. 48] nowa persona wylatuje w powietrze. Brzmia piosenki, deklamuje „Sewer” i pchor. „Lwowiak”¹¹⁵, popisuje się witany salwami śmiechu „Atleta”, sowiecka drużyna śpiewa jak chór dońskich Kozaków. Amerykanie przechodzą z rąk do rąk i też muszą śpiewać.

Płyną więc pieśni, gawędy, wspomnienia. Olśniewa się cywilów, koloryzuje historie i wyczyny – ot tak, dla pucu, niech wiedzą, niech znają „pana po

¹¹⁴ Plut. Zygmunt Łukaszuk „Wrzos”.

¹¹⁵ Plut. pchor. Kazimierz Hardygóra *vel* Galiński „Lwowiak”. Żyd, który trafił do oddziału wiosną (marzec lub kwiecień) 1944 r. Po wojnie wstąpił do „ludowego” WP.

cholewkach”, czyli partyzanta po „skalpach niemieckich” i niech „panienki po nas płaczą”. W gruncie rzeczy dobry naród ci cywile, nabuając ich można dla samej uciechy, rozczulają się rzewnie, o Polsce ciągle gadają biedaki, nachwałą nie wiadomo za co, a żarcia nawieźli tyle, że im serdeczne Bóg zapłać.

Tak się odbyło nasze pierwsze święto oddziału. Wręczenie sztandaru to jakby ostateczny zaciąg w szeregi pionierskie zbliżającej się kampanii, to jakby pasowanie naszych chłopców na rycerzy. Na chrzest bojowy czekał sztandar tylko dobie – nazajutrz stoczyliśmy jedną z największych walk.

Obława

[s. 49] *Jeziory*

Uwaga! Nadajemy
Uwaga depesze na fali.
Na fali, na polskiej fali –
Nadajemy na cały świat:
Pa-cy-fi-ka-cja.
Słyszycie nas? Wołamy
Pacyfikacja dziś.

Przyjechali, przygnali
Maszyny, czołgi, działa
I samoloty...
Na wieś, na las.
Na wieś.
Już grają kulomioty,
Zaczęła się obława:
Pancerni, konni, piesi
Kurzawą zamknęli drogę.
Huk, łomot, wicher – i wrzask!
Pacyfikacja – to ręce,
Próżno wzniesione do Boga,
To jękiem struchlałe wargi
I krzyk śmiertelny dziecka!

Błoto z kopyt na białej sukience...
Matka kulą dobita wśród skargi
I Śmierć – Czaszka
W swastyce niemieckiej.

Pacyfikacja – macocha miłosiernego pokoju,
Złe, drapieżne kukułczą z Bożego Gołębnika
Gorzkie ziele szaleje po oliwnych zagajach
I rozpacz, która dymem nieba nie przenika
Tylko się wlecze po ziemi, po ziemi
Na słotę.
Tylko wyje u progu z małym, polskim Burkiem
I krwią na ścianach się plami.
Dziś mamy wtorek
A w jutrzejszą środę
Nie będzie tu nic. Tylko chmury i zgłiszcza,
Może zapomniany w bzach krzyż?
Lecz nic więcej.
Słyszycie? Więcej nic.
„Zwyczajna” pola oczyści
Nim padnie jutrzejsza rosa,
Bo łamie on jednak rączki dzieciom maleńkim
Czy kiście smukłych malw.
A teraz zapala racę czerwoną, czerwoną:
Polską wieś wzniosł zorzą w niebiosach,
W księżyc drżący dziś w szklanej trumience
Na ruń zboża piosenkową, zieloną
Poukładał ludzi – snopy wśród salw.

[s. 50] Zaczęło się pod wieczór i bardzo niewinnie trzema pojedynczymi strzałami. Niby to alarm, lecz tak jakoś było dziś beztrosko i spokojnie, że doktorzek zauważył: – No, już ktoś znów sobie puka, korzystając z nieobecności Taty. Będzie granda, a może i jakaś pokaleczona ofiara.

Nawet chwycił machinalnie za torbę sanitarną. Gdy nagle ostra kanonada posypała się ze wszystkich stron naraz i już nie mieliśmy złudzeń – oblawa!

Wyskoczyliśmy na próg chaty. Alarm! Alarm! Chłopczy momentalnie rozsypują się wzdłuż drogi, po opłotkach, od stodół i strzelają jakby na oślep, a z obu stron wsi praży na nas taki ogień, że aż dziwno, iż dotąd nie ma jeszcze ofiar. Strzelanina jest jednak chaotyczna, płynie jakby górą i dołem. Krzyk kobiet miesza się z płaczem wystraszonych dzieci, ludzie wyciągają na gwałt dobytek, biegną jak nieprzytomni, co powiększa zamęt. Na ulicę wyjeżdżają już pędem tabory, by się przedrzeć do pobliskiego lasu, skąd nieprzyjaciół dotąd nie zaatakował. Zaskoczeni jesteśmy straszliwie.

Rozstawione na pobliskich drogach czujki nie zauważyły nic podejrzanego. I nie mogły zauważyć – Niemcy podjechawszy bowiem na samych chodach szybko i jednym sznurem, błyskawicznie weszli w wysokie zboża i podpełzli w ten sposób niedostrzeżeni pod samą wieś. Łącznik od najdalej wysuniętej przy krzyżu warty pędził ile tchu w piersiach, a siły w pedałach roweru, ale było za późno.

Część chłopców skoczyła jednak zrazu w tę stronę, by mimo wszystko zahamować rozpęd Niemców i osłonić, chociaż do czasu, wieś. Oddział otoczony już bokami, bronił się w środku zaciekle, wycofując się powoli na las, za taborami. Chociaż obława i tam mogła zatoczyć kołem, zawsze jednak były szanse przebicia. Walka we wsi, mimo ogromnego natarcia Niemców, przeciągała się jak zwykle między zabudowaniami i po sadach. Od początku też powstało zamieszanie, [s. 51] gdyż wróg rozsypawszy się w swej masie, począł bić i po swoich, zwłaszcza gdy natknął się na sowiecką drużynę poprzebieraną w mundury niemieckie i dostał od nich porządnie. Walczono tak przy studniach, przy wystających chlewikach, zza węglów domów i stajni. Nasze chłopaki, nie zważając już na nich, pootwierali szeroko wierzeje stodół, prali z kaemów w złowrogie żyta. Tak na kwaterze kawalerii szalał „Bohun”¹¹⁶ i tak upadł pierwszy ranny „Lew”¹¹⁷. Wytaszczyli go chłopcy z nadludzkim wysiłkiem i pod gęstym ogniem rzucili na gospodarczy wóz. Dobieram się do tej rany – straszliwa zionąca dziura od kuli rozrywczej, kości sterczą strzaskane. Zakładam pośpieszny opatrunek, ściągamy chustkę z głowy, by silnym uściskiem powstrzymać krwotok. Woźnica gdzieś się zawieruszył, łapię więc lejce i usiłuję wymanewrować ciężki wóz z opłotków. Konie rozumieją doskonale, rwą, ciągną, wydostajemy się jakoś

¹¹⁶ Kpr. Wacław Perycz „Bohun”.

¹¹⁷ Kpr. Roman Bogusiewicz „Lew”.

na drogę, gdzie kule biją jak deszcz. Nagle podskakuje mały wachmistrz „Brono” i ściąga mnie z wozu krzykiem siłą pod groźbą pistoletu. Mimo niewesołej sytuacji chce mi się śmiać. Woźnica się jednak znalazł. „Brono” zdziela go przez kark drobną a żelazną pięścią i wóz szczęśliwie odjeżdża. Ostatni. Śledzimy go z natężeniem: przejdzie, nie przejdzie? Przejeżdża. Niknie w słonecznych tumanach kurzu.

Gdzie tam! Wcale nie jest ostatni – por. Staś¹¹⁸ do końca stuka depesze, nie odejdzie od aparatu, póki nie nada wszystkiego. Radiówka tymczasem szaleje przy koniach, które się płoszą, łapie więc nowe, załadowuje sprzęt i wreszcie zluzowana przez porucznika odchodzi spokojnie w las.

Teraz, gdy już jesteśmy w łączności z grupą, co się przedarła pod krzyż, opuszczamy powoli wieś. Radzimy ludziom iść z nami, zaklinamy ich, by się nie kryli po krzakach, gdzie ich niezawodnie będą wypłaszać granatami, lecz wśród nieszczęśliwych gospodarzy panuje taki popłoch i gwałt, że nic im pomóc nie można.

Przejdzie kilkuset metrów między wsią i lasem należy do najcięższych. Nie chce się wprost wierzyć, jak się tędy bez strat przedarły tabory. Droga wzięta [s. 52] w krzyżowy ogień, nieosłonięta nawet mizernymi krzaczkami, płaska, pełzająca wśród kartoflisk, wydaje się milową. Kule siekają, gwizdają i tryskają fontannami piachu. Chłopcy idą jednak wytrwale. Ustawiony u wylotu cekaem pruje bez przerwy i odsłania, a szef „Cezary” wziął się pod boki i narażając się sam jak najlepszy cel, spaceruje tam i nazad, dodając fantazji groźnemu przemarszowi. To robi pierwszorzędnie, zwłaszcza mnie, bo nagle zaczęłam się bać. Wstyd mi okropnie, a jednak tak jest, lecz jedno zdziwione pytanie szefa zbija to uczucie, odstępuje. Za chwilę jest nowy ranny, za nim drugi, trzeci, dźwigany ze wsi – nie ma czasu myśleć o sobie, prosty obowiązek podrywa tak, że się przebywa tę drogę prawie tam i nazad dwukrotnie. Nie wiadomo jak i kiedy. Nawet kul się nie słyszy.

Tabory z małym ubezpieczeniem cofnęły się w głąb lasu. Szperacze poszli z „Narbuttem”¹¹⁹ naprzód zbadać dalsze przejście. Kawaleria ruszyła w lewo patrolami. Oddział zatrzymuje się na brzegu, u wylotu drogi, lewym skrzydłem zagarniając las w stronę leśniczówki. Następuje długi moment ciszy. Niemcy jakby się zastanawiali lub nabierali oddechu, więc po chwili

¹¹⁸ Por. Stanisław Kujawiński „Staś”.

¹¹⁹ Ppor. Stefan Lemieszek „Narbutt”.

otwieramy znów silny ogień seriami na wieś. Odpowiadają nam natychmiast prosto i z boków. Obława idzie szeroką falą, jest blisko, coraz bliżej.

Pod osłoną lasu opatrujemy pośpiesznie rannych. „Grot”¹²⁰, ciężko draśnięty w głowę, jest jednak przytomny i powtarza radośnie w kółko: „Wyciągnęli mnie chłopaki, nie zostawili, a Niemcy byli tuż tuż... a tego drania, co mnie tak urządził, to brat sprzątnął i automat ocalał”. „Atleta” wprost szaleje, tu wali zastrzyk, a tu już biegnie na linię, więc się rannych składa doktorowi na wozy. A my znów wracamy, „Atleta”, by popukać trochę, „Marta” z torbą sanitarną. Ksiądz kapelan krąży, tu pocieszy, tam zagrzewa. Minerka jak zwykle wyforowała się naprzód. „Rudy”¹²¹ jeszcze niedoleczony z ostatniej rany w Turowie, kropi w Niemców aż grzmi. Chłopaki otaczają „Jarach”¹²² i knują szalone pomysły. Tak się złożyło, że por. „Janek” i por. „Gruda”¹²³ dziś na urlop odjechali, ale to nic, jest przytomny pchor. „Aleksander”, jest popularny, sumienny żołnierz pchor. „Wichura”¹²⁴, jest [s. 53] i stara gwardia Taty: „Jacek”¹²⁵, „Sylwester”¹²⁶, „Żuraw”, „Wrzos” piastujący sztandar.

Niemców mnóstwo, walą na las z małych działek pancernych. Słychać granatniki, samochody warczą, to bliżej to dalej – krążą. I nadpływa jeden i drugi samolot obserwacyjny, obniża się, zatacza koła, śledzi. A tam o 2 km jest gdzieś we dworze Komendant i „Afrykańcy”, właściwie bez osłony. Ot, tak wypadli na chwilę do Chotycz... Co z nimi? Krótka „wojenna narada” i po chwili rozpoczynają chłopaki bohaterskie, wspaniałe natarcie z powrotem

¹²⁰ Kpr. Zdzisław Kwoka (potem Grotecki) „Grot”.

¹²¹ Kpr. Krzysztof Górczyński „Rudy II”.

¹²² Kpr. Robert Domański „Jarach”.

¹²³ Ppor. rez. Czesław Makaruk „Gruda”.

¹²⁴ Sierż. pchor. Julian Wilczyński „Wichura”.

¹²⁵ Kpr. AK/plut. WiN Konstanty Sacharczuk (1915–1948) „Jacek”, „Jakub”, „Kostek”. Służył jako saper w 6 Batalionie Saperów w Brześciu. Przysięgę konspiracyjną złożył w kwietniu 1940 r. W OL „Zenona” od grudnia 1943 r. Pełnił funkcję dowódcy drużyny w OP I/34 „Zenona”. Po wejściu Sowietów zastępca ppor. cz. w. Roberta Domańskiego „Floriana”, dowódcy Oddziału Samoobrony Obwodu AK Biała Podlaska (1945). Po jego częściowej demobilizacji jesienią 1945 r. dowodził dalej oddziałem samoobrony WiN w sile 30–40 ludzi. Ujawnił się 22 kwietnia w 1947 r. w Radzynie Podlaskiej. Utrzymywał kontakty z siatką konspiracyjną 6 Brygady Wileńskiej AK kpt. Władysława Łukasiuka „Młota”. Ujęty przez bezpiekę 24 grudnia 1947 r. Wyrokiem WSR w Lublinie na sesji wyjazdowej w Białej Podlaskiej 20 lutego 1948 r. został skazany na karę śmierci wykonaną w białskim więzieniu 7 kwietnia 1948 r.

¹²⁶ Plut. Jan Rutkowski „Sylwester”.

na wieś. Garstką przeciw masie, automatami na działa, entuzjastycznym impetem w niemrawość kolosa. I wieś została odbita!

Przeciwnik najwidoczniej nie orientował się zupełnie w naszych siłach, o których trochę celowo chodziły legendy. Atakował masówką, sądząc zapewne, że we wsi znajduje się zaledwie ubezpieczenie przednie, a główne siły oddziału skryły się w lesie. Popełnił błąd, nie okrążywszy lasu, z którym w zasadzie stykać się nie lubił, ruszał się ciężko, nieelastycznie, wysługując się częściowo kałmukami i nie mając w ogóle ochoty do tego rodzaju starć. Partyzanci zaś podchodzili i odskakiwali jak rasowe zagończyki. Metodę takiej walki trzeba mieć już we krwi i trzeba ją poprzeć zapaleń, trzeba umieć się nią bronić na własnej ziemi.

Zapadł niepełny mrok. Ci, co zostali przy taborach, słuchają w głębi lasu, jak ogień przycicha, to wzmagą się, lecz jakby w oddaleniu, to znów powraca. Raz po raz biją granatniki i nagle zaróżowiły się wierzchołki drzew, za chwilę czerwona poświata przebija się przez gęstwinę. Jeziory się palą wśród huku pękających granatów i salw karabinowych.

Łącznik od zwiadu konnego melduje, że gościniec od lasu zablokowany obławą; łącznik od tamtych w Jeziorach, że jednak się do Chotycz nie przedrą i że szczęśliwie na pewno do nas dotrą niedługo. [s. 54] Wuj „Rogała”¹²⁷ decyduje się więc na solidny odskok z okolicy objętej akcją. Wycofujemy się lasem w kierunku Liwek. Jednak ta obława na Jeziory rozpadła się, dosłownie rozproszyła i rozlała. Niemcy już dosiadają samochodów. Cztery z nich chłopaki, po opuszczeniu wsi, zniszczyli po drodze.

Zbieramy się powoli i posuwamy naprzód lasem. Powracający wzięli jeszcze ze sobą z leśniczówki dzielne dziewczuszki, które nosiły im wodę na chwilową linię. Pewnie i z tego domu nie zostanie kamień na kamieniu. Dręczy nas niepokój o Tatę. Mimo uspokojenia w terenie, nie ma już celu dobijać się do Chotycz, za długo wszystko trwało, cała nadzieja, że Komendant zawsze coś wykombinuje, a przy tym ma tyle szczęścia! Jednak źle nam na duszach i czujemy się jak owce bez pasterza.

Wędrujemy nocą przez uśpione rosą pola, przez łąki, zagajniki... przez wsie, gdzie ludzie rzucają nam pierzyny i ciepłe chusty dla rannych. Lecz za nami warczą gdzieś ciągle dalekie samochody i pali się olbrzymia bolesna łuna serdecznej wsi. Jeziory padły w partyzanckiej wojnie.

¹²⁷ Plut. rez. kaw. WP/ wachm. AK Stanisław Lewicki „Rogała”.

Komendanta z siedmioma Amerykanami podejmowano gościnnie w Chotyczach. Takie wypadki były nieraz konieczne tak dla dobra oddziału jak również i sprawy. Przy tym Amerykanom należało od czasu do czasu pokazać nasze prywatne życie i domy polskie. Tylko wyjątkowo nieszczęśliwy traf sprawił, żeśmy się tam niefortunnie rozdzielili wtedy. Obława zaskoczyła ich, podobnie jak nas, i choć tak blisko, odcięła od razu. Dzięki przytomności Taty, dali wszyscy błyskawicznie nurka w gęsty park i przebili się cudem przez tyralierę niemiecką na płaskie łąki, gdzie dopiero po przebyciu dwóch kilometrów pod ostrzałem skryły ich zagajniki. Tata osłaniał sam bezbronnych Amerykanów schmeiserem, który się zaciął raz i drugi, a jednak [s. 55] jeszcze po drodze położył trupem pięciu Niemców. „Wichracki”¹²⁸ odbił się od uciekających na otwartej przestrzeni, a „Rymsza”¹²⁹, który bawiąc chwilowo we dworze w sprawach kwatermistrzowskich, był po cywilnemu i bez broni, zginął, wyrwawszy się nieszczęśliwie za nimi. Ucieczka poszła w przeciwnym kierunku od Jezior. Oddział odskoczył w Radzyńskie i stamtąd natychmiast ruszyła z powrotem w nasze tereny kawaleria na odszukanie Taty. W rojowisko Niemców, przez tury, główne szosy i na przełaj nocą i dniem, byle go tylko odnaleźć. Bowiem nazajutrz po akcji Jeziorskiej sto kilkadziesiąt samochodów urządziło straszliwą obławę po okolicy, obstawiając wszystkie drogi i wyloty, legitymując, wywlekając ludzi i trzęsąc wsie i lasy. Szaleli.

Powróciwszy do dopalających się Jezior, zastrzelili trzy kobiety, które tak ofiarnie wspierały partyzantów. Zrównali też z ziemią leśniczówkę. W Chotyczach miała miejsce tragiczna egzekucja na bezbronnych ludziach spędzonych ze wsi i ze dworu¹³⁰. Tak mścił się wściekły najeźdźca.

Ogromne nieszczęście dotknęło te wsie, nieszczęście, którego może by i mogły uniknąć, lecz nie wszystko się mierzy bezpieczeństwem i losem jednego pokolenia. I w walce o wolność nie ma wybranych. Jezioro i Chotycze zapisały się pięknie w historii walk partyzanckich na Podlasiu. Odbudują nowe chaty ze zgliszcz, lecz nie wskrzesi się ofiar, ani ich męki przed zgonem

¹²⁸ Kpr. Mieczysław Radzikowski „Wichracki”.

¹²⁹ Szer. Władysław Zaborowski „Rymsza”.

¹³⁰ 1 lipca 1944 r. Niemcy w odwecie rozstrzelali 24 osoby w rejonie folwarku Chotycze przy szosie Łosice–Konstantynów.

nie odwróci. Przejdą, rozproszą się ludzie i zdarzenia, a ten wielki, surowy krzyż przy łośickim trakcie już uczy i będzie uczyć długo prostej jak pacierz prawdy, że Ojczyznę w niewoli buduje się tylko krwią.

* * *

Mieli Niemcy samochody pancerne, działa, samoloty, zaciężnych kałmuków i mnóstwo żołnierzy. Mieli dzikość wściekłych psów i krzyżacką pychę. [s. 56] Pacyfikacji dokonali, niszcząc spokojne domy i urządzając krwawą masakrę bezbronnych. A Bóg dał tak, że na wszystkich walczących w oddziale i wśród polskiej ludności było:

- dwunastu rannych i jedno kontuzjowane dziecko,
- dwóch poległych strzelców – śp. „Kropidełko”¹³¹ i „Rymsza”,
- dwadzieścia osób rozstrzelanych – kobiet i mężczyzn.

Niemcy zaś mieli:

- pięćdziesięciu sześciu rannych,
- siedemdziesięciu ośmiu zabitych.¹³²

I było nas wtedy pod bronią stu osiemdziesięciu ludzi, a Niemców cztery tysiące.

* * *

W parę dni później w komunikacie wojennym z Londynu wysłuchaliśmy z wielkim wzruszeniem o naszej potyczce. Zaraz po wiadomościach

¹³¹ Szer. Roman Ostapski „Kropidełko”.

¹³² Istnieją spore rozbieżności przy oszacowaniu strat w ludziach obu stron pod Jeziorami. W „meldunku sytuacyjnym nr 9” Komendy Okręgu AK Lublin do Komendy Głównej w Warszawie z 13 lipca 1944 r. obliczono straty własne na jednego zabitego, 12 rannych (w tym dwóch ciężko) i jednego zaginionego. Z kolei nieprzyjaciel miał ponieść straty rzędu ponad 40 zabitych, 60 rannych i 4 spalone pojazdy pancerne. Zob. A. Grażyna Kister, *Meldunki sytuacyjne Komendy Okręgu Lublin AK maj–lipiec 1944*, Lublin 1998, s. 73. Bardziej wiarygodny wydaje się meldunek BiP komendy Obwodu AK Siedlce z 5 lipca 1944 r. Referent por. Tomasz Hardejewski „Grab” informował, że zginęło 14 Niemców i kilkunastu było rannych. Zawyżył straty polskie: 4 zabitych plus kilku rannych żołnierzy AK. Zob. AAN, Armia Krajowa, 203/X-69, k. 147.

z włoskiego frontu o bohaterskiej armii Andersa¹³³ nadano wzmiankę o pięknej walce we wsi i lesie jezior skim. Zdziwiliśmy [się], że aż tak się nami cieszą, że to naprawdę widać było pięknie. Jedenaście zresztą razy w ciągu naszej kampanii mówił Londyn o oddziale.

[s. 57] Zielone... szumiące meliny

Lasy to dopiero prawdziwa kraina partyzanta. Drzewa są zawsze niczyje, najwyżej Boże. Tną je ludzie, wyniszczą zwykle najeżdżca, a jednak tkwi w nich taka odradzająca siła i taka potęga trwania, że siekiera i piła, nawet huczący płomień, ulegną zawsze w zmaganiach z żywiołem duszy lasu. Niespożyta moc tkwi w ogromnych, omszałych pniach, w wysmaganych wichrami konarach, w radości młodych pędów. I dostojna jest zieleń drzewnej korony i mroczny, głęboki cień ścielący się od stóp nabrzmiałych sokami korzeni.

Piękna jest burza idąca lasem w dzwoniącym poszumie deszczu i w blasku błyskawic, potężnym grzmotem tocząco w głębinach gąszczy, wśród dalekich, żalących się ech... Piękna jest pogoda upalnych dni, gdy słońce sący się lekko i miodnie przez senne liście, a powietrze drga różowo nad zagajnikami i jest tak uroczyście, jakby cisza jeziora nadeszła znad wód na lasy.

Wspaniałe są wielkie wiatry wiejące na wiosnę i jesienią poświstem, poszumem i pieśnią. I królewska w swym śnieżnym majestacie jest zima leśna, gdzie drzewa – srebrzyste maszty i skrzydlate łodzie – żeglują po pienistej bieli, prując niebieskim cieniem fale zasp w czerwieni mroźnej zorzy.

Lasy od wieków były kryjówką nie tylko dzikiego zwierza. Chowały całe pokolenia ludzi wolnych i wypożyczały im swą duszę. Znamy te leśne ludy z historii, tradycji, legendy. W wielu z nas jeszcze dotąd drzemie atawistyczny pęd do lasu. Czasem zagłuszony, czasem tak żywy, jakby tylko czekał wyzwolenia. Pierwotny instynkt czy dawna tęsknota? A może jedno i drugie? Wszystko jedno. Las dzisiejszy, cofnięty w swym zasięgu, przetrzebiony we wnętrzu, zagospodarowany ludzką ręką, niszczonej, dawał i teraz schronienie nowym leśnym ludziom. Prostował serca, wypogadzał dusze i [s. 58] kołysał

¹³³ Kampania włoska II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie gen. Władysława Andersa w latach 1944/1945.

ich najpiękniejsze marzenia. Należał do spisku. Wartował i bronił. Jakże go nie kochać!

Kryliśmy się w jego błogosławiony cień, gdy trzeba było dać wytchnienie ludziom i koniom po akcji. Gdy nas tropiono zajadłe po drogach. Pod drzewami, w zacisznych kolibach zagajników opatrywało się rannych, koilo najgorszy ból przed wysłaniem transportu na bezpieczne meliny. Ranni lepiej się czuli w lesie niż po izbach, zasypiali prędeej i lżej ukołysani powiewem, co muskał umęczone czoła łagodną pieśczętą matki.

W lasach zazwyczaj przyjmowało się zrzuty od aliantów. W lasach przygotowywało się akcje. Stąd ruszyła w maju wyprawa na Turów¹³⁴, gdzie po raz pierwszy zabawili się chłopcy w „oblężenie”. Po opanowaniu folwarcznych budynków, strzeżonych wartowni esesowców, wysunęła się część naszych zuchów pod dom, jakby dotąd uśpiony i głuchy. Niestety lekkomyślnie niedokończony wywiad kogoś, komu się zaufało, sprawił, że natknęli się niespodziewanie na niezwykle silną i zaciętą obronę. W zamkniętym dworze za kratami okien przyczaiło się kilkudziesięciu (zamiast kilku, jak brzmiał meldunek) gestapowców, niby w fortecy wyposażonej w mnóstwo broni i granatów. Nasi chłopcy atakowali prawie na odsłoniętej przestrzeni i w brzasku wstającego dnia. Niemcy mieli zatem pierwszorzędne pole do obstrzału i doskonale ukryte stanowiska. I niewspółmierny był znów stosunek obu stron. A jednak walka przeciągnęła się dotąd, póki grupa operująca na folwarku nie sprowadziła zdobyczy: naładowanych wozów, koni, uprzęży. Dopiero wtedy wycofali się, ofiarna garstka, ciągle pod osłoną ognia, zadając Niemcom straty i... popłoch¹³⁵. Druty przecięte, zatem odsiecz znikąd, a „las” mógł podejść w pomoc swoim.

¹³⁴ Akcja na Liegenschaft w Turowie koło Radzyna Podlaskiego 4 maja 1944 r. była efektem zawartego porozumienia dzień wcześniej (3 maja) między AK a partyzantką sowiecką i AL na terenie powiatów bialskiego i radzyńskiego mającego położyć kres rozbijaniu Polaków oraz samowolnym rekwizycjom Sowietów, które ściągały niemieckie represje. Zob. *Dyskusja* [głos Witolda Łąćca], [w:] *Z nieznannej przeszłości Białej i Podlasia*, wstępem poprzedził Jerzy Skowronek, opracowanie naukowe Tadeusz Wasilewski i Tadeusz Krawczak, Biała Podlaska 1990, s. 649–650.

¹³⁵ Według źródła niemieckiego w wyniku ataku około 80 „bandytów” zginęło tylko 2 Niemców, kilku było ciężko lub lekko rannych. Z majątku zabrano 12 koni. Zob. APL, Zespół Ortskommandantur I/524, sygn. 25, Sprawozdanie komendanta Ordnungspolizei w dystrykcie lubelskim z 5 maja 1944 r. (Lublin).

Unieśli ze sobą chłopcy dwóch rannych i zabitego „Kłosa”¹³⁶. Ciężko ranny „Dąbek”¹³⁷ z zaprzyjaźnionego oddziału „Ksawerego”¹³⁸ skonał w drodze. Nasz „Rudy” trafiony w szyję i wywleczony bohatersko spod kul, leczył się zapamiętanie [s. 59] tak po swych „teściach”, jak i w oddziale. Chodził później ciągle na akcje jeszcze jako półranny. Nie mógł wytrzymać.

Kiedys też z lasu wybrali się por. „Zdzisław”, „Lanca”, „Wichraci” i śliczny „Wacusz”¹³⁹ na pewien samochód. Miał on nadjechać od strony Sarnak. Przyczaiło się towarzystwo w krzakach na szosie, obserwują zegarek i trasę. Już, już powinien być. Wszystko przygotowane starannie jeszcze w mieście i teraz tu. Akcja powinna się udać. Byle tylko posterunek we wsi obserwacyjny na wieżycze niedalekiego miasteczka nie był za czujny. Ale i tak się zdąży pewno...

Droga w słońcu, pod dłoń, lecz ani śladu kurzu, płyną minuty. Niemcy są skrupulatni, nawet w sekundach, zwłaszcza gdy szosa bezpieczna... Bezpieczna! Hm. Właśnie dlatego się czeka, żeby ich przekonać. W tym [momencie] może z piętnaście metrów od zasadzki wyrывa się nagle jakiś cwaniak i paf, paf – wali z pistoletu do wrony w locie. Mimo całej wściekłości z powodu zmarnowania zasadzki. Chłopaki troszkę głupieją. Co za bajeczny strzał. Wrona gdzieś wysoko, a ten pruje do niej jak do bliskiej tarczy. Ptaszysko tylko fajt i już spada. Trzeba jednak intruza nauczyć moresu i Bóg wie, co on za jeden. Z bronią? Więc już „Jacusz” dopada go jednym susem i zdiela po łbie kolbą. Obaj oni z „Lancą” ciągną ogłuszoną ofiarę w krzaki. Zerkają przy tym na drogę. Może jednak zasadzka się utrzyma? Czasu nie ma, badanie szybkie:

¹³⁶ Faktycznie było dwóch poległych z oddziału „Zenona”: kpr. Stanisław Kaczor „Vis” i szer. Edward Gryta „Poborowy”.

¹³⁷ Szer. Stanisław Kaliszuk „Dąbek”.

¹³⁸ Mjr Konstanty Witkowski (1895–1982) „Müller”. Komendant Obwodu ZWZ-AK Radzyń Podlaski (1941–1944). Od jesieni 1943 r. dowodził OP 35. Przeprowadził akcję „Burza” na terenie obwodu, lecz na początku sierpnia 1944 r. pod naciskiem Sowietów rozwiązał odtwarzany 35 pp AK. Przeniesiony służbowo na teren Zamojszczyzny, gdzie został aresztowany w listopadzie 1944 r. Skazany przez Wojskowy Sąd Okręgowy w Lublinie na karę śmierci w styczniu 1945 r. zamienioną potem na 10 lat więzienia. Uwolniony 18 lutego 1945 r. po brawurowej akcji na Zamek w Lublinie przez dezertersów z „ludowego” WP. Ponownie ujęty i wywieziony do więzienia we Wronkach. Warunkowo wyszedł na wolność w 1946 r. Ponownie uwięziony w marcu 1950 r. Wyrokiem WSR w Lublinie w 1953 r. ponownie skazany na karę śmierci zamienioną następnie na karę więzienia. Ponownie na podstawie amnestii odzyskał ze zrujnowanym zdrowiem wolność w 1956 r.

¹³⁹ Kpr. Wacław Szydłowski „Wacek”, „Zygmunt” (zamordowany w PUBP w Siedlcach w 1945 r.). Pełnił funkcję łącznika dowódcy OP.

– Coś za jeden, durniu?

– A wy kto? – odpowiada pytaniem zuchwale.

Dogadali się jednak szybko. Swoi, a jakże. Mistrzowski strzał usposabia mimo wszystko życzliwie. Uznanie... zabijaków dla zabijaki.

– Zasadzkę, gamoniu parszywy, nam marnujesz! – wścieka się „Lanca”.

– Trzeba było mi wiedzieć... nie robiłbym tak. Przyszedłem wypróbować visa¹⁴⁰, też mam robotę na jednym ptaszku, co wysoko lata – tłumaczy się „kolega”.

– [s. 60] Ale to nic. Sami widzicie, żeście zaczarowali, klasa, kiedy ja, taka wyga, a nic nie zauważyłem.

– No to co teraz z tobą zrobimy? – chłopaki spozierają bezradnie.

– Ii... nic. Gębę trochę obetrę i odwalam robotę z wami... Co? Dobra?

Drr, drr, drr... Auto. W nim wódka, papierosy i Niemcy. Są jacyś cywile, może Polacy. Trzeba uważać. Nie wszystko jeździ z własnej ochoty. Krzaki rzucają się naprzód. Walecznie, z determinacją... Odbyło się pięknie. Pewna wystraszona pasażerka, wręcz dziewczątka, zaprosiła później któregoś z zuchów na obiad. „Lanca” wyskoczył na drugi dzień do Sarnak i wrócił obżarty jak nieboskie stworzenie. Podobał się.

Przygodnego pomocnika zabrały chłopaki do oddziału. Gdy opatrywałam mu mocno nadwyrężony łeb, „widzowie” dopytywali się, czy mimo wszystko ma pretensje do „Wacusia”.

– Pretensję? Fajno jest! Czerep boli, ale to może najlepsza rzecz w naszej zasadzce... Tamto z samochodem, nie powiem, nie, tyż dobrze, fachowo. Ale to! To już aliancko było, z fasonem. Po leśnemu.

Tak zaopiniował „wojskowo” pan „Rawicz”¹⁴¹. Śliczny „Jacuś” uścisnął mu grabę swoją małą żelazną grabką.

Tenże „Jacuś” wysłany do Łosic na wywiad, dwie godziny przed akcją zjadł sobie obfity obiad (z sardynkami) na rachunek... szefa Arbeitsamtu¹⁴², którego się miało właśnie likwidować... . Aczkolwiek pieniądze zdobywane w akcjach szły do wspólnego rozdziału, a większe sumy w ogóle do Obwodu, to jednak wyjątkowo otrzymał „Jacuś” pozwolenie na pokrycie kosztów

¹⁴⁰ Vis – polski pistolet samopowtarzalny wz. 35. Produkowany seryjnie w Fabryce Broni w Radomiu od 1936 r. Standardowa broń kadry zawodowej Wojska Polskiego.

¹⁴¹ N.N.

¹⁴² Urząd Pracy (niem. *Arbeitsamt*).

z portmonetki nienawistnego „Łapacza”. Awansem tylko założył swoją forszę. [s. 61] I sumiennie odliczył tę sumę po robocie. Nie była ona tak prosta, gdyż Niemiec jechał pod silną eskortą i wywiązała się strzelanina. Ale poszło. Podjechali chłopaki prawie pod samochód furmanką, niby wyrostki, co mają w czubie. Niemcy dawaj hamować i kłąć, i wtedy Tata dał znak...¹⁴³. „Jacuś” przez kilka lat urzędował jako szef Arbeitsamtu. Wydawał korzystne papiery na prawo i lewo zaufanym ofiarom robót, aż się ktoś starszy w to wdał i Arbeitsamt w oddziale zlikwidowano. Przeniósł się do Kocka.

Jeńcy

Przed Zielonymi Świątkami [28 maja 1944 r.] Niemcy pilnujący mostów na Bugu wyruszyli ekspedycją żywnościową na wieś. Pod pozorem skupu jaj rekwirowali... wieprze i wymuszali łapówki od braku kolczyków. Siedzieliśmy wtedy w lesie [koło Mierzwic], wieść dotarła piorunem. Chłopaki już nie mogły wytrzymać, więc Komendant porozsadzał najgorętszych „po krzaczkach” pod lasem, gdzie się dało. Zasadzki musiały być liczne, bo Niemcy kołowali w terenie. Udało się.

Trzeba przyznać, że przeciwnik zachowywał się dzielnie. Na nasze „Hände hoch” – z punktu otwierali ogień, nie licząc się z ilością napastników. Oczywiście wiedzieli, że w razie przegranej nie mają żadnych szans na ratunek... i tak pomagaliśmy sami straszącej propagandzie o „bandytach”. Wykończyło się pięknie rabusiów, nawet zakopało, wieprze i pieniądze zwróciło się ludziom. Oczywiście wieś obdarowała nas zaraz w podzięcie. Zapadła noc. Czekamy. Zdwoiło się patrole i warty. Ostrożność nie zawadzi.

Dopiero na drugi dzień ruszyli następni Fryce¹⁴⁴ na poszukiwanie zaginionych kamratów. Tym razem zjechała już mała pacyfikacja. Doszło teraz do krótkich, lecz ostrych walk wszędzie po brzegach lasu (do środka Niemiec

¹⁴³ Akcja likwidacyjna SS-Obersturmführera Werlera 16 czerwca 1944 r. na drodze Łosice–Sarnaki w rejonie wsi Woźniki. W akcji tej uczestniczyli: por. Stefan Wyrzykowski „Zenon”, kpr. pchor. Witold Łacic „Aleksander”, kpr. Konstanty Sacharczuk „Jacek”, kpr. Tadeusz Nostitz-Jackowski „Lanca”, kpr. Wacław Szydłowski „Wacuś” i wachm. Stanisław Lewicki „Rogala”. Zginęło jeszcze dwóch Niemców. Wolno puszczono Polaków: kierowcę samochodu i łapacza. Akcję przeprowadzono bez strat własnych.

¹⁴⁴ Zwrot pogardliwy pod adresem Niemców.

włączyć nie lubi) i po drogach na Hołowczyce i Zabuże. [s. 62] I trwały te starcia przez cały dzień. Chłopaki systematycznie doczyszczali pola. Rozzłoszczeni Niemcy, widząc rozproszenie i ubytek swoich, dociągali na samochodach posiłki, lecz jakoś niemrawo i bez przekonania. Święta już zapadały. Jubel! I las przerażał nie na żarty. Nie mieli pojęcia o sile przeciwnika, który chodził trochę wtedy za nimi jak Kmicicowy wataha za ks. Bogusławem¹⁴⁵.

Przy masówce germańskiej mamy jednak i my swoje straty. Umiera w drodze na melinę „Słuchawka”¹⁴⁶ z przestrzelonymi płucami i ginie bohaterską śmiercią „Bomba”¹⁴⁷. Ciężko ranny „Heniek”¹⁴⁸, gdy mu się robi niezmiernie bolesny i uciążliwy opatrunek, mimo upływu krwi, trzyma się nadzwyczajnie. Nie wydaje ani jednego jęku. Uśmiecha się nawet.

Do obozowiska przyprawiają dwóch jeńców. Sensacja. Jeden z nich przeoczony w zamieszaniu. W czasie walki dostał sercowego ataku i oczyszczony z broni przez chłopaków pozostał na drodze jako trup. Jakoś smarkacze nie zauważyli w zapędzie. Gdy się ocknął, było już za późno. Chwyciła go inna grupa. Drugiego przydybał gdzieś por. „Roch”¹⁴⁹ i rozbroił.

Niemcy jeńcami – ogromna zawsze przyjemność i satysfakcja. Coś jak: „złapał Kozak Tatarzyna...”. Wszędzie *Lebensraum*¹⁵⁰, a tu masz, dwóch najeźdźców w partyzanckich łapach – żywcem. Posadzili ich na badania¹⁵¹ w gospodarczym szafasie. Żołnierz płakał, feldfebel¹⁵² nie, poprosiwszy nas o pozwolenie, postawił nawet podwładnego na baczność i zwymyślał za tamtych... Gdyby nie rabowali wczoraj, nie byłoby tego dziś (wszystko już wiedział). Trząśł się jednak trochę, bo musiał pogrzebać towarzyszy i sądził, że później i sam tu legnie. Na razie „Narbutt” kazał im odmówić modlitwę nad zamaskowaną mogiłą.

¹⁴⁵ Porównanie z sienkiewiczowskim Andrzejem Kmicicem tropiącym ks. Bogusława Radziwiłła, sojusznika króla szwedzkiego na kartach *Potopu* Henryka Sienkiewicza.

¹⁴⁶ Edward Jarmułowicz „Słuchawka” (ginie w Lasach Mierzvice 26 maja 1944 r.).

¹⁴⁷ Kpr. Czesław Łukaszk „Bomba” (ginie w Chotyczach 26 maja 1944 r.).

¹⁴⁸ Kpr. Józef Hać „Henryk” (ranny w Lasach Mierzvice 26 maja 1944 r.).

¹⁴⁹ Ppor. Aleksander Wereszko „Roch”.

¹⁵⁰ *Lebensraum* (niem.) – przestrzeń życiowa. Ideowa podstawa niemieckiej inwazji na wschód w III Rzeszy.

¹⁵¹ Przesłuchania.

¹⁵² Niemiecki podoficerski stopień wojskowy odpowiednik polskiego sierżanta (wachmistrza).

[s. 63] Po badaniach chłopaki otoczyły kołem jeńców, oświadczyli im chyba wszystko, co ślina na język przyniosła z rozjątrzonych serc, z zapiekłych krzywdami mściwych dusz... . Taka jest jednak ta polska rycerskość, że żadnego nie znieważyli. Mimo wszystko żołnierz uszanował żołnierza.

Komendant darował im życie. Nie z litości bynajmniej, lecz dla czegoś więcej. W myśl wyższych rozkazów wolno było w wyjątkowych wypadkach puszczać jeńców z Wehrmachtu dla podkreślenia różnicy z Gestapo i dla propagandy. Takie postępowanie wprowadzało również rozkład w wewnętrzne zarządzenia niemieckie. Wojsko bowiem bardzo niechętnie „uspokajało” tereny leśne.

Propagandę urządziliśmy na poczekaniu. Wysłuchali sobie radia (Londyn na Niemcy), obejrzeni zrzutową broń, coraz inne chłopaki prezentowały się im w angielskich bluzach (bluzy były ciągle te same). Siedząc w gęstym, nie mogli się zorientować ani w rozkładzie obozu, ani w sile ludzkiej, więc przesadzaliśmy strasznie. Co chwilę też padały złorzeczenia na żandarmerię i SS. Tym się pasy drze!!! Tu wymowne gesty wzdłuż struchlałych delikwentów.

Mimo że nie sądzili, by mogli wyjść z życiem i nawet ani razu nadzieja nie błysła w przerażonych sercach, to jednak chwyтали chciwie każdą chwilę przed spodziewanym rozstrzałem – nawet taką. Dlatego na pewno zapamiętali, a tym bardziej zaś po obdarowaniu wolnością.

Tymczasem jednak ciągle trwały jeszcze utarczki na temat łaski. Nie łudzili się jednak jeńcy, by ich odbito. Dopiero więc pod wieczór oznajmił im tłumacz, że będą wolni. Nie chcieli wierzyć. Feldfebel tylko poprosił, żeby jego wykończyć, a tamtego puścić, jeśli to jakaś łaska jest dla nich. Nie wierzyli, nie mieściło się to w ich ciasnych, ograniczonych łbach niemieckich, w tępotcie pysznego, bezlitosnego dla pokonanych serca.

[s. 64] Rzecz dziwna, właśnie ja, jako kobieta, musiałam ich upewnić, że naprawdę się ich puszcza. Wtedy zaczęli płakać. Obiecali, że nikogo – poznawszy przypadkiem w terenie – nie wydadzą Gestapo. Że o swej przygodzie zameldują nazajutrz dopiero po godzinie 18.00. Poza tym mogą mówić co chcą.

A nasze chłopaki? W akcji krajałyby Niemców na kawałki. Wszelką dywersją, nawet wyroki popełniali z premedytacją, lecz te słowiańskie chłopięta, mimo ogromu krzywd, nieszczęść osobistych nawet nie umiały się zdobyć na zimne, przedłużające się okrucieństwo nad pokonanym już wrogiem: ugiać go, zniżyć hardy kark tak, lecz bezbronnego żołnierza, jeśli nie pożałowali, bo to może za wiek, to jednak nie zdeptali... .

Zdecydował tylko Komendant i dla innych powodów, przynajmniej zewnętrznie na pewno, tylko taka była jego męska decyzja i racja, lecz chłopaki po cichu zaaprobowali. I tu odniósł może jeszcze większy sukces nasz Tata. Bezwiednie sięgnął ich dusz.

Gdzie jesteś siło, która dajesz potęgę narodom? Czy w bezwzględnym prawie chłodnej sprawiedliwości, czy w miłosierdziu wspaniałomyślnych? Gdzie jest granica – styczna jasnowidzącej myśli i mądrych serc? Jakże bezmiernie trudno o odpowiedź!

Prawem strasznej wojny i prawem partyzanckiego odwetu karało się nieraz już później rozmaitych ciemężycieli niemieckich, nawet w ich żołnierzach, lecz zdaje mi się, że mogę odpowiedzieć za wszystkich prawie chłopców – wykonywali, lecz nie nadużywali tych praw. [s. 65] Bo nie umieliśmy być nikczemni. I tak pewno czuł to wesoły lekkoduch „Lanca”, gdy odprowadziwszy jeńców za obóz, krzyknął im na pożegnanie:

– Znajcie polskie serca!

Odpowiedź zagłuszyły krzaki. Lecz myśmy nie żądali jej. Myśmy jej zgoła nie chcieli.

Obozy i meliny

Gdy stajemy w lasach, urządzamy się tak, by była to trochę majówka, a trochę cygański obóz. Budujemy więc zielone szałas (jedna tylko radiówka pyszni się namiotem), wydeptujemy najskąpsze ścieżynki, odgradzamy „stajnię” dla koni i staramy się – jak w harcerskich przykazaniach – nie niszczyć przyrody, nie zaśmiecać lasu.

Zwijają się też indywidualne gotowanie po drużynach. Obiad bulgocze w wielkich parnikach. Poszczególne grupy mają o nim starania pod okiem doświadczonych mistrzów, a obieranie ziemniaków aplikuje się z zasady jako doraźne ćwiczenia prozy [życia] dla wzniosłych malkontentów.

Sanitariat rozkłada się zaraz z całym kramem i napędza do seryjnych szczepień. Zachętą, groźbą i podstępem, małe jest bowiem przekonanie do zastrzyków. Rana to zaszczytna przygoda i... drobnostka w porównaniu z lichą a złowrogą igłą. Rozkaz rozkazem, lecz w sprawach sanitarnych zawsze się dyscyplina jakoś uelastycznia.

Przeciętny dzień bywa bardzo pracowity: ćwiczenia w terenie, pogadanki, czyszczenie broni, wszelkie reperacje i tak aż do zmierzchu. Czasem witaminowa wycieczka na jagody, czasem kąpiel ludzi i koni, poza tym w wolnych chwilach plaża słoneczna, no i zawsze służba wartownicza, rozjazd patroli i takie tam różne funkcje.

[s. 66] Ognisk wieczorem się nie pali, przestrzega się zawsze względnej ciszy. Po nocy można by doskonale opowiadać o duchach i strachach – las, mrok, nastrój, gdyby nie to, że partyzant nawet się diabłów nie boi i... że chce mu się potężnie spać.

Gdy pada deszcz, program dnia ulega niewielkim zmianom, a jedyną atrakcją bywa walka z wodą. Przecieka ona mimo najstaranniejszego poszycia i najbardziej starannej ściany szałas, jeśli się tylko rozchłapie trzydniówka. W nocy rezygnuje się w ogóle z batalii – niech leje... nie poradysz. Tyle że jakiś szczęśliwiec nakryje się zdobyczą plandeką i budzi względnie suchy pod ciężkim, ruszającym się jak rtęć jeziorem. Tak się bowiem przemyślnie układa płótno w fałdy i dobrowolne wklęsnięcia, by się utworzył zawczasu deszczowy zbiornik. Tkwi się zaś pod nim możliwie sztywno, bo niespodziewanym ruchem można zalać siebie, a już, broń Boże, klnących towarzyszy.

Więc tak: przymusowe obieranie ziemniaków, zastrzyki, deszcz, czasem zimno, czasem komary, to te wszystkie leśne plagi. Najczęściej też w lesie zdarza się karna stojka – pod rozmaitym śmiercionośnym sprzętem (wszystko się ciągle pod niebem dzieje na oku szefa). Dyscyplina, psiakrew! Nie wypada zaliczać do plag.

Bywają i inne, zgoła przyjemne, choć w końcu też plagi. Do nich należą niespodziewane wizyty płci pięknej. Żeby tam nie wiem co, niewiasty wyrastają wraz z grzybami, nawet bez deszczu, raczej najchętniej przy pogodzie. Nie mówi się tutaj naturalnie o różnych „Krysiach Leśniczankach”, które władają często mężem i lasem. To my jesteśmy u nich w gościnie. Mówi się o wędrowniczkach. Bo proszę: stoimy w jakichś zapadłych chaszczach, z dala od „ludzkiej” drogi, ani śladu domostwa, człowieka, nawet zbłąkanej krowy... a tu masz, jawi ci się nagle jak z pod ziemi rusałka leśna, nimfa polna, wesoły [s. 67] chochlik miastowy. Co? Skąd? Wyklóci się z wartą, wybeczy przed Komendantem, uśmiechnie do „Janka”, do „Narbutta”. A wszystko zaprzysiężone, serdeczne, swojskie. Szukają krewniaków, chrześniaków, upatrują nowych synków, zdumiewają się nad Lucyną i „Martą”, łapią w łapięta zuchwale broń, popieszczą ostrożnie Erkę i co łaskawszego konia, i szczebioczą, szczebioczą, szczebioczą.

Nie jest to oczywiście masowy nalot, raczej nieśmiali, pojedynczy szperacze, nabierający dopiero odwagi na widok uśmiechów wiary, lecz Komendant ma tego prędko dosyć. (Chociaż słynie z galanterii, a dla dobra oddziału też potrafi czarować nie wąsko!) Jednak teraz jest stanowczy, zawsze uprzejmy, gładki i „zachwycony”, wszystko straszy i pędzi. Leciutko rozżalonym chłopcom obiecuje urlipy. Obóz jest zamknięty i w wojennym bractwie nie ma miejsca dla kobiet. Nasze dwa wyjątki – Lucyna raczej na zewnątrz oddziału, a „Marta” na stałe w środku – potwierdzają tylko regułę. Zresztą, jakby przestały się liczyć jako baby, wsiąkły zupełnie.

Gdy jednak, odrzuciwszy już żarty, wejrzy się w pomocną pracę ludzi na obwodzie tego koła, jakim był oddział, wkład kobiet jest wielki. Wnosiły one wiele zdrowego entuzjazmu, brawury i rzutkości, umiały być przezorne, praktyczne i szybkie. Troszczyły się i o dodatkową żywność, i o pranie, i o szycie. Pamiętały o lekarstwach, prasie podziemnej. Przechowywały ludzi, przewoziły rannych, dokarmiały u siebie rekonwalescentów. Przeciętnie daleko mniej niż ich mężczyźni bały się odpowiedzialności przed władzami i one to wywierały dobry wpływ na otoczenie, uaktywniając najbliższych, a życzliwie usposabiając dla oddziału ogół. Stawiały się samorzutnie szefami propagandy, a w doraźnej potrzebie odważnymi łączniczkami. Potrafią być dyskretne i milczące. I jeszcze są – o dziwo – w swej pracy zgodne! [s. 68] Tak to kobieta zagospodarowała nam teren. Mówię tu zarówno o młodych, pełnych szlachetnego polotu dziewczętach, jak i o kobietach dojrzałych i starszych. Nawet o staruszkach... Były wśród nich inteligentki, były włościanki, poprzez wszystkie szczeble drabiny społecznej i stany posiadania.

Niemal każda pani domu – dworu, domku czy chaty, otwiera nam na oścież serce i drzwi do ognia, do ciepłej strawy, do matczynego serca. Te zaś, które miały synów i braci w oddziale, były oddane nam tak, jak w najbliższej, zgodnej rodzinie.

Las usposabiał nas właśnie do rodzinnego życia. Siedziało bractwo ciągle na kupie, łaściło sobie ciągle na oczach, a deptało czasami po piętach, więc „kumali” się wszyscy ze sobą. Istotne życie rodzinne wchodziło też w swoje prawa. Bracia, a było ich sporo, wiedli zwykle na nowo przerwane na kwaterach spory, rozmaici kuzyni zabawiali się często w stylu Zagłoby i Rocha¹⁵³.

¹⁵³ Odwołanie do literackiego pierwowzoru z kart *Potopu* Henryka Sienkiewicza.

„Latawiec”¹⁵⁴ dopadał wreszcie swych młodszych pętaków: „Zaprawę”¹⁵⁵ i „Smyka”¹⁵⁶, i wykladał im dokumentnie o przywilejach pierworództwa. Wuj „Rogala” zaprzyjaźniał się ze swym autentycznym bratankiem „Bohunem”¹⁵⁷. A srogi tatuś „Jurand”¹⁵⁸ rozdzielał sprawiedliwie rodzicielskie pouczenia między swych drobnych budrysów: „Grota”, „Lecha” i „Zimnego”¹⁵⁹. Zawsze się bowiem towarzystwo gubiło, zawsze tam ktoś kogoś opłakiwał i szukał. Odnajdywano się wśród wybuchów radości i łez. A działo się to wszystko zgoła nie przez niedołęstwo i mazgajstwo, tylko albo za szczególnym zrządzeniem okoliczności, [s. 69] albo przez żądzę przygód. Takich zabijaków jak ci „Jurandowi” smarkacze łatwo byłoby znaleźć. Każdy z nich coś oberwał, każdemu przytrafiały się rany, a konspirację i zasady mieli w pogardzie. „Lech”, pieczołowicie umieszczony przez pewien dwór w szpitalu, wrzeszczał zaraz na całą salę:

– Wcale nie młocarnia! Wcale nie młocarnia! To z czego innego. Partyzantem jestem, leśny chłopiec, do cholery!

I aż płakał z desperacji.

O łzy w tej naszej rodzinie, jak widzimy, też nie było trudno. Lecz to wcale nie przeszkadzało w waleczności. Stary zbrojmistrz¹⁶⁰ był dumny z synów też do łez.

W lesie łatwiejszy był dostęp do Taty. Zabawiał się on czasem w ojca Wergiliusza. Liczne dzieci poduczane jak w tej śpiewance, tylko że dyscypliną i akcjami, otaczały go nieraz podobnie wielką liczbą. „Sto dwadzieścia troje”, a było ich później i dużo, dużo więcej. Siadał sobie Komendant na pieńku, a całe towarzystwo rozkładało się wielkim kołem lub przystawało grupkami. Wtedy plutonowy strażnik¹⁶¹, zacny przedwojenny „głina”, zawsze jeszcze przez noc zmustrował, a „Sylwester” coś ironicznie dołożył, ale na boczku,

¹⁵⁴ Kpr. Alfons Wiszowaty „Latawiec”.

¹⁵⁵ Szer. Zygmunt Wiszowaty „Zaprawa”.

¹⁵⁶ Szer. Piotr Wiszowaty „Smyk”.

¹⁵⁷ Wacław Perycz „Bohun”.

¹⁵⁸ St. sierż. Jan Antoni Kwoka „Jurand” (zbrojmistrz OP I/34 „Zenona”).

¹⁵⁹ Szer. Wiesław Kwoka „Zimny”.

¹⁶⁰ Funkcja st. sierż. Jana A. Kwoki „Juranda” w OP I/34 „Zenona”.

¹⁶¹ Przypuszczalnie to kpr. WP/plut. WiN Władysław Padysz „Gołąb”. Dowodził drużyną w II plutonie OP I/34 „Zenona”. Zginął tragicznie 15 grudnia 1945 r. w Komarnie.

po cichu. Przed front zaś wrywał się „Wichracki”¹⁶² i rozpoczynał zale nad erkaemem albo projektował motory.

– Panie komendancie, ależ to będzie klasa! Dla zatarcia śladów z miotelką z choiny, a hałas?... Niemcom nie wolno słyszeć! I już. Będziemy jeździli, jak Boga kocham, niby króle... Dżdż-wziu-dżdż – zaplawał się z emocji. Śliczny „Jacuś”¹⁶³ dosiadał już imaginacyjnie maszyny, podjudzał na jakieś wyczyny. Strasznie robiło się wesoło, jak jeszcze ktoś wywołał „Atletę”¹⁶⁴, by prawić o maślanec, żonie i niebieskich krowach, zabawa dochodziła do szczytu.

Pogodna niedziela wyglądała zaś tak: po mszy i solidnym „wtrząchnięciu” szło się na plażę, gdzie rozpoczynały się [s. 70] „zawody sportowe”. Bieg przez płotki, skok o tyczce, skok w dal, skok wzwyż, rzut dyskiem albo kulą. Dysku nie było, kula jakaś przedziwna, a płotki? Tyczka była, a murek też. Najlepsze wyniki miała zwykle radiówka. Doskonale skakał stary-maleńki por. „Rola”¹⁶⁵, więcej zaplątany wśród nas niż pełniący jakieś funkcje, usiłował ze zmiennym szczęściem olśniewać popisami, co wywoływało z zasady gromadne salwy śmiechu. Ułani ćwiczyli woltyżerkę pod czułym a srogim okiem wachmistrza „Grzmota”¹⁶⁶.

Gdy upał leśny opadał na mchy dusznym, żywicznym żarem, chłopaki rozpełzały się na plamach słońca, niby wielkie, nieruchome liszki po jakichś bajecznie wielkich liściach. „Afrykańcy” rozkładali wnet karty i zapraszali na międzynarodowy turniej szarże i nie szarże, kto tam był miłośnikiem pokera. Odmawiał tylko i z zasady por. „Narbutt” (nie lubił, nie znosił kartografstwa), smarował się za to dokładnie i przypiekał na obie strony, za każdym obrotem badając troskliwie ranny palec (mały u lewej nogi), przestrzelony nie chcący przez „Wujka”. Między rozleniwionym towarzystwem kręcił się mistrz „Brzytewka”¹⁶⁷ – temu i owemu podgolił czuprynę, rozmaitym niedbaluchom namydlał starannie podbródki, a jeszcze innym pomagał odszukiwać zarost. Strasznie cierpliwie i strasznie pocziwie.

¹⁶² Kpr. Mieczysław Radzikowski „Wichracki”.

¹⁶³ Kpr. Wacław Szydłowski „Wacek”.

¹⁶⁴ Kpr. Stanisław Koc „Atleta”.

¹⁶⁵ Ppor. Robert Gumowski „Rola”.

¹⁶⁶ St. wachm. Lucjan Mężyński „Jarosław”, „Grzmot”. Zamordowany w obozie NKWD w Sokołowie Podlaskim w listopadzie 1944 r.

¹⁶⁷ Szer. Basista „Brzytewka”.

Jeśli gdzieś półgłosem popłynęła sobie piosenka, goniło ją zaraz natchnienie rozanielonego „Sewera”, tworzył wreszcie na łonie natury, bez garnków.

Konie święciły niedzielę tarzaniem się po trawie i filozoficzną zadumą, co chwilę energicznie opędzając się od much pięknymi, dowcipnymi ogonami.

[s. 71] ^fRozmaici ludzie w rozmaitych okolicznościach wyrastali na „ważnych”. Ważnym był szef na zbiórkach i w czasie przemarszu. Ważnym „Kolejarz”, gdy wracał z terenu objuczony jak wielbłąd niesamowitością sensacji, wydarzeń i kawałów. Nawet jego rodzony rower nawalał kichami z tej ważności, tak go roznosiła. Usiłował być ważnym pocziwy pchor. „Zygmunt” na swej niespornej drużynie, a takim samym zacny pedant i skrupulant por. „Gruda” na plutonie... . To wszystko byli okolicznościowi „ważniacy”, lecz w lesie znów prawdziwie i nieodzownie ważni stawali się „Wrona” i „Brono”. [s. 72] Od mistrza „Wrony” zależy bowiem dzisiejsze menu: znakomitość grochówki czy kunsztowne ocalenie kaszy od przypalenia w kotle. On decyduje o każdej porcji za pomocą swej warząchw i on, a nikt inny, wsunie coś cichaczem na dokładkę w żebrzącą niehonorowo łapę. Wreszcie da łaskawie oblizać rondel, gdzie się pitrasiał amerykański smakołyk. Czyż trzeba więcej tłumaczyć? Zaskarbić sobie względy kuchennego dyktatora nie jest trudno, serce ma w ogóle skwierczące czule na ludzką biedę – nie darmo u niego przed wojną było wszystko na maśle – rozplywa się też zaraz nad człowiekiem. Tylko mu trochę uderz w słabą stronę: chwał mu Niuńkę... . Niuńka to jest ładna, siwa klacz „Wrony”, łagodna jak dziecko i wielka pieszczocha. Lubimy ją wszyscy, szanujemy nawet, ale mów „Wronie”, że to „taborowe cudo”, że sam komendant się nią zachwyca, że Niuńka to jest arcyklacz! Wtedy „Wrona” odda ci wszystko: krupnik, kocioł, nawet cenny ogień z popiołem. Dla przyzwoitości i pełnej rozkoszy mistrza wysłuchaj cierpliwie, jak to Niuńka się wita, jak podaje nóżkę. (Nikt, jako żywo, tego nie widział, że wierz „Wronie”.) A potem go nastrasza, że i „Marta” ma fioła na punkcie Niuńki i może ją wycyganic – a później go znów zapewnij wspaniałomyślnie, iż wpłyniesz na „Martę” i podsuniesz jej chudego Węgra albo tego Deresza – na pewno. Wtedy przerażony i uszczęśliwiony „Wrona” zostaje zaszantażowany, albo do następnego obiadu, albo też zaniósłszy tę „bolesną” intrygę „Marcie”, uspokaja się jej stanowczym zaprzeczeniem i czuje wdzięczność dla wszystkich

^f Opuuszczono fragment przekreślony najprawdopodobniej ręką autorki.

po kolei: dla ciebie, dla „Marty”, dla Niuńki, Węgra i Deresza. Tak czy siak masz serwowaną dodatkową porcję.

Kiedys komendant zapytał „Wronę” o Niuńkę.

– Powiedźcie mi, dlaczego ma takie imię?

– A bo..., melduję posłusznie, panie komendancie, to po żonie. Zawsze jak było czule... Pan komendant rozumie... – „Wrona” jąka się wstydliwie – to tak do żony mówiłem.

I wzdycha, ma żonę daleko, w Warszawie. Miłość przelał powoli na siwkę.

[s. 73] „Brono” jest może jeszcze ważniejszy od „Wrony”. „Chleba i igrzysk” – wołał lud rzymski... . Prania Niemców, a potem chleba domagali się partyzanci. O powszedni, razowy chleb chodziło. Zawiadywał tą sprawą „Brono”. On, wielki bywalec, zawsze wiedział naprzód, gdzie go piec, skąd doraźnie wytrasnąć i jak chytrze dostarczyć. A przewiezienie pieczywa dla tylu chłopów to prawie to samo co broni – wsypa w każdym razie jednakowa. Nie zawsze też plany piekarskie „Brona” pokrywały się ze strategią marszów. Bywało chleb taszczyć i ze 30 km. Na kwaterach jeszcze pół biedy, zawsze gospodarze w razie czego podzielili się uroczyście, po piastowsku z głodomorem, lecz w lesie! W lesie zupełnie popychało się chlebem, groch chlebem, jagody chlebem i zapał po akcji też chlebem. Przy tym wiadomo – leśne powietrze zaostrza apetyt.

Toteż koło „Brona” w lesie zdwajał się szacunek i natarczywość. Wachmistrz Trąbka, jak go zwano inaczej, był typem trochę Szwejka, tylko że nie na tyłach, a na przedzie. Cwaniak i kombinator, gdy wymagały okoliczności, zamieniał się w pokornego łazika, to znów w zaciętrzewionego zuchwalca i bojowca. Jego życiowa kariera była niesłychanie różnorodna i burzliwa. Z zawodu podoficer kawalerii, znał i uprawiał przygodnie mnóstwo fachów, oprócz tego szmuglował, sprzedawał lody na odpustach i grał na trąbce. Wszystko to ułańskie piosenki, patriotyczne pieśni po pociągach, na jarmarkach, przy kościołach. Znały go wsie, najbardziej zapadłe kolonie, miasteczka i wesoły naród szmuglerski spędzający większość pracowitego żywota w wagonie. I wszyscy ci ludzie bez wyjątku przepadali za Trąbką – [drugiego] tak popularnego człowieka w obrębie paru powiatów chyba się nie spotykało. Wachmistrz odpłacał się tym ludziom wzajemną sympatią i nadzwyczajną pamięcią osób. Znał też wszystkie drogi, ścieżki przejścia i przełomy, orientował się doskonale w charakterze, zasobności gospodarzy i ich nastawieniu politycznym. Z zasady wszystkich chwalił, nad każdym się rozczulał, za każdego ręczył. W oczy i poza oczy. To tak ludzi zobowiązywało,

tak przedziwnie podciągało na wyznaczony im przez Trąbkę poziom, że ten mistrz psychologii dokonywał nieraz cudów na kwaterach, a wszystko dla dobra ukochanego oddziału i zadowolenia Taty. Poza tym ten gorliwy służbista był bezinteresowny, [s. 74] przynajmniej w najgłębszych intencjach. Włóczęga partyzancka stała się dla „Brona” tryumfalnym marszem przez swe podbite prowincje.

– Patrzcie, patrzcie, a toż to mały Trębacz? Kumo kochana, Trębacz!

Baby zlatywały się ze wszystkich stron z głośnym piskiem, wszystkie gęby rozciągały się jak na zawołanie w szerokim uśmiechu, a malutki, z tatarska kosy i czerniawy Trębka nadymał się wesołą pychą, by się zaraz rozczulić do łez tą ludzką i babską sympatią... Za chwilę już nadrabiał marszem i już kombinował jakiś pożytek z tej owacji – dla chłopców.

Pamiętam, szyliśmy kiedyś koszule ze spadochronów. Co cwańsza drużyna wyłapała już we wsi maszyny i uczone krawcowe, a tu jeszcze tylu rąk trzeba. Chłopaki lamentują, bo każdy marzy o takiej koszuli. Naradzamy się z „Brono”.

– Jest! Jest! Jak Boga kocham, już szkoda nawet gadać. Toż tu zaraz za lasem moja wieś.

„Moja” to znaczy każda. Już wachmistrz piorunem zaprzęga konie, już coś wrzeszczy we wrotach – już go nie ma. Nie upływa i godzina, jak zajężdża z ładunkiem pięciu maszyn, a za nim przez łączki, w opłotkach gęsiego sunie niby piękne pastereczki aż dziewięć dziewczetek – wszystko krawcowe, wyrwane od pielienia, od obrządku, wyrzещzczane matkom od komina, popędzane żarcikami i zachwytem naszego dyplomaty. „Brono” komenderuje babską drużyną: prędko stoły, nożyce, nici, maszyny tu, panny tu i tam. – A krajać oszczędnie! A szyć mi jak ślubne suknie! Widzicie, że to amerykańskie, z samego nieba. – Dziewczęta chichoczą – Oczywiście tempo, tempo, tempo! I zaciera ręce.

O którejś tam godzinie wywołuje mnie na migi do sieni.

– Pani „Marto”, pycha koszule. Będą jak ułaf. Najlepsze w oddziale – zwierzra się gorliwym szeptem. – I wie pani, to takie honorowe dziewczęta, one na pewno ani kawałeczka nie świsną, ręczę. Chociaż to łakoma rzecz. Ale może damy im coś na różki, ot takie malutkie, do kieszonek, co? Niech mają uciechę. Zawsze to kozy z „mojej” wsi.

– Naturalnie, wachmistrzu – zgadzam się skwapliwie. – Lecz przede wszystkim trzeba im zapłacić za robotę. Niektóre i nici przyniosły.

Ach, gdybym mogła wtłoczyć sobie z powrotem te zgoła niepotrzebne słowa... „Brono” purpurowieje [s. 75] jak indyk, obawiam się [nawet] jakiegoś ataku.

– Zapłacić?! Im, „moim” dziewczętom zapłacić! Pani daruje, pani „Marciniu”, ale z panią coś niedobrze... One to szyją ho-no-ro-wo. Pani chyba zapomniała na chwilę, co to jest honor?! Biedulki kochane! To tak nami gardzą... Zaprzysiężone są przecież! – oburzenie rozplywa się w cichym żalu.

Kapituluję pośpiesznie, przepraszam Trąbkę za mą ignorancję i małoduszność. A swoją drogą śmiejemy się potem na kwaterze, chociaż w rozczuleniu. Nie umniejsza to bynajmniej inteligencji ani zasług dzielnych dziewcząt, nie wąpimy w ich przynależność do organizacji ani w ich „honorowość”, lecz w gorliwym nastroju całej akcji wyczuwa się od razu podziw dla szlachetnej inicjatywy „Brona”.

Miał nasz wachmistrz dwie słabości: blacharstwo i konie. Każdy mijany dom pokryty nową blachą to na pewno dzieło „Brona”. Dochodziło do tego, że wyczekiwało się takich domów, aby pytać – wachmistrz z niezmaconym spokojem odpowiadał zawsze: „mój” – tak jak te wsie i dziewczęta były jego.

W koniach kochał się jak zawołany kawalerzysta, a trochę jak handlarz-miłośnik. Do każdej sprawy, do każdego zjawiska, do człowieka i do zwierzęcia podchodził z gorącą pasją swej żywiołowej duszy. Jego niespokojny, ruchliwy temperament wyładowywał się zarówno w gorliwej pracy, jak i w niezrównanej pomysłowości przedsięwzięć. Serce miał miękkie jak воск i śłozы [lał] na poczekaniu. Lubił oczywiście śmiech, lecz w miarę możliwości nigdy na służbie. Nikt go nie widział zniechęconym, znużonym czy nadętym. Szaleńcem ze szczęścia lub narwanym desperatem – tak, lecz też na krótko. Na co dzień nosił w swej małej twarzyczce uśmiechniętą pogodę, taką pyzatą radość. A że nazwał się Brono, a nie Bruno, to już była jego fantazja jak furażerka na bakier.

Taki to był jeden z naszych „ważniaków”. Zdarzały się jednak chwile, ważnym stawał się cały oddział. Z reguły zaś wtedy, gdy [s. 76] zetknął się z innym. Co też się wtedy nie wyrabiało? Obnosiło się wśród partyzantów wyniosłą godność i nonszalanckie lekceważenie własnej sławy, a reakcją na wszelaką konkurencję było zawsze chytre, druzgoczące współczuciem zdziwienie.

Obozowaliśmy tak kiedyś dłużej z „Ksawerym”. Na terenach tej partyzantki, a więc jakby na prawach gości¹⁶⁸. Serdeczni i gorliwi byli ci gospodarze, lecz nasz oddział przypominał wtedy nieznosnego i złośliwego rezydenta. Ktoś tam ich ciągle podpatrywał, krytykował i podśmiewał – okropnie brzydko, wprost szkaradnie, lecz zgoła nie mogliśmy wytrzymać. Cieszyliśmy się, że lepiej maszerujemy (może to tylko złudzenie?), że lepiej ćwiczymy (może to nieprawda?), że w ogóle my wszystko czynimy pięknie. Oszalałoby się naiwniaków naszymi akcjami. Co za historie, co za nieprawdopodobne blagi dokładało się jeszcze do rozmaitych rzekomych prawd! I nieświadomi nawet, skąd się to wszystko brało, tak nagle i spontanicznie – u wszystkich naraz pycha, fantazja i wściekła złośliwość opanowała nagle cały oddział.

A jednocześnie urządziło się wyścigi – najrozmaitsze. Jeżeli np. chłopcy „Ksawerego” zgotowali mu jakąś doraźną owację, to my porywaliśmy swego Tatę w formie leśnej manifestacji. Jeżeli oni mieli kompot, to nasza drużyna lepiła z zapałem i z zaparciem pierogi. Polewało się je w dodatku tryumfalnie śmietaną. I tak ze wszystkim podobnie na każdym polu i odcinku. Musieliśmy ich zawsze pobić ilością zuchów, broni i zapasów. Chwały kroniki bojowej... .

Kapelan nasz – wspólny, był przede wszystkim nasz. My mieliśmy sztandar, radio, konie, „Afrykańców” i wizytę generała. Całe mnóstwo unieszkodliwionych Niemców i... wspaniałego Tatę. W naszym przekonaniu oni posiadali tylko dowódcę, a poza tym nic godnego uwagi. Gdy w dodatku kiedyś przybył ratować z opresji ich ludzi i został przez nich niepotrzebnie ostrzelany, wzięli chłopcy za karę nygusów do niewoli. I wtedy dopiero nam nieco ulżyło.

[s. 77] Zżyliśmy się z lasem serdecznie, wchłonął on nas w swe wnętrza, podbił urokiem serca i dusze, zamieniał drapichrustów na leśnych chłopców. Zrozumieliśmy się. Z lasu płynęła też nasza najlepsza, najrzetelniejsza modlitwa. Msza polowa stawała się prześlicznym leśnym obrzędem. Wśród modlitewnego szumu chojarów w kadzidlanej woni ziół i żywicy święciło się na uroczysku proste przepiękne Misterium – słowa pieśni płynęły przez niebiańskie ostępy Boga-Wodza, Boga Stwórcy Lasu.

Wieczorny pacierz drżał długo, dzwoniąc po falach zagajników, na strzelistych iglicach drzew. Konie zwracały ku rozśpiewanym szeregom swe gietkie,

¹⁶⁸ Odskok oddziału AK w rejon gajówki Lipniak w lasach kąkolewnickich (pow. Radzyń Podlaski) w pierwszych dniach lipca 1944 r.

połyskliwie szyje i strzygące uszy. Chłonęły melodie karnie i w zapamiętaniu,
i słuchały – a może też się modliły?

[s. 78] *Na drogach czyjegoś odwrotu*

Nie było nas był las.
Nie było nas słyszycie?
Tam w murach hańbionych wrogiem miast,
Bracia i towarzysze!
Tam w życiu co huczało i drgało pod batem.
Wyszliśmy wolni jak ptaki
W las, dymiący wiosną las,
Co białął konwaliami i zakwitł amarantem!
Wyszliśmy Boże junaki...
W lesie tak było prosto:
Poszum śpiewny i rozgwar płaczący...
Z bratem świerkiem z dobrą siostrą sosną
Żyliśmy wygnańcy na pustelni.
Las nas garnął jak ojciec miłujący
Las się żalił nad nami jak matka,
On w pogwiździe kul gorejący
Naszym ciałem – stał jak żołnierz niezłomny
I jak warta.
I rozszumiał się nad naszym zwycięstwem
I utulił poległych modrą ciszą...
Las – partyzant, towarzysz, druh najmiłszy,
Co nasz sen o wolności kołysał.

Zbliżał się front¹⁶⁹. Posuwał się ku nam cicho jeszcze, ale szybkimi, wielkimi krokami. Sadził niczym kot w miłowych butach. Mówiły nam o tym zresztą spokojne, rzeczowe komunikaty codziennych audycji, słuchane z radosnym drżeniem, [s. 79] [zdobywane] w ramach naszej partyzantki za Bugiem, i mówiły noce, gdy w czasie przemarszu rozkwitały raz po raz na dalekim, czarnym niebie szkarłatne pąki, różgi i zygzaki. Zawieszone hen gdzieś nad lasami, trwały tak długie chwile groźnie i tajemniczo. Huk ciężkich dział nie dochodził jeszcze do uszu, lecz tu i tam wybuchały lotnicze bomby i odzywała się zaraz obrona. Powoli jednak podpełzł i głuchy, tętniący pomruk artylerii frontowej. Potężniał, to znów zamierał. Z miast dochodziły sensacyjne wieści o popłochu wśród Niemców i o bladym strachu volksdeutscheów.

W lesie aż zakipiało. Opuściliśmy więc nasze drzewa i chaszcze, gdzieśmy się zaszyli na ćwiczenia, i oddział ruszył ku wsiom. Wleźliśmy w teren podmokły i bagnisty¹⁷⁰, ogarnięty to tu, to tam przez łapy lasu, ogromnie dla Niemiaszków nieciekawym, a właściwie tak ciekawym, że go, gdzie mogli, podparli szlabanami i nazwali strefą niebezpieczną, czyli partyzancką. Noblesse oblige¹⁷¹, tam więc wypadało stanąć.

Tu zaskoczyła nas też akcja „Burza”¹⁷². Zaczęło się od regularnych wycieczek na pobliskie szosy, gdzie już ciągnęły cofające się w porządku wojska.

§-§ Or. Strachy od Lachów.

¹⁶⁹ 23 czerwca 1944 r. rozpoczęła się operacja „Bagration” na Białorusi. Armia Czerwona siłami czterech Frontów (1. Nadbałtyckiego, 3. i 2. Białoruskiego oraz prawego skrzydła 1. Białoruskiego) uderzyła w niemiecką Grupę Armii „Środek”. Na Podlasiu opór czerwonoarmistom stawiała niemiecka 2. Armia.

¹⁷⁰ Wymuszone przejście w rejon lasów kąkolewnickich (kwaterunek pod Lipniakami do połowy lipca 1944 r. oddalony o około 30 km na zachód od wstępnie wyznaczonego miejsca koncentracji w rejonie Białej Podlaskiej). 15 lipca przez Polskowolę OP I/34 „Zenona” przesunął się w rejon lasów pod Łomazami (na południe od Białej Podlaskiej). Wyjściowy do akcji „Burza” punkt w Witorożu osiągnął w nocy z 16/17 lipca 1944 r. Tu miał przystąpić do wykonania postawionych mu zadań bojowych w ramach akcji „Burza”.

¹⁷¹ *Szlachectwo zobowiązuje* (zwrot z j. francuskiego).

¹⁷² Według założeń z 8 maja 1944 r. OP I/34 „Zenona” miał atakować siły niemieckie na kierunku Brześć–Międzyrzec Podlaski, zając lotniska wojskowe w Białej Podlaskiej i Małaszewiczach, a w następnej kolejności wysadzić w powietrze mosty na Krznie na wschód od Białej Podlaskiej i szosie Biała Podlaska–Wisznice. Potem współdziałać z Armią Czerwoną przy zdobywaniu Białej i Międzyrzeca. Warunkiem pomyślnego przebiegu tych planów

Rozkład roboty był bardzo prosty: dobrze rozplanowana zasadzka, błyskawiczne zwężenie sytuacji w lewo, w prawo, w górę, w najwłaściwszym czasie umiejętnie zaskoczenie i już trzask po samochodach, po taborach, po pojedynczych Niemczykach. Zanim się obejrzel – przeważnie ocknięcie następowało po tamtej stronie życia – nas już nie było. Pryskaliśmy z łupem, trofeami i walecznym tryumfem.

Na doszczętne pobojuwisko rozwalonych aut i porzuconych Fryców nadjeżdżali następni i martwieli, na krótko zresztą, bo strach był silniejszy, nie mścili się więc na nikim po drodze, tylko pierzchali ile sił w motorach. To nas rozzuchwalało jeszcze bardziej, więc na szosie między Rossoszem a Łomazami uderzono na samochody dwoma plutonami¹⁷³. Niemcy odpowiedzieli silnym kontratakiem i wywiązała się uporczywa, zjadła walka. Komendant kierował akcją szybko i z fantazją. Chłopcy nacierali jak lwy. Pod bardzo

było dłuższe zatrzymanie się Armii Czerwonej na Bugu, co dawałoby szansę na pełną realizację planu. Sukcesy Sowietów dezaktualizowały te plany i zdołano zająć pozycje wyjściowe do działań wojskowych na południe od osi Warszawa–Brześć (rejon Witoroża) i zadania wykonać w ograniczonym zakresie. Zob. W. Łacic, *Oddział Partyzancki 34 pułku piechoty AK „Zenona” Obwodu AK Biała Podlaska*, [w:] *Armia Krajowa na środkowej i południowej Lubelszczyźnie i Podlasiu. Materiały sesji naukowej KUL*, 24–25 IX 1985 r., red. T. Strzembosz, Lublin 1993, s. 283–284. 1 sierpnia 1944 r. inspektor Inspektoratu Rejonowego AK Radzyń i zarazem dowódca 34 pp AK ppłk Stefan Drewnowski „Roman” w optymistycznym tonie depeszował do KG AK: „Melduję, iż z dniem 30 zakończyłem Burzę w płn. części [powiatu] Biała Podlaska. Zdobył materialne duże, do artylerii włącznie. Jeńców przekazałem armii sowieckiej. Straty własne 15 zabitych, 25 rannych. Baonowi mjr Ksawerego [Witkowskiego], który po Burzy został; rozbrojony w dniu 27 bm. pod Międzyrzecem z rozkazu dcy frontu gen. Gusiewa, po mojej interwencji, w dniu 30 [lipca], broń została zwrócona do ostatniego naboju włącznie. Polecono ich dozbrajać. Zakazał rozbierać partyzantów polskich. Dca frontu Gusiew oczekiwał w Łukowie na przybycie dcy 9 dyw. piechoty gen. Halki [Bittnera] dla omówienia dozbrojenia dywizji w sprzęt do artylerii i omówienia wspólnie planów operacji dla dalszego bicia Niemców. Z dniem 1 b m. [sierpnia] zarządziłem odtwarzanie 34 pp i 35 pp. Równocześnie melduję, iż na żądanie dcy frontu gen. Gusiewa siedmiu amerykańskich lotników, którzy przebywali przy oddziale »Zenona« [Wyrzykowskiego], w dniu 29 [lipca] oddałem za pokwitowaniem armii sowieckiej”. Zob. *Dokument nr 703*, [w:] *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 3: (kwiecień 1943–lipiec 1944), Londyn 1976, s. 595–596.

¹⁷³ Informacja nieścisła. Zwycięska potyczka polskich partyzantów z Niemcami miała miejsce na drodze Biała Podlaska–Łomazy w rejonie Dubowa 21 [w literaturze przewija się też 22] lipca 1944 r. Doszło wówczas do ostrzelania samochodu ciężarowego z żołnierzami niemieckimi przybyłego z Łomaz. W starciu z AK poległo 14 Niemców, zdobyto sporo broni i amunicji, a samochód spalono. Straty polskie wyniosły dwóch poległych.

silnym obstrzałem, brodząc chwilami po pas w wodzie [s. 80] głębokich rowów¹⁷⁴, szli spokojnie i z determinacją. Niemcy zaś, mimo liczbowej przewagi i solidniejszego uzbrojenia, stracili ducha.

Oddział wracał zwycięsko, uprowadzając ze sobą czterech pokiereszowanych jeńców i mnóstwo broni¹⁷⁵. Nie obeszło się jednak bez strat i po naszej stronie. Padł na miejscu dzielny sanitariusz „Atleta”, ugodzony śmiertelnie w momencie pierwszego natarcia. I konał nam na wozie taki zawsze wesoły, a stateczny „Hermes”¹⁷⁶ z minerskiej drużyny. Nie było już dla niego ratunku mimo najżarliwszej pomocy Doktorka¹⁷⁷, ranny beznadziejnie w płuca i brzuch. Leżał sobie spokojnie, cichutko i gasł powoli w słońcu, w cudnej pogodzie lipcowego dnia. W pewnej chwili wyszeptał pożegnanie kolegom i po tym z ogromnym wysiłkiem przeżegnał się błędzącą słabiutką ręką. Wiekuisty sen objął łagodnie tę śliczną, dziecienną głowę szesnastoletniego harcerzyka. Bóg dał mu piękną śmierć żołnierską, a on po żołniersku ją przyjął... .

Gdy na drugi dzień chowaliśmy obu poległych na razie polowym pogrzebem¹⁷⁸, bo prawie pod obstrzałem nacierających Niemców, nie można było mimo wszystko oderwać oczu od tych zwłok. Nasz biedny doktor Szczydłowiecki leżał rozwalony potężnie, jakby rozrzuconiem rąk i podaną naprzód, wyprężoną piersią wyzywał wroga i samą śmierć. W twarzy zastygł mu żar walki, wyszlachetnił jej wyraz surowością i powagą. „Hermes” zaś przypominał rzeczywiście małego greckiego boga. Wielka słodycz i niezmierna prostota biła z jego rysów, piękniejszych jeszcze w skonie niż za życia. Na obnażonej ręce przerzuconej nad głowę dziwnie szlachetnym gestem – opierał zastygłe czoło, tak jakby spał. Patrzyliśmy na niego jak na cudowną, klasyczną rzeźbę. Nie złożyliśmy mu więc rąk, niech tak śni i niech tak od nas odejdzie w wielkim uroczystym majestacie urzekającego nawet w śmierci piękna. Pod głowę wsunęło się mu święty obrazek i pogładziło jasne, puszyste włosy. To za nieobecną matkę.

¹⁷⁴ Żołnierze AK zalegli w pobliżu mostu na Żarnicy, niewielkim dopływie Zielawy.

¹⁷⁵ Na nocleg w Wólce Korczowskiej.

¹⁷⁶ Strz. Zbigniew Kwiek „Hermes”.

¹⁷⁷ Kpr. Zbigniew Papliński „Ruski”.

¹⁷⁸ Po akcji „Burza” (w końcu lipca 1944 r.) wszystkich poległych przeniesiono do wspólnej mogiły żołnierskiej przy skrzyżowaniu dróg do Janówki. Następnie zostali niektórzy ekshumowani przez rodziny do Siedlec.

W następny dzień [23 lipca 1944 r.] po tej akcji na szosie ruszyła na zasadzkę minierka pod dowództwem „Jarach” pod wieś Kozły. Deszcz lał jak z cebra przez całą noc i rano wstał również zachmurzony i płaczący. Nasłuchiwalimy [s. 81] za nimi z pobliskiego miejsca postoju, lecz ciągle było cicho. Tylko mżył bez przerwy dokuczliwy kapuśniaczek, roztopiając drogi w bajora. Widocznie w takiej pogodzie i Niemcy cofali się ospalej. Nagle o którejś tam godzinie na fali deszczu zagrzechotały automaty. Na moment cisza i znów regularny łomot, potem pojedyncze strzały i znów cała seria. Robota odchodzi na całego. Nasłuchujemy niecierpliwie. Ogień się wzmaga. Komendant wysyła część chłopców na pomoc. Utrzymujemy kontakt przez łączników. „Wichraci” pędzi uruchomić jeden z opanowanych samochodów, bo się nam teraz już przyda. Strzelanina jakby ustaje, lecz nagle Komendant podrywa prawie cały oddział i rusza na Kozły. W Wólce [Korczowskiej] zostają tylko tabory i normalna osłona, i część kawalerii, ale wszystko trwa w ostrym pogotowiu, by w każdej chwili cofnąć się do pobliskiego lasu. I prawie że w momencie, w którym odsiecz powinna dotrzeć do miejsca akcji, wyrывa się znów potężna strzelanina. Nie jest to już bezładna pukanina, serie maszynowej broni, rozpoczyna się teraz gwałtowna kanonada. Raz po raz odzywają się granatniki. Trwa to długo, bardzo długo i powoli, uparcie zbliża się ku nam.

Dopada łącznik od Taty z rozkazem krycia się w las. Tabory wyjeżdżają, my grzebiemy za wsią obu poległych i dołączamy. Jeszcze jeden łącznik. Łapię klacz i ruszam z nim razem, co koń wyskoczy, pod linię. Strzelanina cichnie, to znów się wzmaga, lecz już nie mam poprzedniego impetu. Widać jednak wyraźnie, że się wycofujemy. Jedyna obawa to ta wieczna, czy aby starczy amunicji...

Zasadzka „Jarach” miała miejsce w samej wsi. Chłopcy upatrzyli sobie ciężarowy wóz i małą taksówkę¹⁷⁹. „Rudy” dał pierwszą serię z erkaemu¹⁸⁰ przez okno – wywiązała się haratanina. Chłopcy opanowali od razu sytuację i doczyszczali pola. W międzyczasie dojechały jeszcze samochody. Jarach znowu się rzucił, z oddziału nadciągnęła pomoc. Za długo jednak trwało marudzenie przy uruchamianiu samochodu, bo oto z Białej [Podlaskiej] ruszyło nagle kilka kompanii wojska, już zaalarmowanych zatorem. Na ten moment [s. 82] zjawił się właśnie Tata i rozgorzała zaciepła walka. Przeniosła

¹⁷⁹ Samochód osobowy.

¹⁸⁰ MG-34.

się ona z wolna na rozwidlenie dróg, między kolonie, pod naporem Niemców przewyższających nas liczebnie przynajmniej czterokrotnie i uzbrojonych frontowo. Oddział musiał się cofnąć, zwłaszcza na otwartej przestrzeni. Szosy przecież były dotąd w całkowitym władaniu nieprzyjaciela i przez nie szedł główny odpływ cofającego się frontu. Lecz tenże nieprzyjaciel nie ryzykował już teraz, czasem więc zapuszczał się za nami w głąb, jakby pod przymusem, by sobie oczyścić przejście. Zaczepiek partyzanckich bał się może bardziej niż regularnej bitwy, a przy tym to był już żołnierz, który się cofał. Nasze chłopaki zdążyły jednak nałuskać Niemiaszków „nie wąsko”. Odwrót wyglądał jak kontredans i powoli Niemcy odpadli. Spuchli po drodze, zawrócili do *Vaterlandu*¹⁸¹.

Mieliśmy jednego rannego i dwóch zabitych. Gdy opatruję „Mariana”¹⁸², który dostał solidnie w nogę, chłopcy opowiadają o śmierci por. „Zdzisława”¹⁸³ i nie mogę odnaleźć kpr. „Balachy”¹⁸⁴. Kule jeszcze gwizdzą, więc zatrzymujemy się na chwilę pod osłoną lasu. „Rogala” podśpiewuje pod nosem z jakąś dziką pasją: „Wojenko, wojenko, co za duma w tobie, że kto cię pokocha, że kto cię pokocha, w ciemnym spocznie grobie”¹⁸⁵. Kończę opatrunek i myślę, że „Zdzisław” wczoraj wieczór z taką pogodą i rezygnacją mówił, że ma przecucie śmierci i prosił o medalik. I myślę też, że na razie nawet tego ciemnego grobu nie możemy mu dać za jego smutną miłość do wojenki. Cichy, dobry chłopaczyna, trochę nieśmiały, a padł w momencie, gdy usiłował wyciągnąć rannego „Mariana”. I dostał kulę w serce, tak jak zawsze pragnął, jeśliby miał ginąć. Nie było możliwości zabrać zwłok ze sobą. Wrócimy przecież po niego, chociaż nie dziś. Odchodzimy na nowe miejsce postoju. Ściemnia się, zaczyna znów padać ciepły, rześisty deszcz na las, pałąki, na szosę i na to pole, gdzie leżą porzuceni polegli. Bo teraz już wiemy, że i „Balacha” zginął na pewno.

¹⁸¹ *Vaterland* (niem.) – ojczyzna. Pojęcie bardziej polityczne i mniej emocjonalne niż *Heimat* (to odnosi się do stron rodzinnych).

¹⁸² Witold Sobczak „Marian”.

¹⁸³ Ppor. Bolesław Dąbrowski „Zdzisław”.

¹⁸⁴ Plut. Zdzisław Ponikowski „Balacha”.

¹⁸⁵ Jeden z wariantów popularnej legionowej piosenki *Wojenko, wojenko* z okresu I wojny światowej.

[s. 83] Zatrzymaliśmy się w Leszczance¹⁸⁶ [23/24 lipca 1944 r.], lecz już na krótko. Front nadleciał nagle jak huragan, dostaliśmy się w zasięg artylerii sowieckiej, w tłok cofających się po lasach Niemców. Sytuacja wytworzyła się zgoła zabawna, wieś przechodziła mimo woli z rąk do rąk, chociaż bez generalnej bitwy, bo na przykład gotujemy obiad, a tu nadciągają Niemcy. Bardzo gęsto, nie sposób im stawiać oporu przy tym rozkładzie sił i dróg – my więc hyc do lasu. Tyle że się kotły zamaskowało w krzakach. Odskakujemy jednak nie dalej jak o kilometr. Czekamy. Teraz we wsi gospodarują Niemcy. Pitraszą sobie, rekwirują jajka i liżą rany. Zdarzyło się raz tak, że wielki śpioch „Kruk”¹⁸⁷ zasnął sobie smacznie, mimo szarpań kolegów, w końcu zapomniany z pośpiechu, chrapał dalej. Obudzili go po prostu Niemcy, tyle że w sąsiedniej izbie jeszcze. Gospodarzy w ogóle nie było. Dał więc strasznego susa przez okno, unosząc automat i zaspane życie w maliny. Tam przeczekał najgorsze i chwalebnie dołączył [do oddziału].

W lesie przyczajamy się i czekamy na zmianę sytuacji. Żeby się jednak nie nudziło i broń nie rdzewiała, zaczynamy zaczepki. Wyławia się pojedynczych Niemczyków, „sprzątnię” tu i ówdzie mniejszą grupkę, na wylotach pociągnie się raz i drugi [serią] po samochodach i hajda w las. Niemcy, mając Sowietów na karku, głupieją. Zdarzyło się „Czarnemu Jankowi”¹⁸⁸, że zetknąwszy się niespodziewanie z jakimś maruderem, postanowił zasięgnąć języka, czyli wziąć go żywcem. Zaczęli się tak brać nawzajem wśród licznych obustronnych „H ä n d e h o c h !”¹⁸⁹. Wreszcie zniecierpliwiony „Jasio” trzasnął przeciwnika na odlew, rozbroił i powlókł do obozu.

Minerka, jak zawsze, żądna przygód, zaczarowała w gęstym życie, tuż pod wsią pełną Niemców. Kręcili się po ulicy i w obejściach jak muchy w ukropie, nagle oderwał się od nich jakiś kawalerzysta i ruszył wolno drogą niedaleko tych żyt. Broń miał pierwszorzędną i dobrego konia. [s. 84] Wszystko nam się przyda. Zaatakować Niemiaszka było pozornie łatwo, lecz należało to uczynić cicho, szybko i niewidocznie. Żadnych strzałów, które by w tym czasie mogły

¹⁸⁶ Wieś zajął I pluton, drużyna radio i drużyna minerska, w Janówce stał II pluton, a w osadzie Nadleśnictwo Grabarka przebywał na kwaterze „Zenon” ze sztabem, plutonem kawalerii oraz plutonem karabinów maszynowych na taczankach.

¹⁸⁷ Zbigniew Lubowicki „Kruk”.

¹⁸⁸ Jan Lesiewicz „Czarny Janek”.

¹⁸⁹ *Hände hoch!* (niem.) – komenda: Ręce do góry!

zdemaskować naszą obecność w okolicy. Przy tym „raptus” musiał się odbyć właściwie na oczach Niemców, a zostawało jeszcze wycofanie... .

Kilkunastu chłopców przyczaiło się starannie, a „Gozdawa”¹⁹⁰ podpełzł chaszczami prawie pod konia i błyskawicznym skokiem ucałował Niemca za kark. W jednym niemal mgnieniu oka ściągnął go, rozbroił i swobodnym już spacerkiem powłókł wraz z koniem w krzaki. Niewidzialni towarzysze osłaniali przejście. Gromady żołnierzy niemieckich włóczyły się wszędzie, może i gapiły, a nie zobaczyli nic.

Znów zwiad konny, patrolując las, naciął się niespodziewanie na auta pancerne, które odpoczywały. Trzeba było wiele umiejętności i zimnej krwi, żeby szczęśliwie odskoczyć. A w ogóle zdarzało się i tak, żeśmy obozowali w lesie obok siebie i nawzajem udawali, że się nie widzimy. Oni woleli nie widzieć, myśmy, biedaki, musieli nieraz. Nie za wszystko bowiem starczy ochota: byliśmy garstką i chodziło o amunicję.

Górsze wciry zaczęły dostawać cuchnący już strachem okupanci, gdy patrol porwał z jakiejś większej jednostki kwatermistrza z mapą. Na niej niebieskim ołówkiem wytyczona była trasa... . Jeżeli można się przyznać, to po prostu czuliśmy wdzięczność to tego Niemca, za ową pyszną krechę. Oddział wyraźnie się uaktywnił. Jednak cofający się Niemcy zniecierpliwili się już także i postanowili zabezpieczyć sobie przemarsz. Okopali nawet działa i skierowali je na las¹⁹¹. Rozpoczął się dziki bałagan. Artyleria sowiecka sobie, Niemcy znów ponad nami na nią, a w międzyczasie w nas samych, bokami macając po lesie. Chwyta się ich obserwatora, znów trochę przycichło. Niemcy opuścili wieś, my więc z powrotem do porzuconych krupników. Tańczymy „chodzonego”, a przygrywkę mamy też niezłą.

[s. 85] Tak nas w końcu i zaskoczyła któraś tam noc [24/25 lipca 1944 r.]. Uff, można się będzie trochę wreszcie przespać na sianie. „Liniowiec” podśpiewuje: „Zasnął już pluszowy miś...”. Nawet działa jakoś drzemią. Siano pachnie, szeleści miękko, to pewnie jakieś stwory łążą po żdźbłach, aż dzwoni cichutko coś przy uszach. Konie chrupią spokojnie obrok, w kątach chroboczą myszy, a przez szpary płynie rześki, słodki powiew lipcowy. Oj, jak dobrze, jak dobrze... .

¹⁹⁰ Kpr. Wiesław Biedrzycki „Gozdawa”.

¹⁹¹ Stanowisko baterii (cztery działa 105 mm) koło Witoroża. Ostrzeliwała ona również rejon Burwina i Michałówki. Rozbite w wypadzie przez pluton AK pod dowództwem kpr. Roberta Domańskiego „Jaracha”. Do niewoli wzięto siedmiu żołnierzy niemieckich.

Gdzie tam, ledwie się człowiek ułożył, już alarm gdzieś od pierwszego plutonu. Pełniący dziś służbę por. „Narbutt” podrywa cały oddział na nogi. Czekamy, cisza. Mrok czarny, tak gęsty, jakby w tym napięciu wlewał się w usta i zalewał oczy. Dociera opłotkami wieść, że tam od Białej [Podlaskiej] wjechało [do Leszczanki od strony Witoroża] jakieś auto i chłopcy dali salwę. Przeciwnik jednak stanął i milczy, wobec tego i my trwamy spokojnie, czekając na wyjaśnienie. Bardzo niedługo, bo oto nie upłynęło kilkanaście minut, gdy nadlatują samoloty sowieckie. Momentalnie zielone światło zalewa okolicę. Wielkie lampiony niby choinkowe kule kołyszą się złowrogo nad nami. W tej upiornej poświacie widać, jak pierzcha po łąkach niemiecka tyraliera idąca ławą na wieś. Ponure auto daje również gazu i w tył, a na nas lecą bomby¹⁹². Mimo woli ten nalot oddał nam wielką przysługę, bo sam rozgonił idącą na nas obławę oraz wyjaśnił naszym wartownikom i tajemniczej maszynie wzajemne znaki zapytania. Samoloty poleciały dalej i waliły na Witoroż, zapewne szukając stanowisk artylerii niemieckiej. My zaś, gdy tylko zgasły „świeczki”, wycofaliśmy się w naszą część lasu. I znowuż cały dzień schodzi na podchodach, szarpaniach i pierzchaniach, ciągle pod monotonnym jękiem artylerii.

Dołączają do nas Węgrzy¹⁹³. Jeszcze parę dni temu pojechał Komendant z „Aleksandrem” do ich garnizonu w Łomazach i proponował im przejście na naszą stronę. Dowódca był niezdecydowany, kręcił ni tak, ni siak. Zirytowany Tata powiedział mu wreszcie, że stoimy niedaleko i będziemy w takim razie [s. 86] inaczej już rozmawiać. Zabawne, Madziary uderzyły na alarm, a „Zenon” i „Aleksander” przejechali sobie na rowerach między nimi jak na parady. Teraz część ich sama przygnała. Komendę objął nad nimi por. „Jerzy”¹⁹⁴. Przyciągnęli też liczni ochotnicy z terenu. Zaczyna być głodno, szłaśców stawiać nie można, a deszcz znowu leje. Konie marnieją, ludzie są zmęczeni bezsennością, ciągną akcją. Do artylerii już się przyzwyczaili, pociski rozrywają się wprawdzie, ale jakoś nikogo nie ranią. Stara gwardia w ogóle się z nich śmieje. Huraganowy ogień to jeszcze..., ale to coś? Gdy trochę przycichnie, Rudy zaraz wyłazi i gwizdże, naśladując szrapnele. Robi

¹⁹² W rezultacie sowieckiego nalotu 24/25 lipca 1944 r. na postój oddziału AK w Leszczance ranni zostali: drużynowy Jan Kadłubowski „Sławek” i szer. Wiesław Kwoka „Zimny”.

¹⁹³ 23 lipca 1944 r. wzięto do niewoli pluton węgierski (około 45 Węgrów), który wy dostał się z Białej Podlaskiej.

¹⁹⁴ Franciszek Sokołowski „Jerzy”.

się wesoło. Pożywiamy się jagodami, których tu taka obfitość i opowiadamy kawały. Całe posiedzenia odbywają się przy rannym „Marianie” i pokierowanym bombą „Sławku”¹⁹⁵. Z jednego są niemal domu i tak się obaj urządzili. Muszą czekać, bo na melinę szpitalną odesłać ich teraz nie sposób.

Niemcy ogarniają nas z wolna jakby falami¹⁹⁶, znajdujemy się dokładnie w środku zamykanego kotła, tyle że się kręcimy w gęstwinie lasu i musimy przetrwać. Jedno potężne uderzenie łapy tego powalonego olbrzyma potrafiłoby jeszcze z łatwością zmiażdżyć tę grupę trzystu kilkudziesięciu szaleńców, obdartych, głodnych i właściwie też osaczonych, z kolei na dodatek nadchodzące spieszenie wojska sowieckie¹⁹⁷ mogą nas zetrzeć również za jednym zamachem. Perspektywa zgoła zachwycająca, ale od czegoż humor, wierny towarzysz partyzanta? Tuż obok nas 27 Dywizja¹⁹⁸. Słuchamy o naszej dziewiątej¹⁹⁹, a więc i o nas samych. Rośniemy. Akcja „Burza” ogarnęła już

¹⁹⁵ Jan Kadłubowski „Sławek”.

¹⁹⁶ Były to zapewne jednostki wchodzące w skład niemieckiego VIII KA dowodzone przez gen. Gustawa Höhne: 12 DRez (węgierska), 211 DP i 5 DStrzel, które wcześniej broniły linii Kamień Koszyrski–Włodawa. W lipcu 1944 r. korpus podporządkowany został przejściowo 4 APanc Grupy Armii „Północna Ukraina” i w sierpniu powrócił ponownie do Grupy Armii „Środek”, pod komendę wprowadzonego na jej prawym skrzydle dowództwa 9 A. Zob. T. Sawicki, *Niemieckie wojska lądowe. Czerwiec 1944–maj 1945 (struktura)*, Warszawa 1987, s. 167.

¹⁹⁷ 18 lipca 1944 r. rozpoczęło się natarcie lewego skrzydła 1 Frontu Białoruskiego w kierunku na Siedlce i Lublin. Niemieckie siły w rejonie Kowla zostały rozbite w trzydniowej bitwie i odrzucone za Bug. 20 lipca Sowietci uchwycili przyczółki położone koło Zabuzza i Opalina. Korpusy szybkie: 2 Korpus Kawalerii Gwardii i 11 Korpus Kawalerii zorganizowane zostały w doraźną grupę konno-zmechanizowaną Frontu pod dowództwem gen. Władimira Kriukowa. Uderzyły one w ogólnym kierunku na Siedlce wspólnie z postępującymi za nimi jednostkami 47 Armii gen. Nikołaja Gusiewa, współdziałając z nacierającymi na Brześć siłami 70 Armii gen. Wasyla Popowa. Grupa szybka gen. Kriukowa, wyprzedzając nacierającą za nią 47 Armię, odrzuciła oddziały niemieckiego VIII KA pod Międzyrzec Podlaski i Białą Podlaskę i 24 lipca czołówkami dotarła pod Siedlce. Zob. T. Sawicki, *Działania wojenne na Podlasiu latem 1944 roku*, „Szkice Podlaskie” 1994, nr 4, s. 40–41.

¹⁹⁸ 27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK po ciężkich stratach poniesionych na Wołyniu i Polesiu przeszła Bug i odbudowała stany osobowe podczas dłuższego czasu w Lasach Parczewskich. Przebiła się przez kordon podczas ostatniej oblawy niemieckiej pod Gródkiem–Brzeźnicą Bychawską 18/19 lipca 1944 r. Odeszła w kierunku Lubartowa. Zmuszona 25 lipca 1944 r. do złożenia broni przed Sowietami w rejonie Skrobowa.

¹⁹⁹ 9 Podlaska Dywizja Piechoty AK pod dowództwem gen bryg. Ludwika Bittnera „Halki” miała składać się z dwóch odtworzonych pułków piechoty: 34 i 35. Sztab jej powstał dopiero 4 sierpnia 1944 r. i miał prowizoryczną kwaterę w mieszkaniu przy

część kraju, więc radują się nam serca, że walczymy. Wszyscy już! Wszyscy! Chłopcy niszczą uroczyście kenkarty, choć chyba to na razie za wcześnie....

[s. 87] Zdobyczna krowa budzi sensację. Na razie doimy ją z zapalem, żeby choć nasi „Afrykańcy” mieli trochę mleka. Biedni Amerykanie bardzo już przymizernieli, ale się też trzymają jak mogą.

Powoli przycicha, okolica jakby opustoszała od nieprzyjaciela. Robi się przestronniej, może się teraz uda podejść na Białą [Podlaską]. Na Białą! My idziemy w milczeniu, lecz w sercach taka radość, że aż hej! W sąsiednich lasach już się zbiera młodzież, już się szykują, ale my – zaczątek szturmowego batalionu 34 Pułku – musimy chociaż trochę pomóc swemu miastu. Idziemy Niemcom pod prąd. Dzień śliczny [25 lipca 1944 r.]. Po długich deszczach las stoi skąpany w słońcu i rosie, ptaki się drą, płyną białe, łagodne obłoki, raduje oczy pyszna seledynowa zieleń jagodowych zagonów, grzęźnie się w rozmokłych ścieżkach, cudowny, mokry zapach lasu koi zmęczone nerwy. Poniewierka ostatnich dni wyziera teraz wyraźnie z twarzy bladych i pomizerniałych, chociaż partyzant przyzwyczajony jest do niewygody. Ale zapadnięte oczy błyszczą taką ochotą i siłą! Bo teraz to już naprawdę sięgamy jakby po samą wolność. Wszystkie gorące patriotycznym patosem słowa ze szkolnych wierszy, z żołnierskich piosenek, z lekcji historii i gawęd serdecznych nagle zamilkły, bo stały się jakby ciałem. I cienie pobitych i widma udręczonych i łzy dalekich matek – to wszystko jest właśnie to. Proste i nieme, a tłukące się młotem po sercach. Może i dlatego taki skupiony blask bije z pomizerniałych, chłopięcych twarzy, bo partyzant nie wywnętrza się z zasady, nie wygłupia, za to mocno czuje.

Niektórzy chłopcy porobili sobie pióropusze z paproci na czapkach i wyglądają trochę jak leśni ludzie z dobrej, starej baśni. [s. 88] Posuwamy

ulicy Piłsudskiego w Białej Podlaskiej. Za to formowanie samej dywizji rozpoczął „Rozkaz dzienny nr 1” z 31 lipca 1944 r. ppłk. Stefana Drewnowskiego „Romana” (dotychczasowego inspektora Inspektoratu AK Radzyń Podlaski, a od 28 lipca dowódcy 34 pp AK) wydany w kwaterze pułku w Leszczance. Odtwarzany pod Białą Podlaską 34 pp AK składał się z trzech batalionów i sztabu pułku. Dowództwo pułku i I/34 dowodzony przez kpt. Seweryna Świeprawskiego „Janusza” stacjonowały w Leszczance, II/34 dowodzony przez kpt. Władysława Nikszto „Marka” – w Grabarce, III/34 dowodzony przez kpt. Józefa Strzęciwilka „Dunina” – w Witorożu. Na początku sierpnia 1944 r. pułk osiągnął stan osobowy 1479 ludzi: 58 oficerów, 5 chorążych, 17 podchorążych, 222 podoficerów i 1177 szeregowych. Zob. J. Sroka, *9 Podlaska Dywizja Piechoty Armii Krajowej*, Biała Podlaska 1995, s. 157–158.

się teraz brzegiem starego lasu, mając po lewej ręce gęste zagajniki i poręby. Toną one w słońcu i weselnej zieleni. Ziemia paruje jakąś słodką, ciepłą ciszą i wojna wydaje się złudzeniem. Na samotnych sosenkach kołyszą się sroki, błyskając bielą wśród czerni piór jakby strzałkami światła, uporczywie postukują dzięcioły, spod krzaka przysnął zajęć. Ot, miła przechadzka po lesie. I klacz się cieszy, idzie rażno, tylko leciuteńko skrzypi siodło i czasem zabrząknie munsztuk²⁰⁰. Bardzo jest przyjemnie.

Nagle, na skrzyżowaniu duktu z drogą, mignął człowiek. Nie więcej jak 500 m od nas. Wuj „Rogała” patrzy uważnie, chciałby zgłębić te zagajniki, tę poprzeczną linię wpływającą pod górę w las, lecz nic się na razie nie dzieje. Zostaje dukt za nami.

O takie spotkanie nie było trudno. Cały teren, a zwłaszcza lasy, pokryty był ruchomą szachownicą wojsk i w ciągłym kluczeniu osaczonych wrogów. Krzyżowały się nam łatwo i niespodzianie przemarsze. Patrolowanie nie oddawało już teraz prawie usług, gdyż sytuacja zmieniała się ciągle i chociaż w zasadzie front niemiecki cofał się, to jednak wykonywał jeszcze jakieś wewnętrzne obroty, zapewne żeby wymanewrować z zacieśniających się kotłów. Podszyte gęsto lasy utrudniały orientację, stąd zaskoczyliśmy się wzajemnie i nasz marsz Niemcom pod prąd wypadł silnym ukosem na dywizję przedzierającą się przez las.

Szperacze w zielonych pióropuszech, przyodziani trochę cudacznie, bo w zdobyczne kurtki, zdumieli Niemców, gdyż niespodzianie wykwitli jak leśne duchy na ścieżce. Oddział przesłaniały jeszcze chaszcze, więc „Lanca” zaryzykował nawet krótką rozmówkę, co się o tyle udało, że ich wzięto za własnych łazików maruderów. To wystarczyło, żeby salwa w naiwniaków była jednocześnie hasłem ataku. Chłopaki błyskawicznie [s. 89] przysnęli w krzaki, a z obu stron zgruchotały automaty. Rozpoczęła się walka jednocześnie wzdłuż całej drogi²⁰¹. Komendant prowadził natarcie od strony lasu, koło smolarni²⁰², cofnięte w gęszczu tabory osłaniało ubezpieczenie tylne, kawaleria – poza łącznikami – spieszyła się i zostawiwszy konie koniowodnym, skoczyła także na linię. Ostra walka przemieniła się wkrótce w regularną

²⁰⁰ Część uzdy, stalowy pałak wkładany koniowi do pyska.

²⁰¹ Droga z Leszczanki do Janówki (w kierunku na Białą Podlaskę).

²⁰² Ta część lasów koło Leszczanki nosiła zwyczajowo nazwę Smolnych Pieców. Nazwę tę zawdzięczała kominom smolarni, w których miejscowa ludność wypalała smołę drzewną od czasów zaboru rosyjskiego do lat międzywojnia.

bitwę. Niemcy poczęli prażyć z lekkich działek, raz po raz huczały granatniki. Ale i nasze erkaemy prały jak złoto, już tu i ówdzie grzmotnął granat i niosły się karabinowe salwy. Najwytrwalej, czyściutko pracowały erkaemy i automaty. Nieprzyjaciel był tuż tuż, ukryty w chaszczach, chwilami już migający na porębach. Tata zagrzewał chłopców i podpierał wszędzie słabnącą akcję. Koło smolarni rozpętało się istne piekło. Czasem ogień przycichał z obu stron, jakby się wzajemnie szukano ciszą lub jakby szykowano fortele, lecz zaraz wybuchał ze zdwojoną siłą i łomotem. Kule gwizdały krzykliwie i biły po drodze i drzewach.

W pewnej chwili największe nasilenie ognia skierowało się na tabory. Wtedy zaczęliśmy je wycofywać, ostrzeliwując się na boki, gdyż serie strzałów szły już i z drugiej strony. W ogóle szary żołnierz, który słuchał tylko rozkazów i prał, odnosił wrażenie, że Niemcy, mimo ogromnej przewagi, chcą się na gwałt przedrzeć przez nasz zator i usiłując rozproszyć nas, rozpraszają się bezładnie sami i sami się niszczą w zamęcie. Więc posuwaliśmy się z nimi razem wśród nieustającej walki. Chwilami wydawało się, że już z nami krucho, chwilami, że my bierzemy pole. I tak ta zabawa w straszną ciuciubabkę trwała godzinami. [s. 90] Ściągamy powoli na duży las, strzały cichną. Przy taborach mamy jeńców i dwóch rannych. Bierzemy się do opatrunków. Brak nam „Atlety”, ale pomaga „Grażyna”²⁰³, żona „Lwowiaka”. Ciężki postrzał w ramię ma „Granat”, brat Taty. Najgorzej jest z „Chojarem”²⁰⁴, dostał w brzuch. Poza prowizorycznym opatrunkiem i zastrzykiem nic więcej nie można mu pomóc na razie, aby tylko nie wyżebrał u kogo wody, która go może dobić. Ranny błaga o tę wodę i o operację. Chce żyć. Do Białej! Tylko do Białej! Idziemy przecież do niej przez tę walkę, idziemy dla wielu świętych racji, ale czy też i nie dlatego, by nie umarł ten mały żołnierz, którego może tam uratują w mieście? Tak przecież cenna jest krew polskiego żołnierza... .

Na razie przedostać się nie można. Zrywa się znów ostra strzelanina, po lesie bije artyleria. Dzień chyba nie ma końca, ale chłopcy trwają, opasali linią tabory i stoją na przedzie. Komendant ciągle jeszcze wojuje. Jednak

²⁰³ Henryka Lipko-Hardygóra *vel* Galińska „Grażyna” (dołączyła do oddziału w połowie lipca 1944 r.).

²⁰⁴ Szer. Tadeusz Chojec „Chojar”.

niemiecki napór stracił już impet²⁰⁵. Coraz mniej mają czasu, przesuwają się koło nas, ocierając tylko bokami.

„Chojar” przyzywa, stoję przy nim bezradnie. Uspokaja się na chwilę, gdy się go gładzi po głowie. Mówię, że będzie żył, że do szpitala na pewno zdąży, ale sama już w to nie wierzę.

Węgrzy przy taborach padają plackiem, gdy ostrzał się wzmacnia, i krzyczą na mnie, ale nie można temu leżącemu wysoko na wozie chłopcu pokazać, że się tak ceni własne, jeszcze zdrowe życie. Nie wolno. Ruszać teraz go nie ma sensu, będzie, co Bóg da, a nasze chłopaki i tak stoją na linii.

Wreszcie Sowietci nadchodzą²⁰⁶. Komendant nawiązuje z nimi łączność, żebyśmy teraz przez pomyłkę co nie oberwali, i w piętnaście minut może wkracza między nas pierwsza rozwiątka. W ogniu wszyscy są jak bracia, toteż witamy się nawzajem serdecznie. My czujemy do nich wdzięczność za „zluzowanie”, oni są zachwyceni naszym uderzeniem, które wklinowało się tak w dywizję niemiecką²⁰⁷, że ją rozbiło na części.

²⁰⁵ Straty niemieckie szacuje się w przybliżeniu na 45 zabitych i 12 wziętych do niewoli. Zniszczono sporo sprzętu wojskowego (wozy taborowe, samochody etc.).

²⁰⁶ *Rozwiątka* 328 samodzielnej kompanii rozpoznawczej pod dowództwem st. lejtnanta M.T. Timofiejewa. Na prośbę Sowietów por. „Zenon” wydzielił grupę żołnierzy pod dowództwem kpr. Roberta Domańskiego „Jaracha” w charakterze przewodników. Po noclegu w zdobytej Danówce grupa posuwała się rankiem 26 lipca wzdłuż torów kolejowych Warszawa–Brześć w kierunku Międzyrzecza Podlaskiego. Wzięła ona udział w walkach o miasto. Następnie grupa AK odłączyła się od *rozwiątki* za szosą w kierunku na Siedlce i dążyła do skontaktowania się z dowódcą sowieckim dywizji, celem zameldowania gotowości OP I/34 do wzięcia udziału w dalszych walkach z Niemcami. Po incydencie w Międzyrzeczu z próbą rozbrojenia i rozstrzelania Polaków przez pijanego oficera Armii Czerwonej dotarli oni do sztabu 328 Dywizji w lesie (około 4 km na wschód od miasta). Pułkownik meldunek „Zenona” przyjął, lecz odesłał do sztabu korpusu. „Jarach” po zameldowaniu w dowództwie korpusu we wsi Strzyżówka i po wstrząsliwej reakcji Sowietów, unikając styczności z Armią Czerwoną, dotarł 27 lipca 1944 r. do kwaterujących żołnierzy OP 34 w Leszczance. W meldunku sowieckim odnotowano ten fakt następująco: „27.7.44 do dowódcy 123 korpusu zgłosił się zastępca dowódcy polskiego pułku partyzantów działającego do czasu przyścia Armii Czerwonej w rejonie SITNO, UTRÓWKA, SZACHY, JANÓWKA”. Zob. *Meldunek Rady Wojennej 47 armii do Rady Wojennej 1 Frontu Białoruskiego. Stosunek oddziałów Armii Krajowej do Armii Czerwonej (dokument nr 54)*, [w:] F. Gryciuk, P. Matusak, *Represje NKWD wobec żołnierzy podziemnego Państwa Polskiego w latach 1944–45*, t. 1: *Wybór źródeł*, Siedlce 1995, s. 105.

²⁰⁷ Niemiecka 211 DP zorganizowała tymczasową obronę na linii Łomazy–Mokre–Kolembrody.

[s. 91] Teraz już będzie inaczej. Jakoż po chwili odezwał się znów duży front. Szedł falami systematycznego ognia, wsparty huraganem artylerii. Niemców spychano gdzieś w stronę Danówki. Myśmy dołączyli się więc do tej ściany, która ich parła na łąki, na otwarte przestrzenie, na samą zagładę. Popukaliśmy tak jeszcze z godzinę i zostali w lesie. Rozwiedka poszła dalej, zabierając ze sobą „Jarach”, „Gozdawę” i „Jesiona”²⁰⁸ na przewodników w międzyrzeckie lasy. Chłopaki poszli ochotnie, ale nas zdjął o nich niepokój... .

Idziemy w stronę smolarni i liczymy naszych zabitych. Zginął bohaterską śmiercią plut. „Żuraw”, mistrz od erkaemu, dobry, serdeczny kolega, podlański gospodarz, któremu całą rodzinę wymordowali Niemcy. Padli czterej²⁰⁹ chłopcy: „Groźny”²¹⁰, „Janusz”²¹¹, „Boguś”²¹² i „Oksza”²¹³. Groźny osaczony przez Niemców w zagajniku i ranny, został najwyraźniej dobity. Smutno nam, ale na wojnie to tak: dziś – mnie, jutro tobie, wiadomo, żołnierska to rzecz. Wielkie, niebieskie oczy „Okszy” wpatrzone są w niebo i błyszczą jak gwiazdy blaskiem rozszerzonych źrenic. Taki w nich zachwyt zastygł, że nie zamykamy tych powiek olśnionych, niech sobie patrzy w wieczność, w Boga, a może i w samą Polskę objawioną gasnącym źrenicom... .

Bije z głuchym stękiem ciężka artyleria niemiecka ustawiona w Jażwinach. Zrywa się ciągly, porywisty wiatr, zorze dopalają się w drzewach i dymią smugami obłoczków, niby wielkie Boże ognisko dogasające nad wojennym światem. Las szumi, pogwarza, wzdycha. Niemców już nie ma, jesteśmy wolni, wolni... . Jakieś upojenie bezmierne ogarnia głowę i serce, jakiś ciężar odwalił się z duszy niby Chrystusowy kamień od grobu w Świętą Niedzielę. Tylko ta mała tabliczka z obcym napisem pospiesznie zatknięta na kij przy rozstaju coś krzyczy, coś wskazuje, coś mąci... .

²⁰⁸ Leonard Bielecki „Jesion”.

²⁰⁹ Prawdopodobnie zginęło w sumie sześciu Polaków, choć sporna jest tożsamość ostatniego poległego żołnierza AK [st. sierż. Janusz Kotasiewicz „Sewan”?].

²¹⁰ St. sierż. Mieczysław Wójtowicz „Groźny”.

²¹¹ Strz. Janusz Olszewski „Janusz”.

²¹² Strz. Bogusław Jastrzębski „Boguś”.

²¹³ Strz. Krzysztof Orzechowski „Oksza”.

Apel poległych

[s. 92] *O Rozkazie i o poległych na polu chwały*

Powrócimy, powrócimy wraz z wiosną,
Pierwiosnkami, złócieniami zakwitniem,
Z serc ucichłych polne maki wytrysną
I chabrami w ruń się młodą wblękitniem.

Oczy zgasłe pod palcami wieczności
Zmartwychwstaną w paprociowej zieleni.
W noc czerwcową pośród leśnej ciemności
Żrenic kwiatów jak gwiazdami błyszniemy.

Naszych dłoni, naszych ramion bezsilność
Jasną brzozą nad grobami powieje...
Usta, które zamknęła nam miłość,
Wam – podszeptną najcudniejszą nadzieję

Powrócimy, powrócimy ci sami,
W trumnach – łodziach przybierzemy na apel
I wpłyniemy do Ojczyzny przed wami,
Pod sztandarem co zamieni się w żagiel.

Każdego dnia, na wsi czy w lesie, zbieraliśmy się na Rozkaz. Czym on był? Zwykłą żołnierską sprawą, codzienną zbiórką Oddziału, przepisem dyscypliny wojskowej. A jednak, gdyby przerzucić teraz kartkę za kartką tego skromnego zeszytu rozkazów, to z jego, pozornie suchej, zwięzłej treści można by wysnuć dziwną opowieść. Tak prostą, jak prości byli ci chłopcy, dla których to pisano, i tak piękną, jak piękny był ich duch żołnierski. Mówią to liczby, mówią pseudonimy, przesunięcia, zmiany, postanowienia. Surowość nagany i powściągliwość męskiej pochwały za dzielność. Długie szeregi kalendarzowych dni to monotonia tułających wędrówek. Wśród nich, raz po raz, jawi się jakaś data, która woła, przemawia, płonie! Wyśledzić tu można tak łatwo wielki wkład pracy przeszkoleniowej. Z króciutkich omówień wydarzeń, z przytaczanych rozkazów władz wyższych, wreszcie z uwag tu już niezapisanych,

lecz wysnutych jakby komentarz, [s. 93] ulepi się dobre, szlachetne tworzywo. Jak dalekie jest od niego pojęcie „wychowania oświatowo-politycznego”! Jak mu zgoła obcy jest ten sztuczny, cudzy twór banału i narzucania myśli. Twór o podejrzaney, szpiclowskiej podniecie. Naszych chłopców chowało się po ojcowsku i po polsku. Indywidualnie. To wszystko.

Jednej zaś rzeczy nie uczyło się wcale – śmierci żołnierskiej. Można nauczyć myśleć, można rozjaśnić głowy, pogłębić inteligencję serca, niepodobna jest nauczyć kochać. Można przy dobrej woli i wytrwałości tzw. pracy nad sobą pokonać tchórzowate narowy. Lęk to rzecz nieraz bardzo skomplikowana i niezależna, wiedzą o tym zarówno psychologowie, jak i doświadczeni znawcy dusz ludzkich. Lecz stosunek do zawsze spodziewanej, a „niespodziewanej śmierci” na polu walki czy w czasie akcji w mieście musiał być prosty i raz na zawsze przesądzony w sumieniu i w gotowości serca. Bez patosu, bez gestu, całkiem zwyczajnie wytrącała się, jakby sama przez się, ta zdrowa postawa żołnierska wobec zagadnienia ofiary z życia. Więcej nawet, podchodzono to tego z trochę wisielczym humorem, zgoła po łobuzersku. W sobie samych śmierć towarzyszy budziła zawsze, obok żalu, uczucie ogromnego szacunku. I wzmacniała.

Pamięć poległych kolegów uczciliśmy po Rozkazie ciszą. Zapadła ona w szeregach nieruchomo i uroczyście, pod spokojnym biciem serc, z twardym spojrzeniem w głąb duszy. Gdy było to we wsi, wałęsający się przy płotach malcy zdejmowali czapki jak w kościele, całkiem odruchowo. Gdy zdarzyło się w lesie, szumiały do wtóru myślom drzewa.

O nich chcę teraz mówić, o naszych poległych, o żołnierzach, którzy się już nie stawili posłusznie na rozkaz. I nie stawiają się nigdy. Chyba [że] kiedyś, gdy zbierzemy się wszyscy z naszych domowych dróg na niebieski Apel Oddziału. [s. 93] Byli oni wszyscy tacy sami jak my, kość z kości naszych i krew z naszej krwi, mieli te same wady i cnoty, popełniali te same błędy i zaprawiali się w hart służby. Tak samo się cieszyli, dokazywali, śmiali, bili i walczyli. Tylko że myśmy wyszli [cało], a oni zginęli. Nikt nie miał na czole wypisanej śmierci i żaden nie myślał o niej więcej niż drugi, czyli prawie że nic. A jeśli, to w najgłębszej skrytości zamkniętego serca. Byliśmy przecież żołnierzami.

A jednak, gdy ta śmierć dosięgła ich, a oszczędziła nas – polegli towarzysze stawiali się odtąd postaciami naszej osobistej legendy. Z chwilą ich zgonu zaciągaliśmy względem nich dług krwi i dług żołnierskiej pomsty. I zostawało

po nich samo dobro – we wspomnieniu, w przykładzie, w piosence. Jeśli ktoś z nas miał im coś odpuścić, to zgoła zapominał swych racji. A jeśli miał pochwalić, to czynił to najpiękniejszym rozrzutnym gestem, a w prawdzie. I tak się w śmierci najprościej rodzili nasi bohaterowie. Płacili za tę chwałę cenę najdroższą, choć czasem mimowolną. Lecz dobrowolna ofiara była złożona już dawniej, w uroczystym momencie przysięgi i w każdej chwili czystej intencji żołnierskiej. I nie za miłość sławy ginęli ci chłopcy. Tak jakby przeszły te czasy, gdy się w sławie wojennej kochano. Istniała ona, lecz w innej formie, raczej jak zbiorowa własność albo doraźne, wesołe doznanie „indywidualistów roboty”. Myśmy byli zgoła „bractwem średniowiecznych cieśłów”, które na zrębie wznoszonej budowli nie ryło imienia majstra. Tak i wielka konspiracja budowała swe podziemia i kościoły pod świętym i pięknym wezwaniem, nie ujawniając twórców. Przyszłym pokoleniom pozostanie ocena błędów i dorobku, a chociaż nie franciszkańska pokora, lecz rozsądna, ostrożna konieczność stworzyła tę pracę Anonimów. Kto wie czy bezosobowy wynik nie jest piękniejszy? Szczególniej w tym kraju „statystów”, „łbów gawronich”.

Więc jeśli świat po ostatniej wojnie uczcił bezimienne ofiary symbolem nieznanego żołnierza i tylko jemu jednemu wznosił mauzoleum²¹⁴, to w pracy podziemnej żyło, pracowało i rosło, by ginąć, mnóstwo nieznanych żołnierzy. I mieli już oni za życia pełną świadomość swej ofiary. W miastach, w lesie, w kazamatach i w obozach oddawali życie tylko przez miłość i za miłość wolności.

[s. 94] Przeszli ci nasi chłopcy na tamtą stronę życia. Jak ongiś tu, na ziemi dołączali do Oddziału, tak teraz dołączyli w te wielkie bohaterskie szeregi Bożego werbunku męczeńskich bojowników. Należą już nie do nas – do Boga, do Ojczyzny, do historii walk i zmagających się krwawych, polskich lat. A jednak są i dalej między nami. Żywą prawdą i ślicznym marzeniem. Pamiętamy o was wszystkich. O tych pierwszych siedmiu towarzyszach Taty z dywersji, którzy padli w złowrogim dla najeźdźcy lesie. Może ich śmierć wykupiła wtedy od losu życie ciężko rannego w płuca Komendanta? Kto wie? Inna tam miara i zapłata.

²¹⁴ Grób Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu stanowił hołd dla bezimiennych żołnierzy poległych w okopach wojny światowej w latach 1914–1918.

Pamiętamy „Rudego nr 1”²¹⁵, który zginął pod Ossówką na wiosnę [1944 r.], i młodziutkiego „Visa”²¹⁶, co oddał życie w czasie oblężenia turowskiego dworu. I ciebie, dobry przyjacielu „Wieniawo”, któryś ranny, sponiewierany i bity po bohaterskiej walce trwał jak nieustraszony żołnierz w zgniłych lochach Gestapo. I powtarzał ze szlachetną dumą swym oprawcom: „Tak, ja jestem polski partyzant”, i nikogo nie wsypał, niczego nie wydał. Rozstrzelano cię po długiej męce, tym boleśniej że w ostatniej egzekucji przed ucieczką złoczyńców.

Pamiętamy ciebie, zacny gospodarzu z Huszlewa, coś poległ jak bohater, osłaniając wóz z ciężko rannym „Słuchawką”. We dwóch tylko z „Heńkiem”²¹⁷ walczyliście zażarcie z kilkunastoma Niemcami na samochodach, byle dać możliwość ucieczki tamtym. „Heniek”, ciężko ranny, zdołał się cudem przebrzeć do swoich. Ty zaś postrzelony i bezsilny wołałeś się sam dobić niż oddać żywym w nienawistne ręce. Walką i śmiercią uratowałeś życie dwóch bezbronnych kobiet, chociaż biedny „Słuchawka” zmarł po drodze. A nazywałeś się tak śmiesznie i groźnie: „Bomba”. I miałeś czworo malutkich dzieci.

[s. 95] Nie zapomnimy nigdy o „Blondynie”²¹⁸ i „Musze”²¹⁹ – wesołych zuchach, którzy zginęli jako tragiczne ofiary niemieckiego bestialstwa i podłości szpicliów. Padli przeszytych zdradziecką serią kul z nocnej zasadzki, skrzwawieni, pobici znaleźli śmierć razem jak bracia.

Żałujemy serdecznie pięknego jak malowanie „Cygana”²²⁰ i cichutkiego „Wira”²²¹, co tak gorąco się wprosił w żołnierkę. Zmarli na skutek nieostrożnych

²¹⁵ Szer. Robert Strzegomski (Strzegowski?) „Rudy I”. Uciekinier żydowski z obozu zagłady w Treblince II (pow. Sokołów Podlaski). Pochodził z Warszawy. Dzięki pomocy współwięźniów został przemycony z sortowni ubrań poza teren obozu. Pomocy udzielili mu polscy kolejarze. Zapisał się na roboty w Organizacji Todta do Brześcia. Ze stacji kolejowej w Białej Podlaskiej przez kpr. R. Domańskiego „Jaracha” zabrany do oddziału partyzanckiego AK. Zginął 6 kwietnia 1944 r. w walce z żandarmerią niemiecką w gospodarstwie Mirończuka w Ossówce, które Niemcy potem spalili.

²¹⁶ Kpr. Stanisław Kaczor „Vis” (poległ 4 maja 1944 r.).

²¹⁷ Kpr. Józef Hać „Henryk”.

²¹⁸ Stanisław Pasek „Blondyn” (poległ pod Władysławowem 18/19 maja 1944 r.).

²¹⁹ Kpr. Jan Marusak „Mucha” (poległ pod Władysławowem 18/19 maja 1944 r.).

²²⁰ Szer. Ferdynad Pietruczuk „Cygany” (zmarł w wyniku wypadku z bronią na kwaterze w Pietrusach 6 czerwca 1944 r.).

²²¹ Szer. Bernard Dziubalski „Wir” (zmarł w wyniku wypadku z bronią na kwaterze w Lipniakach 4 lipca 1944 r.).

postrzałów, lecz może ich zgon stał się bolesną przestrogą dla innych i nie poszedł na marne.

W Jeziorach poległ mały „Kropidełko”²²² spod Konstantynowa, pochowany cichaczem w cudnym ogrodzie, nocą. Tej samej prawie godziny skonał na polu choteckim „Rymsza”²²³, uczynny, dzielny chłopaczek, który – mając amputowaną prawą rękę do łokcia – tak ślicznie strzelał i był żołnierzem jak każdy inny. Cześć wszystkim wam!

I cześć wam, żołnierze, polegli w czasie akcji „Burza”. Dziewięciu was było, prawie drużyna: „Hermes”, „Atleta”, „Zdzisław”, „Balacha”, „Boguś”, „Żuraw”, „Groźny”, „Janusz”, „Oksza”. Stanęliście wszyscy już do otwartej walki, niby wolni rycerze idący w bitwę z otwartą przyłbicą i padli na progu wolności, która jawiła się inaczej waszym oczom niż [ta, która] przyszła. Z tą szczęśliwą wizją odeszliście w zaświaty.

Zaraz po zakończeniu walk zwieźliśmy większość zabitych do wspólnej mogiły pod pamiętną smolarnią. Wyciosaliśmy im krzyż brzozowy i dali prostą tabliczkę. Dzisiaj leżą nasze żołnierzyki po cichych, wiejskich cmentarzach, a wśród siedleckich grobów jest taka mała kwatery, zawsze w kwiatkach i zieleni, otoczona bolesną miłością rodzin i społeczeństwa. Tu sobie śpią snem wiecznym czterej chłopcy od „Zenona”.

[s. 96] Był jeszcze chłopiec dziesiąty. To ten mały „Chojar” ciężko ranny pod Janówką. Wobec groźnego stanu rany i niemożności przedarcia się do Białej [Podlaskiej], oddaliśmy go do polowego szpitala sowieckiego na jego własną prośbę i z obowiązku lekarza. „Grażyna” dopilnowała operacji, powierzyła rannego opiece siostr, zapisała numer lazaretu. Gdy czołówka sowiecka ruszyła dalej, zostawiając ciężiej chorych, nie mogliśmy „Chojara” odnaleźć, mimo najgorliwszych starań ojca i sanitariatu, ślad zaginął. Nawet grobu, gdyż przypuszczamy, że pewnie nie mógł przetrzymać. Naprawdę nie wiemy jednak nic i to jest nasz jedyny zaginiony. Ten dziesiąty. Mały szewczyk, co tak starannie reperował nam buty i uprząż, a zawsze marzył o spaniu, taki był wątły. Dziecko warszawskiej partyzanckiej ulicy.

Odeszli nasi polegli drogą szeroką. Drogą otwartą do polskiego nieba tym, co służył Ojczyźnie.

²²² Szer. Roman Ostapki „Kropidełko” (poległ pod Jeziorami 30 czerwca 1944 r.).

²²³ Szer. Władysław Zaborowski „Rymsza” (poległ w Chotyczach 30 czerwca 1944 r.).

Wszystkim najbliższym naszych poległych kolegów chcemy być serdeczną rodziną, a matkom, których nic nie pocieszy – synami.

Warszawa 44

[s. 97] Stary Rynek, Żoliborz, Śródmieście
Kościoły w łunach płoną z nami
I Chrystus od Świętego Krzyża
I pieśń prowadzi nieśmiertelna
Boso na bruki ulic wbiegła
I lud zwołuje pod sztandary
W pożary, w bitwę, w wolność niesie
Powstań Warszawo! Skrusz kajdany!

Wody dla rannych, chleba dzieciom
Bo pod zgliszczami, po piwnicach
Pełza w stu skrętach czarny głód
W stu kłębach dym straszliwy dławi
Obrońcy legli. Po ulicach
Czołga się rozpacz oszalała
Front nadpływa, odpływa – nocne proste grzmoty
Gdzieś daleki daleko warczą samoloty.

Słyszysz? Idą, nadchodzą, więc to już?
Niech jeszcze dobry Bóg pozwoli
Teraz granat w osłabłą pięść!
Zasłoń dziecko. Na chwilę. I nic się nie trwóż
O maleńkie, o jedyne, przecież to tylko śmierć.
Ale giniemy wolni.

O Jezus! Dobry Jezus...

.....

Lecz Chrystus odszedł

Zginął w ogniu.

Warszawa padła, padła, padła!

O przechodniu,
Jeśli tu kiedyś zawędrujesz
To powiedz Sparcie – powiedz... Polsce
Że nic, co ludzkie, co szatańskie
I co jest Boże – nam nie obce!

Epilog

[s. 98] Dobiegła końca mała opowieść. Choć tyle wspomnień snuje się jeszcze po duszy i sercu, a tyle ich jeszcze dopowiedzieć chciałby każdy z nas z nowej wędrówki rozproszonych.

Przepływają pola zieleniące spod śniegu, szumiące zbożami białe krainy, moczary podlaskie w wieczornych pogwarach i zasnułe mgłą dreszczów lasy. Dalekie pożary, huk wojny i uśpione wśród sadów wsie. Samotne, niedorośłe mogiły. Gwizd kul i łomot cekaemów. Żar walki... .

Ranni, krwawiące boleśnie dzieci o ustach zwartych po męsku, milczących. I wasze twarze, wasze postacie, Chłopcy, w mroku, w blasku ogniska, w bładym dniu trudu i w słońcu.

Zdarzenia, losy, koleje... . Wszystko już prawie jak bajka, smutna trochę, jak życie, promienna jak nadzieja, a piękna jak legenda. A przez tę bajkę, przez obrazy, fragmenty wiedzy zawsze strzelista, prosta droga, niby rzeka, co idąc z gór, spływa zawsze w jasne doliny. Niby piosenka niosąca srebro melodii i jeszcze bardziej srebrzyste echa. Droga czysta.

Pamiętacie, jak nieraz dźwigały się nam ścieżki pod czarny wśród zorzy wieczornej krzyż. Tumany kurzu po przejeździe kawalerii osnuwały go gęstym, złotawym welonem. Jawił się ten krzyż jakby duch krzyża... . Jeśli się nam kiedy ukazywały duchy, to chyba tylko takie... . Rozstawione po naszych drogach. Może dlatego się tak stało?

Czy nie uderza was, że obie części naszej opowieści są sobie tak bardzo nierówne? Ledwie zaczęta jest druga. A jednak w lasach Janówki myślało się, że to dopiero początek. Tak i jest, Chłopcy, ciąg dalszy pisania zastąpi życie. Niby na brudno jeszcze, niby w brulionie, a daj nam Boże, by to był jeszcze lepszy szkic kreślony tylko pod słońce i w słońcu, mieście zawieruchy.

[s. 99] Powracających z lasu witały najmilsze wsie chlebem i solą. Pamiętacie ten przemarsz radosny przez bliskie sercu tereny? A wjazd do Białej

[Podlaskiej]²²⁴, gdzie ludzie usypali nam drogę kwiatami – i płakali. Zwyczajnie, bez patosu, bez gestów. Całe miasto. Coś to, Chłopcy, znaczyło i znaczy.

Pamiętacie, jak marzyliśmy o przedarciu się do walczącej Warszawy? I jak nie było nam dane ani wtenczas, ani potem. Choć rwały się serca i dusze... .

Pamiętacie, co było później?²²⁵ Wszystko to nic. Jest dobrze, Chłopcy. Oby tylko w sercach, obok gotowości czynu, nie weszło nigdy ziarno nienawiści do swoich. Zbłąkanych czy błędzących, ale to ciągle są swoi. Walczcie przeciw idei, a ratujcie człowieka. Wróg zewnętrzny niech bierze odwet. Ojczyznę się kocha nawet w niewoli ślepych.

Nasza droga wiedzie dalej poprzez ruiny Warszawy do Polski niezależne, do Bożej i człowieczej Ojczyzny.

Myślę, żeśmy się zrozumieli, Koledzy.

[s. 119] *Powrót*

Nie zawrócimy się zbożem szeleszczącym, zielonym
W tamten czerwiec, w tamte noce niebieskie.
Chabry zgasły. A miłość weszła w wieńcu czerwonym
I opłotła szalejami nam ręce.

Gdzieś urwała się piosnka, gdzieś zgubiła się ścieżka,
W ścianach żyta, w zapachu koniczyn...
Drzwi zaparto do chaty, w której nikt już nie mieszka.
Deszcz w gałęziach smutek godzin odlicza.

²²⁴ Po nieudanej próbie przedarcia się z Leszczanki przez linię frontu do ogarniętej walkami powstańczymi Warszawy, por. S. Wyrzykowski „Zenon” zawrócił oddział z rejonu Huszlewa i Kornicy, kierując przez Sitnik, w miejsce odtwarzania 34 pp AK. 7 sierpnia 1944 r. ulicą Sitnicką oddział wkroczył do Białej Podlaskiej. Następnie przeszedł ulicami: Artyleryjską, Piłsudskiego, plac Wolności, Warszawską, Kraszewskiego, Łomaską i Witońską, zanim zaszył się w lasach na południe od miasta (Burwin i Sokule). 11 sierpnia 1944 r., unikając rozbrojenia przez Sowietów, oddział rozbroił się w lesie koło wsi Zawadki (między Międzyrzecem Podlaskim a Białą Podlaską).

²²⁵ Aluzja do drugiej konspiracji skierowanej przeciw sowieckiej okupacji.

Baśń zakwitła ostróżką i dmuchawcem na łące,
To ją ścięto wraz z trawą w sianokosy.
Przyszło żniwo upalne, od błyskawic się tłące
I zamiotło ścierniska żalem kłosów.

Idzie jesień w jabłonie, w śliwy mokre od rosy,
Na porębach babim latem wiatr wieje.
Chodź. Ostrożnie utulim na posłaniu z wrzosów
Nasze zmarłe, zapłakane marzenie.

Zdjęcia*



Por. Stefan Wyrzykowski „Zenon”.

* Zdjęcia pochodzą z albumu *W matni. Z dziejów podziemia niepodległościowego na Podlasiu w latach 1939–1956*, red. M. Bechta, Biała Podlaska–Warszawa 2008.

Kpr. pchor. Ludwik Maciąg „Sas”.



Patrol konny. Na pierwszym planie dowódca plutonu kawalerii wachm. Antoni Kucharski „Wołodziejowski”.





Wielkanoc 1944: na kwaterze w Kobylanach. Od lewej: ppor. Czesław Makaruk „Gruda”, ułan Jerzy Wójcik „Bebi”, Wanda Frankowska „Wanda”, strz. Józef Skowron „Wieniawa”, Maria Kolczak, kpr. Kazimierz Wojtkiewicz „Wysoki”, Halina Szczepańska, kpr. Eugeniusz Fedorowicz „Stary”, Jadwiga Sajnowna, Zofia Fijałkowska zd. Frankowska „Zozo”, ppor. Jan Giewartowski „Janek”.



Część plutonu radiowego. Od lewej: kpr. Roman Bogusiewicz „Lew”, kpr. Józef Hać „Henryk”, kpr. Zbigniew Wyrzykowski „Granat”, st. sierż. Leonard Melaniuk „Unita”.



Drużyna „sowiecka”. Szósty od lewej stoi polski dowódca drużyny plut. pchor. Kazimierz Jasiński „Długi” (z pistoletem maszynowym PPSz.).

Uroczystość poświęcenia i wręczenia sztandaru. Przekazuje go klęczącemu por. Stefanowi Wyrzykowskiemu „Zenonowi” dr Witold Wróblewski z Łosic – ojciec chrzestny sztandaru.

Za Wróblewskim z prawej strony Zofia Chrzanowska z majątku Dziadkowskie – matka chrzestna sztandaru. Jeziory 29 czerwca 1944 r.



Uroczystość poświęcenia sztandaru.





W obozie leśnym. Od lewej: kpr. Edmund Lisiecki „Jaskółka”, ułan Alojzy Krajewski „Zezowaty”, Maria Lewicka (żona „Rogali”), wachm. Stanisław Lewicki „Rogala”, ppor. Bolesław Dąbrowski „Zdzisław”, kpr. Wiesław Biedrzycki „Gozdawa”, wachm. Adam Wojtaszczyk „Kmicic”.



Oddział w drodze do nowego miejsca postoju. Pierwszy z prawej ppor. Bolesław Dąbrowski „Zdzisław” – dowódca III plutonu.

Przemarsz
przez Białą
Podlaską. Na
czele plutonu
kawalerii
od lewej:
st. wachm.
Lucjan
Mężyński
„Grzmot”,
por. Stefan
Wyrzykowski
„Zenon”,
wachm.
Stanisław
Lewicki
„Rogała”.
Sierpień 1944.



Patrol kolarzy
z I/34 pp AK.
W środku
szer. Zbigniew
Lubowicki „Kruk”.
Sierpień 1944.



ANEKSY

ANEKS nr 1

1944, 30 czerwca – Odpis meldunku OP 34 AK o podjęciu amerykańskich lotników zestrzelonych przez Niemców nad Woronicem 21 czerwca 1944 r. przekazanego przez komendanta Obwodu AK Siedlce mjr. Mariana Zawarczyńskiego „Ziemowita” do BIP w KG AK w Warszawie.

Odpis

W dniu 21.6. br. o godz. 12.45 zauważyliśmy masowy przelot samolotów ponad naszym m.p. Jak się później okazało, były to samoloty amerykańskie typu latających fortéc eskortowane przez myśliwce amerykańskie Mustang. Jedna z fortéc dostała się w ogień dwóch Messerschmidtów, które wyleciały znienacka zza chmur. Forteca została trafiona. Samolot znajdował się mniej więcej na wysokości 6000 m[e]tr[ów] i na tle nieba ujrzeliśmy rozwijające się spadochrony, których naliczyliśmy dziesięć, samolot zaś pikując, spadał prostopadle do ziemi. Rozrzut spadochronów był wielki. Odległość od pierwszego do ostatniego wynosiła około 7 km. Placówki zewnętrzne naszego oddziału, znajdujące się blisko miejsca strącenia rozpoczęły poszukiwania za „chłopcami z nieba”. Lotem błyskawicy obiegła okolicę wieść o strąceniu samolotu amerykańskiego. Nareszcie amerykanie na polskiej ziemi!!! Strącenie nastąpiło w sąsiedztwie pewnej placówki n[ie]p[rzyjacie]la, gdzie znajduje się około 50 Niemców, dobrze uzbrojonych, którzy otworzyli ogień z broni maszynowej i ręcznej, do lądujących na spadochronach lotników amerykańskich. W ten sposób rannych zostało 3-ch lotników, którzy dostali się do niewoli niemieckiej. Trzech z załogi odebrały nasze placówki zewnętrzne, odstawiając ich do punktów kontaktowych.

Oddział znajdował się w tym czasie daleko od miejsca wypadku, lecz fakt ten został przez wszystkich dobrze zaobserwowany. Dca oddz. ustalił

na sztabówce kierunek lądowania spadochroniarzy i udał się natychmiast w pościg na czele plutonu kawalerii, 3-ch ckm'ów na taczankach oraz jednego plutonu strzeleckiego na wozach drabiniastych. Wszystko to pędziło wyciągniętym galopem przez wieś, pola i łąki, by jaknajszybciej dostać się do celu. Po osiągnięciu miejsca lądowania patrol stwierdził, że oddział npla zbliża się w tyralierce w kierunku, w którym stwierdzony został pobyt lotników amerykańskich. Na rozkaz d-cy pluton piechoty wraz z ckm'ami zajął stanowiska na wzgórzach i ogniem zmusił npla do zaprzestania dalszych poszukiwań. Wykorzystując przerwę npla w poszukiwaniach pluton kawalerii, odnalazł 4-ch lotników amerykańskich ukrytych w zbożu o 200 m. od miejsca walki, w której npl miał straty w zabitych i rannych. Po wykonaniu zadania oddział wycofał się bez strat do swego mp, gdzie znalazło schronienie przed ciężką niewolą niemiecką 7 lotników amerykańskich.

/-/ Dreaudnaught²²⁶

Mp. 25.6.1944

Za zgodność opisu:

*Ziemowit*²²⁷

K.O. Jesiona

Jesion K.O.

30.06.44

Wiśła VI-Borys

Powyżej przesyłam do wykorzystania w B[iurze] I.[nformacji] opis przejęcia załogi fortecy amerykańskiej zestrzelonej w dn. 21 bm. Przejęcia dokonał oddział partyzancki 34 pp. Na osobnym arkuszu przesyłam krótkie słowa,

²²⁶ Dreaudnaught – anglojęzyczna wersja pseudonimu kpr. Szarfy „Liniowca” z OP 34 AK. Z bliżej nieznanых powodów raportu nie podpisał dowódca oddziału AK, tylko jego podkomendny. Zaważyła o tym pewnie świetna znajomość języka angielskiego (prócz „Liniowca”, tylko cichociemny „Żonkil” władał biegle tym językiem).

²²⁷ Kpt. WP/mjr AK Marian Zawarczyński (1899–1945) „Mir”, „Ziemowit”. Uczestnik II i III powstania śląskiego. Oficer służby stałej WP. We wrześniu 1939 r., jako oficer sztabowy 23 DP, wyróżnił się w walkach z Niemcami pod Oleśnicą. W ZWZ od marca 1940 r. początkowo jako komendant Obwodu Grójec. W czerwcu 1941 r. mianowany komendantem Obwodu Siedlce, pełnił tę funkcję nieprzerwanie do chwili aresztowania przez NKWD 4 listopada 1944 r. 25 stycznia 1945 r. skazany przez sowiecki sąd wojskowy w Kutnie na karę śmierci i stracony 16 lutego 1945 r.

określone przez każdego z uratowanych od niewoli członka załogi, przeznaczone dla Armii Podziemnej.

1. zał.

*Ziemowit
K.O.*

Odpis

Partisans Brothers, We are fortunate to have landem on your soil as we have learned much of the wonderful work the Polish People are doing.

Pilot

Bracia Partyzanci. Jesteśmy szczęśliwi, że mogliśmy wylądować na waszej ziemi, gdyż zapoznaliśmy się z cudowną działalnością Polskiego Narodu.

Pilot ppor.

We cannot thank you enough for the wonderful treatment we have received. God speed our Victory.

Co-Pilot

Nie mamy dość słów podziękowania za wspaniałe obejście się z nami, za to, jak nas przywitano. Niech Bóg przyspieszy nasze zwycięstwo.

Zastępca Pilota ppor.

We realize the great danger to which you have subjected yourself while protecting us from the enemy. For this we are more grateful than words can express.

Navigator

Zdajemy sobie sprawę z wielkiego niebezpieczeństwa, na jakieście się narażali, ochraniając nas przed wrogiem. Za to wdzięczni jesteśmy ponad wszelkie słowa.

Navigator Ppor.

We were amazed of the marvelous organisation of the Polish Undergrounds.

Bombardier

Jesteśmy zachwyceni zdumiewającą organizacją Polских [sic! Polskiego]
Podziemi[a].

Bombardier Ppor.

We shall never forget the many kindness show to us by the Polish Partisans.
Engineer

Nigdy nie zapomnimy wielu dowodów życzliwości okazanych nam przez
polskich partyzantów.

Mechanik pokładowy
St. sierżant

We all hope that Poland will win the Freedom, she so much deserved.
Ist Career Gunner

Wszyscy mamy nadzieje, że Polska zdobędzie wolność, na którą tak zasługuje.
Strzelec płatowcowy [sic! pokładowy]
Sierżant

Your treatment of us we be remembered long after the war is over. We Ame-
rican Salute you.

Mechanic Gunner

Będziemy długo po skończonej wojnie pamiętali, jak odnosiliście się do nas.
My Amerykanie oddajemy Wam cześć.

Strzelec mechanik

Za zgodność odpisu i tłumaczenia
Komendant Obwodu Jesion
„Ziemowit”

m-p-29/VI 44

Źródło: AAN, AK, 203/X-69, k. 137–138. Maszynopis. Kursywą zaznaczono
odręcznie zapisane fragmenty raportu.

ANEKS nr 2

1945 – marzec, fragment broszury wydanej przez II Korpus Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie z obszernym omówieniem i tłumaczeniem przez Polską Agencję Telegraficzną artykułu z prasy amerykańskiej o uratowanych lotnikach USA przez podziemie AK na Podlasiu.

Przygody lotników amerykańskich zestrzelonych nad Polską

(PAT) „Saturday Evening Post” z dnia 30 XII 1944 ogłosił obszerne opowiadanie lotników amerykańskich z załogi bombowca, którzy podczas lotu operacyjnego zostali 21 czerwca 1944 r. zestrzeleni nad Polską. Lotnicy amerykańscy dostali się pod opiekę Armii Krajowej, wśród której przebywali do dnia 28 lipca 1944. W tym dniu lotnicy amerykańscy zostali przekazani przez Armię Krajową dowództwu rosyjskiemu, a z Rosji powrócili na Zachód.

Opowiadanie lotników amerykańskich zostało opracowane przez kpt. Charlesa Finstona i por. Stefana Kossaka, którzy uprzejmie zgodzili się na publikację ich pracy w wydawnictwach polskich, obsługiwanych przez PAT'a.

* * *

Załoga ciężkiego bombowca amerykańskiego, który wyleciał 21 czerwca 1944 z lotniska na Zachodzie, a następnie lądowania na lotnisku sowieckim – składała się z 10 ludzi.

Nad Warszawą

Po zbombardowaniu celu niemieckiego – opowiadają lotnicy amerykańscy – wzięliśmy kierunek na lotnisko sowieckie [w Połtawie]. Lecieliśmy nad Warszawą na wysokości około 4500 metrów. Tam dostaliśmy się w silny ogień artylerii p[rzeciw]lot[niczej], która jednak nie wyrządziła nam szkód. Koło Białej Podlaskiej nadleciał samolot niemiecki Me 109 i ostrzelał nas. Szkoda

była nie do naprawienia, ponieważ dwa silniki przestały działać, a poza tym w skrzydle wyrwana została duża dziura. Samolot przechylił się gwałtownie na lewe skrzydło i zaczął opadać. Dowódca samolotu wydał załodze rozkaz skakania na spadochronach.

Po skoku na spadochronie

Sierż. Hutchinson, mechanik opisuje swoje wrażenia w następujących słowach:

Kiedy wylądowałem i zrzuciłem spadochron oraz kamizelkę ratunkową, podszedłem do ludzi pracujących w polu. Ludzi tych widziałem już podczas skoku. Będąc o jakieś 25 kroków, zawołałem: „American”, na co tamci odkrzyknęli mi: „Comrade, comrade”. Wyjąłem podręczny słowniczek angielsko-polsko-niemiecko-rosyjski i pokazałem w nim zdanie: „Czy możecie mnie ukryć”.

Skierowali mnie do domu, a dwaj ludzie zanieśli za mną mój sprzęt. Powiedzieli mi, że są Polakami. Kiedy przy pomocy słownika pytałem ich, gdzie są wojska rosyjskie – pokazali na południowy wschód, zaznaczając przytem ruchami, że bardzo daleko. Wojska rosyjskie były o 80 mil, jak się potem dowiedziałem od tłumacza. Natomiast, gdy zapytałem o wojsko polskie, odpowiedziano mi, że oddziały polskie są blisko i zaraz tu będą. Z rozmowy na migi wywnioskowałem, że wojsko niemieckie było wszędzie dokoła.

Polacy od razu zabrali się do nakarmienia mnie. Nie bardzo miałem apetyt po wstrząsie, jaki wywołało zestrzelenie nas i skok ze spadochronu. Niemal przemocą zmusili mnie, bym zjadł jajecznicę, ser i czarny chleb, którego dotąd nie znałem, oraz abym się napił miodu.

Spotkanie z oddziałem AK

Wkrótce przybył podporucznik Hernandez, pilot samolotu, którego nakarmiono również. Zapytaliśmy się znowu, czy możemy się ukryć. Dwóch ludzi zabrało koce i z nimi poszliśmy w pole. Tam nadjechał na rowerze Polak, jak się okazało kwatermistrz oddziału 34 pułku piechoty stojącego w lasach w pobliżu. Mówił dobrze po angielsku, był przed wojną kierownikiem kina

w Warszawie i nosił pseudonim „Liniowiec”²²⁸, który przetłumaczył na „Dreadnought”. Doradzał nam on, aby czemprowadznej uciekać z tej okolicy, ponieważ Gestapo nas poszukuje. Tymczasem lekarz oddziału partyzanckiego opatrzył ppor. Hernandeza i około godz. 20.00 ruszyliśmy w dalszą drogę wozami. Lekarz był studentem 6-go roku wydziału lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego²²⁹. Radził on sobie doskonale, mimo że miał on stosunkowo niewiele lekarstw. W jego apteczce przeważały lekarstwa niemieckie, głównie preparaty Bayera.

Zanim ruszyliśmy wozami w dalszą drogę kilku ludzi pojechało naprzód na rowerach, aby sprawdzić, czy nie ma Niemców. Uderzyła nas ogromna ilość rowerów, będących w posiadaniu Armii Krajowej. Drogę bardzo starannie rozpoznawano naprzód według mapy, a potem przez patrole rozpoznawcze rowerzystów. Jechaliśmy szybko. Po domach, gdzie zatrzymywaliśmy się na wypoczynek, otrzymywaliśmy napoje owocowe i mleko.

Wspaniała organizacja Armii Krajowej

Do wsi [Harachwosty] przybyliśmy około godz. 23.00. Znajdował się tam oddział polski liczący około 200 ludzi, w tym oddział rozpoznawczy kawalerii i kilka wozów. Oddział obozował w lesie, strzeżony przez strażę i czujki. Dowódca miał szczegółowe wiadomości o położeniu Niemców i o własnych oddziałach. Łączność była zadziwiająca. Nastrój był bardzo dobry. Wśród żołnierzy Armii Krajowej uderzała duża dyscyplina, z takimi formami zewnętrznymi jak salutowanie, meldowanie się itp. W oddziale prowadzone było stałe wyszkolenie oparte o przedwojenne polskie regulaminy i instrukcje, których kilka egzemplarzy było w dowództwie oddziału. Umundurowanie żołnierzy Armii Krajowej nie było jednolite. Były dawne polskie mundury, brytyjskie battle dresy i mundury niemieckie z polskimi odznakami. Niektórzy mieli mundury funkcjonariuszy pocztowych. Dbałość i mundur, i porządek zewnętrzny była duża. Wiek żołnierzy Armii Krajowej był różny. Najmłodszy z żołnierzy tego oddziału 34 pułku piechoty miał lat 14. Chłopak stracił oboje rodziców, którzy zamordowani zostali przez Gestapo. Nazwano

²²⁸ Kpr. Zygmunt (Tadeusz) Szarfa.

²²⁹ Por. Paweł Zodrow „Mruczek”.

go „Mały”²³⁰ – pomagał on przy koniach i przy kuchni. Najstarszy z partyzantów (nazwę „partyzanci” używali żołnierze tego pułku, mówiąc o sobie, zarówno po polsku, jak i po angielsku przez tłumacza) miał lat 58. Był on oficerem i nazywano go „kapitanem”²³¹. Był on powszechnie lubiany. Zastępca dowódcy por. „Wuj”²³² miał lat 45 i znał się bardzo dobrze na wojsku.

Po wyjeździe z tej miejscowości lotnicy amerykańscy ruszyli w dalszą drogę. Do 30 czerwca udawało im się uniknąć spotkania z Niemcami, którzy wszędzie poszukiwali lotników.

Potyczka z Niemcami

Pod wieczór 30 czerwca zatrzymaliśmy się w jakimś domu [w dworze w Chotyczach]. Kiedy spożywaliśmy posiłek, nadeszła wiadomość, że zbliżają się Niemcy. Uciekliśmy wtedy do sadu. Niemcy (ścigające nas oddziały składały się z żołnierzy Gestapo i oddziałów rosyjskich na służbie niemieckiej) dostrzegli nas. Musieliśmy wycofywać się przez zboże pod ogniem nieprzyjaciela. Niemców było około 500 – oddział polski liczył około 200 ludzi. Niemcy uzbrojeni byli w broń maszynową, a nawet mieli lekki czołg. Większa część oddziału polskiego w lesie była otoczona [pod Jeziorami] i położenie wydawało się bardzo ciężkie. Po dłuższej walce Polacy zdołali się wymknąć z otaczającego ich pierścienia i małymi grupkami przesunęli się gdzie indziej. Niemcy spalili wioskę, w której zatrzymali się lotnicy amerykańscy. Lotnikom udało się również uciec i dotarli oni do miejscowości, gdzie ukryli się w stodole, dokąd im przynoszono pożywienie. Niemcy krążyli w okolicy, szukając w dalszym ciągu lotników amerykańskich, jednak bezskutecznie.

²³⁰ N.N.

²³¹ Kpt. WP Rafał Zwoliński (1894–1977) „Sosna”. Służył w armii rosyjskiej w czasie I wojny światowej. Od listopada 1917 r. w szeregach 4 Dywizji Strzelców Polskich. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. W latach 1926–1931 oficer w 56 pp w Krotoszyźnie. Przeniesiony w stan spoczynku w stopniu kapitana. Do wybuchu II wojny światowej prowadził majątek w Chwaliszewie. W czasie okupacji niemieckiej z rodziną uciekł na Podlasie. Schronienie znalazł z majątku Henryka Przewłockiego w Mordach i tu związał się z konspiracją. Od 1942 r. pracował w Nadleśnictwie Mordy (leśniczówka Jeziory). W październiku 1944 r. ujęty przez Sowieców i wywieziony do łagru w ZSRS. Do rodziny wrócił w 1949 r.

²³² Chodzi zapewne o wachm. AK Stanisława Lewickiego „Rogałę”.

Straty niemieckie w powyższej bitwie wyniosły 48 zabitych. Straty polskie: jeden zabity i dwóch rannych²³³.

Defilada oddziałów AK na cześć Amerykanów

Lotnicy amerykańscy stwierdzają, że żołnierze Armii Krajowej bardzo dbali o nich i starali się nie tylko ich uchronić, ale także uprzyjemnić pobyt w oddziale. Któregoś dnia jeden z lotników amerykańskich poprosił o czapkę niemiecką. Na drugi dzień żołnierze Armii Krajowej dostarczyli Amerykanom trzech jeńców niemieckich i lotnik mógł sobie wybrać jedną z trzech czapek.

W dniu 4 lipca 1944 oddział 34 pp Armii Krajowej, który opiekował się lotnikami amerykańskimi, urządził na ich cześć defiladę oddziału z okazji święta narodowego Ameryki²³⁴. Dowódca oddziału wygłosił krótkie przemówienie okolicznościowe, które zostało przetłumaczone na język angielski.

Sierż. Hutchinson, mechanik samolotu przytacza powiedzenie dowódcy 34 pp Armii Krajowej, iż: „Niemcy dostaną lotników amerykańskich w swe ręce dopiero wtedy, gdy zginie ostatni Polak”.

„To nie było mówione na wiatr” – oświadcza sierż. Hutchinson. – „Gdybyśmy przez całe życie pracowali dla Polaków, to i tak nie odpłacimy im za to, co dla nas zrobili”.

Oddziały rosyjskie na służbie niemieckiej

Oddziały wojskowe formowane z jeńców rosyjskich pochodzących ze wschodniej Rosji („Mongolowie” – jak ich określali Amerykanie, lub „Kałmucy” – jak mówi o nich ludność polska) były plagą dla ludności. Nie pozwalali ludziom zbierać grzybów i jagód, rabowali bezbronną ludność polską, upijali się często i wtedy mordowali się wzajemnie. Polskie oddziały napadały na tych niemieckich „Mongolów” i zadawały im straty.

²³³ Straty polskie wyniosły 2 zabitych i 12 rannych.

²³⁴ W pobliżu wsi Lipniaki (pow. Radzyń Podlaski).

Pewnej nocy oddział Armii Krajowej zabrał znaczne zapasy żywności z farmy niemieckiej, pozostającej pod opieką i kierownictwem niemieckim²³⁵. Zabrano m.in. świnie, cielęta, worki z mąką itp.

Około 10 lipca przysłała do obozu wiadomość, że niemieckie dzienniki doniosły o śmierci lotników amerykańskich. Dowódca oddziału Gestapo, który stał na czele ekspedycji, mającej na celu znalezienie lotników, został odznaczony krzyżem żelaznym za tę „uwieńczoną powodzeniem” wyprawę²³⁶.

Szczegóły organizacji Armii Krajowej

Sierż. Hutchinson opisuje, że przeciętny dzień pracy w oddziale 34 pp Armii Krajowej wyglądał następująco:

O godz. 5.00 pobudka, poczem wspólna modlitwa całego oddziału połączona z odśpiewaniem pieśni. Po modlitwie odbywały się ćwiczenia sportowe (gimnastyka, bieg w lesie itp.). Po śniadaniu odbywało się czyszczenie rejonu zakwaterowania, poczem do obiadu i po obiedzie po oddziałach przerabiano ćwiczenia wojskowe. [Po wszystkich?] odbywało się czyszczenie broni.

Oddział podzielony był na mniejsze grupy, które prowadziły samodzielną gospodarkę żywnościową i wyznaczały codziennie dyżurnego. Dyżurny zajmował się nie tylko dostawą żywności, ale również i jej przyrządzeniem.

Z początkiem lipca [1944] dołączył do oddziału AK kapelan, który odprawił nabożeństwa²³⁷. „Był on dla nas wszystkich bardzo dobry – opowiadają amerykańscy lotnicy. – Otaczał nas opieką, cieszył się wśród żołnierzy wielkim miem i zaufaniem i potrafił dostarczać żołnierzom najbardziej niespodziewanych rzeczy. Któregoś dnia np. kapelan przywiózł żołnierzom pudełko słodczy”. Kapelan rozdał lotnikom amerykańskim krzyżyki i szkaplerze.

Żołnierze 34 pp Armii Krajowej dostawali od czasu do czasu urlopy wypoczynkowe, a czasem zdrowotne. Jeden z żołnierzy dostał dwutygodniowy urlop na swój ślub. Żołnierz odjeżdżający na urlop zostawiał broń w oddziale; oddawano ją tym, którzy broni nie mieli. W Armii Krajowej nie było nadmiaru uzbrojenia.

²³⁵ *Liegenschaft* (niem.).

²³⁶ Zapewne chodzi o lipcowy numer „Völkischer Beobachter”.

²³⁷ Ks. Jan Karnicki „Miś”.

Służba łączności w Armii Krajowej działała bardzo dobrze. „Powstańcy mają jakiś dziwny, a niezawodny sposób podawania sobie wiadomości – opowiadają Amerykanie. – Łączność między działającymi niezależnie oddziałami jest bardzo dobra. Mają także z góry wyznaczone miejsca zbiórek, tak że na wypadek rozproszenia zawsze potrafią się odnaleźć.

Służba radiowa w oddziale działała bardzo dobrze²³⁸. Sprzęt radiowy w doskonałym stanie. Najczęściej słuchaliśmy z Londynu audycji po polsku. Bywało to albo o godz. 11.15 albo o 17.45, rzadziej i godz. 20.45. Tłumacz tłumaczył nam wiadomości. Kilka razy zdołaliśmy odebrać również wiadomości z Londynu w języku angielskim”.

Oddział miał kilka kuchen polowych typu wojskowego, używanych w Polsce przed wojną. We wsiach w czasie przemarszów przyjmowano żołnierzy Armii Krajowej bardzo serdecznie i gościnnie. Żywności było dosyć, z wyjątkiem kilku dni podczas walk z Niemcami, kiedy o dowóz było trudno.

Lekarz dbał bardzo o stan zdrowotny oddziału. Żołnierze dostawali zastrzyki przeciw tyfusowi, przeciw czerwonce itp. Zastrzyki były wyrobu niemieckiego (preparaty Bayera). Amerykanie ze zdziwieniem i z wielkim uznaniem stwierdzają, że ciężiej chorych żołnierzy Armii Krajowej posyłano do szpitali, skąd po wyleczeniu wracali do oddziału. „Jakim sposobem się to działo, nie wiemy” – mówią Amerykanie.

Poczta działała bardzo dobrze. Poszczególni żołnierze dostawali listy, oczywiście, niezbyt często, ale je dostawali.

Amerykanie wyrażają się z uznaniem o wyszkoleniu strzeleckim oddziału. W oddziale był rusznikarz, doskonały fachowiec²³⁹. Żołnierze AK bardzo dbali o swą broń, utrzymywali ją we wzorowej czystości: „Polacy nie marnują amunicji – mówili Amerykanie – strzały, oddawane spokojnie, były niemal zawsze celne. Stąd też wynika, że w czasie bitew Niemcy ponosili duże straty, a Polacy stosunkowo nieznaczne”.

W oddziale była tylko jedna kobieta. Była to pielęgniarka Marta²⁴⁰. Męża jej zabili Rosjanie w czasie okupacji Polski w roku 1939.

²³⁸ Radiostacja KG AK (R-31) obsługiwana przez cichociemnego por. St. Kujawińskiego „Żonkila”.

²³⁹ Zbrojmistrzem OP był st. sierż. Jan Antoni Kwoka „Jurand”.

²⁴⁰ Alina Chrzanowska-Fedorowicz „Marta”.

Pomysłowość żołnierzy

„Pomysłowość żołnierzy Armii Krajowej jest zadziwiająca” – opowiadali lotnicy amerykańscy. Ani jeden strzępek jedwabiu ze spadochronu nie zmarnował się. Z jedwabiu zrobiono bieliznę. Było to bardzo praktyczne, ponieważ robactwo, o które tak łatwo w warunkach życia polowego, nie trzyma się bielizny jedwabnej. Pasy z osprzętu spadochronowego przerobiono na uprząż dla koni pociągowych.

Ordynans lotników amerykańskich

Dowódca oddziału Armii Krajowej, który opiekował się nami, przydzielił nam ordynansa 14-to letniego chłopca. Nazywano go w oddziale żartobliwie „szefem” lotników amerykańskich. „Szef” dbał o nas, dostarczał nam jedzenia i papierosów. Dostawaliśmy zwykle po 30 i 40 papierosów dziennie. Papierosy były niemieckie. Bywały jednak dni, kiedy nie było co palić. W dniu bitwy straciliśmy naszego „szefa” z oczu. Na drugi dzień nasz 14-to letni „szef” dołączył do oddziału, przenosząc ze sobą pudło kartonowe pełne amunicji. Pozatem obwieszony był taśmami amunicyjnymi do karabinu maszynowego. Opowiedział nam, że zabrał to wszystko z samochodu niemieckiego na szosie.

Amerykanom nic w tym czasie nie brakowało, prócz maszynek do golenia, choć nożyki mieli. Potem dostali również maszynki do golenia.

Propozycja zdobycia lotniska

Zaraz w pierwszych dniach po lądowaniu zaproponowano lotnikom amerykańskim ucieczkę samolotem. Dowódca oddziału Armii Krajowej planował zdobycie jakiegoś lotniska niemieckiego na kilka godzin, co umożliwiłoby lotnikom ucieczkę samolotem niemieckim. Amerykanie jednak nie zgodzili się na ten plan: uważali bowiem, że Armia Krajowa może ponieść w czasie takiej akcji duże straty, a poza tym liczyć się z tym, że trudno jest podejmować lot, nie mając dostatecznie sprzętu niemieckiego.

Bitwy Armii Krajowej z Niemcami

„Spędziliśmy w Polsce 37 dni z oddziałami Armii Krajowej” – opowiadają lotnicy amerykańscy. – „W tym czasie byliśmy 26 razy alarmowani, że Niemcy są w pobliżu i widzieliśmy bitwy staczane przez oddział 34 pp z regularnym wojskiem niemieckim”.

23 lipca 1944 oddział nasz znajdował się w marszu w kierunku Brześcia n/Bugiem, kiedy nadjechała duża kolumna samochodowa z zaopatrzeniem. Polacy zaatakowali kolumnę [pod Kozłami]. Eskorta została wybita, wozy zniszczone. Zabrano dużą zdobycz. Polacy wycofali się bez strat. W następstwie tej akcji Niemcy wysłali przeciwko Polakom ekspedycję liczącą około 1000 ludzi. Oddział 34 pp, przy którym byli lotnicy amerykańscy, liczył około 300 ludzi. Wojska niemieckie zaatakowały Polaków na drodze. Niemcy mieli przewagę w ludziach i w uzbrojeniu. Pomimo tej przewagi Polacy zatrzymali Niemców tak długo, dopóki wozy taborowe oddziału – a było ich 15 – nie wjechały do lasu. Oddział polski wycofał się w porządku. Niemcy ponieśli znaczne straty. Bitwa trwała 7 godzin.

W dwa dni później 25 lipca 1944 oddział 34 pp stoczył drugą bitwę [pod Leszczanką-Janówką]. Walki toczyły się w lesie, a po stronie niemieckiej brały udział samoloty. Pod koniec bitwy Polakom brakło już amunicji.

W okresie między 10–20 lipca 1944 oddział 34 pp atakował ciągle wycofujących się z frontu Niemców, zadając im ciężkie straty.

Przez cały czas naszego pobytu w oddziałach Armii Krajowej prowadzone były walki z Niemcami na mniejszą lub większą skalę. Oddziały Armii Krajowej były w nieustannym ruchu. Przeciętnie dziennie przesuwały się o 7–20 km. Największą przestrzeń oddział AK przebył 3 lipca 1944 r., wtedy odbyto marsz długości 65 km²⁴¹. Oddział chciał się oderwać od nieprzyjaciela. Na drugi dzień po tym forsownym marszu, tj. 4 lipca 1944 odbyła się wspomniana defilada żołnierzy Armii Krajowej na cześć lotników amerykańskich, w dniu święta narodowego St.[anów] Zjedn[oczonych].

²⁴¹ Odskok OP po bitwie z Niemcami z rejonu Jezior koło Łosic na południe w rejon lasów kąkolewnicko-turowskich (rejon wsi Lipniaki). Miał on miejsce wcześniej z 1 na 2 lipca 1944 r. Tu do podkomendnych dołączył ich dowódca „Zenon” z Amerykanami osłanianymi przez zwiad konny pod dowództwem wachm. St. Lewickiego „Rogali”.

Spotkanie z wojskami rosyjskimi

26 lipca 1944 r. dołączyło do oddziału Armii Krajowej 12 żołnierzy węgierskich w pełnym uzbrojeniu²⁴². Uciekli oni z Białej Podlaskiej, gdzie, jak mówili, 2 dywizje zostały otoczone przez Rosjan. Dowódca polski wydał wtedy rozkaz maszerowania na spotkanie wojsk sowieckich. W marszu w stronę Białej Podlaskiej oddział kawalerii wpadł w potrzask, natknął się bowiem na skrzydło niemieckiego oddziału, posuwającego się szosą. Niemcy usiłowali otoczyć kawalerzystów polskich, którzy zdołali się wymknąć²⁴³.

Wycofaliśmy się następnie pod silnym ogniem niemieckim. Wtedy mieliśmy możliwość obserwowania skuteczności ognia polskiego. Na jeden z polskich ciężkich karabinów maszynowych, obsługiwany przez dwóch ludzi – Niemcy nacierali skokami. Do natarcia poszło 40 żołnierzy niemieckich. Po trzecim skoku nie podniósł się żaden. Serie polskiemu ckm'owi wybiły ich do nogi. Walkę tę obserwowali lotnicy amerykańscy z bardzo bliskiej odległości²⁴⁴.

Pomimo takich sukcesów napór niemiecki wzrastał.

Niemcy wycofywali się pod naporem wojsk rosyjskich od strony Białej Podlaskiej. Amunicja nasza zaczęła się wyczerpywać w miarę przeciągania się bitwy. Mieliśmy straty. Groziło nam okrążenie niemieckie.

W tej krytycznej chwili nadszedł pierwszy patrol sowiecki liczący około 50 ludzi i wyposażony w radiostacje polowe, za pomocą których kierowano ogniem artylerii²⁴⁵. Rosjanie po zorientowaniu się w sytuacji skierowali ogień na Niemców, którzy otaczali nasz oddział. Skutek był szybki. Niemcy wycofali się. Ta bitwa trwała 10 godzin: od godz. 10.00 do 20.00.

Rosjanie pozostawili przy oddziale Armii Krajowej dwóch żołnierzy jako łączników, a jeden z żołnierzy AK poszedł jako łącznik do Rosjan²⁴⁶. Po

²⁴² Omyłka w dacie. Węgrzy zostali zgarnięci wcześniej, przed bitwą z Niemcami pod Leszczanką-Janówką, która rozegrała się 25 lipca 1944 r.

²⁴³ Fałszywy opis początku bitwy AK z Niemcami pod Leszczanką 25 lipca 1944 r. To pluton kpr. R. Domańskiego „Jaracha” uderzył na kolumnę niemiecką, odnosząc chwilowy sukces. Potem nastąpiło kontrnatarcie wroga, które odrzuciło Polaków z zajmowanych linii obrony.

²⁴⁴ Lotnicy amerykańscy kategorycznie odmawiali wzięcia udziału w walkach z okupantem. Zachowali specyficznie pojmowaną „neutralność” w GG.

²⁴⁵ Nieściskość. Sowietci dotarli już na pobożowisko, po stoczonych walce.

²⁴⁶ Mowa o patrolu kpr. Domańskiego „Jaracha”, który prowadził rozpoznanie na rzecz Armii Czerwonej w stronę Międzyrzeca Podlaskiego.

bitwie dowódca oddziału AK pojechał wraz z nami do dowódcy najbliższego oddziału rosyjskiego i zgłosił nas władzom rosyjskim. Dowódca rosyjski obiecał zawiadomić swoich przełożonych i przysłać po nas samochód.

28 lipca przybył do wsi [Janówka-Danówka], w której staliśmy, major sowiecki. Pojechaliśmy z nim, z dowódcą oddziału AK i z adiutantem polskiego generała (lotnicy amerykańscy nie są pewni nazwiska tego generała; przypuszczają, że był to adiutant gen. Bora²⁴⁷) samochodem sowieckim do dowództwa sowieckiego. Tam sowiecki pułkownik podpisał rewers, na którym stwierdził, że odebrał od dowódcy polskiego lotników amerykańskich. Każdy z nas podpisał również pokwitowanie dla dowódcy Armii Krajowej, że dostawił nas do Rosjan. Na pokwitowaniu wymieniono nazwiska, stopień i numer ewidencyjny.

Pozostaliśmy z Rosjanami.

„Nasze rozstanie z żołnierzami Armii Krajowej” – mówią lotnicy amerykańscy – „było ciężkie. Przywiązaliśmy się bardzo do tych ludzi, którym tyle mamy do zawdzięczenia”.

Stosunki polsko-rosyjskie

Nastrojów antyrosyjskich, jak opowiadają lotnicy amerykańscy, w oddziale Armii Krajowej nie było. Stosunki między żołnierzami Polakami a Rosjanami były serdeczne i koleżeńskie. O żadnych trudnościach [...] sowieckich w czasie swego pobytu w oddziale Armii Krajowej lotnicy amerykańscy nie widzieli. Odsiecz rosyjska powitana była ze szczerym zapałem nie tylko jako pomoc, ale także jako pomoc sojuszników. Ani dowódca oddziału Armii Krajowej, ani tłumacz nigdy nie opowiadali lotnikom amerykańskim o żadnych roszczeniach sowieckich. Podpisywanie rewersów i kwitów na odstawienie ich do Rosjan Amerykanie uznawali za chęć posiadania ciekawych dokumentów w kronice oddziału.

Zresztą oddział AK utrzymywał starannie prowadzony dziennik bojowy i specjalny pisarz dbał i uzupełnianie wszystkich wiadomości.

²⁴⁷ Faktycznie mowa o gen. bryg. Ludwiku Bittnerze „Halce” – dowódcy 9 Podlaskiej DP AK.

Dругa propozycja ucieczki samolotem

Polacy kilka razy ponawiali ryzykowny projekt ucieczki samolotem niemieckim. W ostatnich dniach pobytu lotników amerykańskich w oddziale AK przybył oficer lotnictwa polskiego, którego tłumacz przedstawił jako dowódcę polskich sił lotniczych okręgu Lublin²⁴⁸. Polskie siły lotnicze były przeznaczone do opanowywania lotnisk niemieckich. Oficer ten zaproponował Amerykanom, że dostarczy im samolot niemiecki z pilotem znającym sprzęt, który ich wywiezie z Polski. Amerykanie jednak nie zgodzili się, ponieważ wydawało się im, że straty przy próbie opanowania lotniska byłyby bardzo duże.

Zenon

Dowódca oddziału 34 pp, przy którym byli lotnicy amerykańscy, miał pseudonim Zenon²⁴⁹. Miał on 28 lat i był oficerem wojsk polskich służby stałej. Zenon był spokojny i opanowany. Cieszył się wielkim szacunkiem i zaufaniem swych podkomendnych. Orientował się znakomicie w terenie, a podczas walki, kiedy położenie zmieniało się z chwili na chwilę, potrafił swoimi rozkazami paraliżować akcję przeciwnika. Był doskonale zawsze poinformowany o ruchach nieprzyjaciela.

Zenon nosił automatyczny pistolet belgijski z tłoczoną na nim oznaką niemieckiego Wehrmachtu. Chodził zwykle w mundurze, ale kiedy wybierał się sam na rozpoznanie, wkładał ubranie cywilne.

Amerykanie charakteryzują żołnierzy Armii Krajowej jako odznaczających się dużą inicjatywą.

W jednej z potyczek, kiedy oddział AK przygotował zasadzkę na niemiecką kolumnę samochodową – młodzi żołnierze na jednym ze stanowisk nie wytrzymali nerwowo i otworzyli ogień ze zbyt dużej odległości. Zmieniło to całkowicie położenie i spowodowało, że Niemcy mieli możliwość

²⁴⁸ W tym czasie szefem referatu lotnictwa (Oddział III) w Komendzie Okręgu AK Lublin był kpt. rez. WP/mjr AK Janusz Mościcki „Jacek”, „Bocian”. Organizował operację pod kryptonimem „Most I” pod Bełżycami.

²⁴⁹ Por. Stefan Wyrzykowski „Zenon”.

zorganizowania obrony. Pomimo to akcja zakończyła się zwycięsko, dzięki dowodzeniu Zenona, który swymi rozkazami uniemożliwił Niemcom wykorzystanie sytuacji.

Anglik, Franco, Janczar

Pod Międzyrzecem oddział 34 pp zetknął się z oddziałem należącym do 35 pp. Płatnik tego oddziału mówił doskonale po angielsku i zanim przyłączył się do Armii Krajowej, dawał lekcje języka angielskiego. Musiał jednak swój zawód nauczycielski porzucić z powodu swej działalności politycznej. Służył w czasie poprzedniej wojny w armii kanadyjskiej, po tym przeszedł we Francji do oddziałów polskich i w Polsce się osiedlił. Do Kanady nie wrócił już nigdy. W oddziale nosił pseudonim Anglik²⁵⁰.

Inny oficer oddziału 35 pp występował pod pseudonimem Franco²⁵¹ i zawdzięczał swe nazwisko udziałowi w wojnie domowej w Hiszpanii.

Pewnego dnia przybył do oddziału AK generał polski²⁵² z pułkownikiem, który występował pod pseudonimem Janczar²⁵³. Generał (prawdopodobnie był to dowódca Armii Krajowej gen. Bór) przybył wraz z oficerami do miejsca postoju oddziału w ubraniu cywilnym. Był trzy razy zatrzymywany przez Niemców, którzy kontrolowali papiery. Generał polski rozmawiał z lotnikami amerykańskimi, zapytywał, jak im się powodzi, interesował się ich potrzebami i życzeniami i zapewnił ich, że odeśle ich do Rosjan, skoro to tylko będzie możliwe.

²⁵⁰ „Anglik” (NN) – przybył najprawdopodobniej z Warszawy. Z powodu postawionych mu zarzutów (nie znamy ich charakteru) w czasie „Burzy” i Odtwarzania Sił Zbrojnych przebywał przy 34 pp AK w Leszczance. Dalsze jego losy są nieznane.

²⁵¹ Pchor. Józef Pietraszek „Franco” (adiutant dowódcy 35 pp AK).

²⁵² 13 lipca 1944 r. OP 34 stacjonujący w lasach pod Polskowolą wizytował gen. bryg. Ludwik Bittner „Halka” – dowódca 9 Podlaskiej DP AK.

²⁵³ Mjr WP/ppłk AK Lucjan Szymański (1897–1945) „Janczar”. Oficer służby stałej WP. Uczestnik wojny 1939 r. Od grudnia 1939 r. w ZWZ-AK. Początkowo pełnił funkcję oficera do zleceń w Komendzie Okręgu ZWZ-AK Warszawa-Miasto. W 1943 r. objął stanowisko inspektora w Podokręgu „Wschód” Obszaru Warszawskiego AK (obwody: Mińsk Mazowiecki, Siedlce, Sokołów Podlaski, Węgrów). 23 grudnia 1944 r. zatrzymany przez NKWD. Wyrokiem WSG w Warszawie z 14 lutego 1945 r. skazany na karę śmierci i zamordowany 4 marca 1945 r. w więzieniu przy ul. 11 Listopada na warszawskiej Pradze.

Od pułkownika Janczara Amerykanie dostali proporczyki ułańskie z wrytą na odwrocie datą jego pierwszego z nimi spotkania: „26.VI.1944” i napisem „Janczar”. Generał dostał od Amerykanów na pamiątkę banknot dolarowy.

Amerykanie dostawali również od żołnierzy oddziału AK różne odznaki, między innymi POS²⁵⁴.

* * *

Na tym kończy się opowiadanie lotników amerykańskich o ich przygodach w Polsce. Z pośród 10-ciu członków załogi ciężkiego bombowca amerykańskiego 1 zginął, 2-ch dostało się do niewoli²⁵⁵.

Opowiadanie to jest bardzo wymownym dokumentem, przedstawiającym bohaterskie zmagania się żołnierzy Armii Krajowej, walczącej w bardzo ciężkich warunkach walk partyzanckich, z przytłaczającą przewagą nieprzyjaciela. Opowiadanie to nabiera szczególnej wartości, ponieważ przedstawia wrażenia autentycznych i obiektywnych świadków doli i niedoli polskiej Armii Krajowej.

K O N I E C

Źródło: Polska Armia Krajowa. Dokumenty i publikacje dotyczące działalności Polskiej Armii Krajowej, Włochy, Rzym marzec 1945, s. 10–14.

²⁵⁴ Państwowa Odznaka Sportowa (P.O.S.) ustanowiona została 27 czerwca 1930 r. rozporządzeniem Rady Ministrów (MP, nr 169, z 24 lipca 1930 i nr 9 z 13 stycznia 1931). Odznakę wprowadzono, mając na uwadze podwyższanie umiejętności fizycznych zarówno ogółu społeczeństwa, jak i wojska. Pierwsze odznaki pojawiły się w 1931 r.

²⁵⁵ Z 10-osobowej załogi amerykańskiej superfortecy 7 lotników uratowali Polacy, a 3 trafili do niewoli niemieckiej i po II wojnie światowej wrócili do USA. Zginął pilot zestrzelonego myśliwca F-51 „Mustang” por. Frank T. Sibbett (pochowany na cmentarzu w Międzyrzeczu Podlaskim).

Miejsca kwaterowania OP „Zenona”
w okresie objętym opowiadaniem „Marty”²⁵⁶

- 2 III Kolonia Krynica
- 6 III Wygnanki
- 10 III Kolonia Krynica
- 12 III Siliwonki
- 13 III Popławy
- 14 III Michałki
- 15 III Kolonia Mielnik
- 16 III Mielnik, las majątku Dziadkowskie
- 17 III Kolonia Droblin
- 18 III Popławy
- 23 III Wyrzyki
- 25 III Sewerynów
- 26 III Wyczółki
- 27 III Litewniki
- 29 III Władysławów
- 31 III Kolonia Ogrodniki
- 1 IV Szpaki
- 4 IV Kolonia Wyrzyki
- 6 IV Kobylany
- 11 IV Dziadkowskie
- 13 IV Kolonia Krynica
- 16 IV Kolonia Wyrzyki/Władysławów
- 19 IV Kobylany
- 24 IV Litewniki
- 26 IV Kolonia Szpaki
- 29 IV Wygoda

²⁵⁶ Na podstawie: S. Łukaszuk, *„Był więc Oddział, jeden z wielu, byli chłopcy tak jak inni...” Powstanie i działalność OP 34 pp 9 Podlaskiej Dywizji Piechoty AK dowodzonego przez Stefana Wyrzykowskiego ps. Zenon*, Łódź 2011, s. 38–40.

- 30 IV bagna koło wsi Krynica
- 1 V Lipniaki
- 4 V Kolonia Krynica
- 6 V Kobyłany
- 11 V Kolonia Krynica
- 14 V Kolonia Jezioro
- 17 V Kolonia Wyrzyki
- 19 V Kolonia Władysławów
- 20 V Las Floria
- 21 V Olszynka
- 23 V Las Hołowczyce
- 27 V Kolonia Szpaki
- 28 V Górki
- 31 V Kolonia Krynica
- 2 VI Sosenki
- 3 VI Ptaszki Jajki
- 4 VI Pietrusy
- 5 VI Radlnia
- 6 VI Kolonia Korczówka
- 11 VI Jezioro
- 16 VI Kolonia Krynica
- 18 VI Sewerynów
- 19 VI Hołowczyce
- 21 VI Harachwosty
- 23 VI Litewniki
- 26 VI Ogrodniki
- 28 VI Jezioro
- 1 VII Kolonia Krynica
- 2 VII Olszewnica
- 3 VII las Lipniaki
- 15 VII Polskowola
- 17 VII las Łomazy
- 20 VII Wólka Korczewska
- 22 VII Korczówka
- 24 VII las Leszczanka, Danówka, Janówka
- 26 VII wieś Leszczanka

- 1–4 VIII rajd w rejonach wsi Huszlew i Kornica
- 5 VIII Sitnik
- 7 VIII Biała Podlaska
- 8 VIII Burwin
- 9 VIII Sokóły
- 11 VIII las koło Zawadek

ANEKS nr 4

Wykaz pseudonimów występujących w tekście

Alfred	Józef Całczyński
Aleksander	Aleksander Łacic; kpr. pchor.
Atleta	Stanisław Koc; kpr.
Baca	Tadeusz Rusecki; kpr.
Balacha	Zdzisław Ponikowski; plut.
Bartek	Leonard Dunicz; ppor.
Blondyn	Stanisław Pasek
Boguś	Bogusław Jastrzębski; strz.
Bohun	Wacław Perycz; kpr.
Bomba	Czesław Łukaszuk; kpr.
Brono	N.N.; wachm.
Brzytewka	? Basista; szer.
Cezary	Stanisław Celmer; st. sierż.
Chojar	Tadeusz Chojecki; szer.
Cygan	Ferdynand Pietruczuk; szer.
Czarny Janek	Jan Lesiewicz
Dąbek	Stanisław Kaliszek; szer.
Felek	Mieczysław Łaszczuk; kpr.
Gacek	Jerzy Gromczyński; szer.
Gozdawa	Wiesław Biedrzycki; kpr.
Granat	Zbigniew Wyrzykowski; kpr.
Grażyna	Henryka Lipko-Hardygóra <i>vel</i> Galińska
Grot	Zdzisław Kwoka; kpr.
Groźny	Mieczysław Wójtowicz; st. sierż.
Gruda	Czesław Makaruk; ppor.
Grzmot	Lucjan Mężyński; st. wachm.
Gustaw/Gucio	Tadeusz Strzałkowski; kpr.
Henryk/Heniek	Józef Hać; kpr.
Hermes	Zbigniew Kwiek; strz.
Jacek	Konstanty Sacharczuk; kpr.
Janek	Jan Giewartowski; kpr. pchor./ppor.
Janusz	Janusz Olszewski; strz.

Jarach	Robert Domański; kpr.
Jaskółka	Edmund Lisiecki; kpr.
Jastrząb	Kazimierz Biernacki; plut.
Jerzy	Franciszek Sokołowski
Jesion	Leonard Bielecki
Jurand	Jan Antoni Kwoka; st. sierż.
Kapelan	ks. Jan Karnicki
Kogut	Szymon Maciejuk; kpr.
Kolejarz	Edward Subotkowski; plut.
Komendant	zob. Zenon
Konar	Antoni Samoć
Kostia	Konstanty Prockij
Kropidelko	Roman Ostapski; szer.
Kruk	Zbigniew Lubowicki
Ksawery	Konstanty Witkowski; mjr
Kuba	Tadeusz Borowicz; szer.
Lanca	Tadeusz Nostitz-Jackowski; kpr.
Latawiec	Alfons Wiszowaty; kpr.
Lech	Jerzy Kwoka; szer.
Lew	Roman Bogusiewicz; kpr.
Liniowiec	Zygmunt Szarfa; kpr./plut.
Lucyna	Lucyna Czajka (Kujawińska)
Lwowiak	Kazimierz Hardygóra <i>vel</i> Galiński; plut./pchor.
Machaja	N.N.
Mały	N.N.
Marian	Witold Sobczak
Marta	Alina Chrzanowska (Fedorowicz); kpr./ppor.
Mucha	Jan Marusak; kpr.
Narbutt	Stefan Lemieszek; ppor.
Oksza	Krzysztof Orzechowski; strz.
Roch	Aleksander Wereszko; por.
Rogala	Stanisław Lewicki; wachm.
Rola	Robert Gumowski; ppor.
Rudy I	Robert Strzegomski; szer.
Rudy II	Krzysztof Górczyński; kpr.
Ruski/Doktorek	Zbigniew Papliński; kpr.

Rymsza	Władysław Zaborowski; szer.
Sas	Ludwik Maciąg; kpr. pchor.
Sewer	Zygmunt Tarkowski; kpr.
Sławek	Jan Kadłubowski
Słuchawka	Edward Jarmułowicz
Smyk	Piotr Wiszowaty; szer.
Stary	Eugeniusz Fedorowicz; kpr.
Stokrotka	Krystyna Zaborowska-Czarkowska
Sylwester	Jan Rutkowski; plut.
Tata	zob. Zenon
Tyka	Jan Tyczyński; szer.
Vis	Stanisław Kaczor; kpr.
Wacek	Wacław Szydłowski; kpr.
Wichracki	Mieczysław Radzikowski; kpr.
Wichura	Julian Wilczyński; sierż. pchor.
Wieniawa	Józef Skowron; strz.
Wir	Bernard Dziubalski; szer.
Wujek	Jan Tokarski; ppor.
Wrona	N.N.
Wrzos	Zygmunt Łukaszuk; plut.
Zaprawa	Zygmunt Wiszowaty; szer.
Zdzisław	Bolesław Dąbrowski; por.
Zenon	Stefan Wyrzykowski, por./kpt.
Zimny	Wiesław Kwoka; szer.
Znicz	Augustyn Kisielewski; franciszkanin
Zygmunt	Wacław Łaniewski; plut./pchor.
Żonkil/Staś	Stanisław Kujawiński; por.
Żuraw	Władysław Bocian; kpr.

Bibliografia

- Archiwum Akt Nowych w Warszawie, Akta Aliny i Eugeniusza Fedorowiczów.
Archiwum Akt Nowych w Warszawie, Armia Krajowa, sygn. 203/X-69.
Archiwum Państwowe w Lublinie, Ortskommandantur I/524.
Archiwum Państwowe w Lublinie, Związek Walki Zbrojnej – Armia Krajowa
Okręg Lublin.
Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego, Komisja Egzaminów Magisterskich 4450
(Alina Kłopotowska).
Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Krakowie, sygn. 010/6653, Akta operacyjne
KW MO w Krakowie dot. Aliny Fedorowicz.
Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Lublinie, sygn. IPN Lu-17/507 (d. sygn.
559/47), Akta śledcze w sprawie Leonarda Dunicza.
Zakładowe archiwum Zespołu Szkół Specjalnych nr 3 w Krakowie.
- Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 3: (kwiecień 1943–lipiec 1944),
Londyn 1976.
- Chrzanowska-Fedorowicz A., *Idzie żołnierz borem, lasem*, [w:] *Armia Krajowa na
środkowej i południowej Lubelszczyźnie i Podlasiu. Materiały sesji naukowej
KUL*, 24–25 IX 1985 r., red. T. Strzembosz, Lublin 1993.
- Chrzanowska-Fedorowicz A., *O niektórych z Wojskowej (i nie wojskowej) Służby
Kobiet*, [w:] *Armia Krajowa na środkowej i południowej Lubelszczyźnie i Podlasiu.
Materiały sesji naukowej KUL*, 24–25 IX 1985 r., red. T. Strzembosz, Lublin 1993.
- Chrzanowska-Fedorowicz A., *Służba sanitarna w OP 34 Zenona*, [w:] *Armia
Krajowa na środkowej i południowej Lubelszczyźnie i Podlasiu. Materiały sesji
naukowej KUL*, 24–25 IX 1985 r., red. T. Strzembosz, Lublin 1993.
- Chrzanowska-Fedorowicz A., *Życie codzienne oddziału „Zenona”*, [w:] *Armia
Krajowa na środkowej i południowej Lubelszczyźnie i Podlasiu. Materiały sesji
naukowej KUL*, 24–25 IX 1985 r., red. T. Strzembosz, Lublin 1993.
- Fedorowicz A., *Przygody z Ojczyzną* (wspomnienia w wersji elektronicznej w zbiorach
Jerzego Fedorowicza).

- Frankowski K. „Kajtek”, *Na ścieżkach Podlasia. Wspomnienia z dziecięcych, okupacji, PRL-ki i III RP*, Lublin 2009.
- Giewartowski J., *Moja młodość*, Siedlce 2010.
- Gryciuk F., Matusak P., *Represje NKWD wobec żołnierzy podziemnego Państwa Polskiego w latach 1944–45*, t. 1: *Wybór źródeł*, Siedlce 1995.
- Kister A.G., *Meldunki sytuacyjne Komendy Okręgu Lublin AK maj–lipiec 1944*, Lublin 1998.
- Kordaczuk S., *Bitwa Oddziału Partyzanckiego „Zenona” w Jeziorach*, Siedlce 2008.
- Kordaczuk S., *Wywiad z Aliną Sawicką*, Zawadki 21 sierpnia 2003 r., Kaset 530 (rękopis notacji w zbiorach Mariusza Bechty).
- Łacic W., *Oddział Partyzancki 34 pułku piechoty AK „Zenona” Obwodu AK Biała Podlaska*, [w:] *Armia Krajowa na środkowej i południowej Lubelszczyźnie i Podlasiu. Materiały sesji naukowej KUL, 24–25 IX 1985 r.*, red. T. Strzembosz, Lublin 1993.
- Łukaszuk S., *„Był więc Oddział, jeden z wielu, byli chłopcy tak jak inni...” Powstanie i działalność OP 34 pp 9 Podlaskiej Dywizji Piechoty AK dowodzonego przez Stefana Wyrzykowskiego ps. Zenon*, Łódź 2011.
- Mulak Ł., *Wstęp do zespołu Związek Walki Zbrojnej – Armia Krajowa Okręg Lublin*, APL 2008.
- Rozkaz Delegata Sił Zbrojnych na Kraj nr 319 (Żyto)*, red. H. Rybicka, Warszawa 2004.
- Sawicki T., *Działania wojenne na Podlasiu latem 1944 roku*, „Szkice Podlaskie” 1994, nr 4.
- Sawicki T., *Niemieckie wojska lądowe. Czerwiec 1944–maj 1945 (struktura)*, Warszawa 1987.
- Sroka J., *9 Podlaska Dywizja Piechoty Armii Krajowej*, Biała Podlaska 1995.
- W matni. Z dziejów podziemia niepodległościowego na Podlasiu w latach 1939–1956*, red. M. Bechta, Biała Podlaska–Warszawa 2008.
- Z notatnika „Marty” Aliny Fedorowicz z OP „Zenona” 34 pp 9 Podlaskiej Dywizji Armii Krajowej*, red. B. Wyczółkowska-Łotocka, Biała Podlaska 2013.

Indeksy

Indeks osób

- „Aleksander” zob. Łacic Witold
„Alf” zob. Lemieszek Stefan
„Alfa” zob. Zaborowska-Czarkowska Krystyna
„Alfred” zob. Całczyński Józef
„Alina” zob. Sędzimir Maria Anders Władysław 90
„Atleta” zob. Koc Stanisław
- „Balacha” zob. Ponikowski Zdzisław
Bałdyga Konstantyn 70
Barczyński Mirosław 24
„Bartek” zob. Dunicz Leonard
Basista 101, 158
Bechta Mariusz 3, 7, 23, 71, 74, 131, 162
Belina-Prażmowski Władysław 51
Biedrzycki Wiesław 42, 114, 121, 135, 158
Bielecki Leonard 121, 159
Biernacki Kazimierz 56, 159
Bittner Ludwik 18, 23, 57, 109, 116, 151, 153
Blasse Edward 17
„Blondyn” zob. Pasek Stanisław
Bocian Władysław 55, 86, 121, 126, 152, 160
Bogusiewicz Roman 84, 133, 159
„Boguś” zob. Jastrzębski Bogusław
- „Bohun” zob. Perycz Wacław
„Bomba” zob. Łukaszuk Czesław
Borowicz Tadeusz 33, 159
Bortnowska Maria 16
„Brono”/„Bruno” (NN) 32, 64, 85, 102–105, 158
„Brylancik” zob. Czajka Lucyna
Brzózka Stanisław ks. 64
„Brzytewka” zob. Basista
Bykowski Władysław 32
- Całczyński Józef 60, 158
Celmer Stanisław 78, 158
„Cezary” zob. Celmer Stanisław
Chmielarski Stanisław 70
„Chojar” zob. Chojecki Tadeusz
Chojecki Tadeusz 18, 119, 120, 126, 158
Chrzanowska Alina zob. Fedorowicz Alina
Chrzanowska Zofia 134
Chrzanowski Jakub 15
Cieślowski Henryk 17
„Cygan” zob. Pietruczuk Ferdynand
Czajka Lucyna 44
„Czarny Janek” zob. Lesiewicz Jan
- „Dąbek” zob. Kaliszuk Stanisław
- Dąbrowski Bolesław 44, 50, 92, 112, 126, 135
„Długi” zob. Jasiński Kazimierz
„Doktor Ruski” zob. Papliński Zbigniew
Domański Robert 10, 19, 40, 54, 86, 111, 114, 120, 121, 125, 150, 159
Drewnowski Roman 10, 32
Drewnowski Stefan 18, 109, 117
„Dudek” zob. Sobieszczak Tadeusz
Dunicz Leonard 12, 13, 41, 158, 161
Dymmel Piotr 2, 4, 8
Dziubalski Bernard 125, 160
- Fedorowicz Alina 3, 6, 7, 12–16, 18–20, 44, 49, 55, 59, 60, 67, 74, 78, 86, 98, 99, 102–104, 147, 155, 159, 161, 162
Fedorowicz Eugeniusz 20, 57, 71, 74, 133, 160, 161
Fedorowicz Jerzy 20, 23
Fedorowicz Maciej 20
„Felek” zob. Łaszczuk Mieczysław
„Fiedia” zob. Pticow Fiodor Fijałkowska Zofia 133
Finston Charles 77, 141
„Florian” zob. Domański Robert
Frankowska Wanda 133

- „Gacek” zob. Gromczyński Jerzy
Gałązka Zbigniew 18
Giewartowski J. 42, 162
Giewartowski Jan 44, 74, 86, 133, 158
„Gołąb” zob. Padysz Władysław
Gorczycki Władysław 16
„Gozdawa” zob. Biedrzycki Wiesław
Górczyński Krzysztof 54, 86, 159
„Granat” zob. Wyrzykowski Zbigniew
„Grażyna” zob. Lipko-Hardygóra *vel* Galińska Henryka
Grocholska Emilia 17
Gromczyński Jerzy 33, 55, 56, 158
„Grot” zob. Kwoka (Grotecki) Zdzisław
„Groźny” zob. Wójtowicz Mieczysław
Gruber Otto 18
„Gruda” zob. Makaruk Czesław
Gryciuk F. 120, 162
„Grzmot” zob. Mężyński Lucjan
Gumowski Robert 101, 159
Gusiew Nikołaj 109, 116
„Gustaw” zob. Strzałkowski Tadeusz

Hać Józef 95, 125, 133, 158
„Halka” zob. Bittner Ludwik
Halpern Feliks 50
Hardejewski Tomasz 89
Hardygóra *vel* Galiński Kazimierz 81, 159
„Henryk” zob. Hać Józef
„Hermes” zob. Kwiek Zbigniew
Hernandez Louis R. 75, 142, 143

Höhne Gustaw 116
Hutchinson 142, 145, 146

Ihnatowicz I. 22
Izdebski Jerzy 23

„Jacek” zob. Sacharczuk Konstanty
Jadwiga Andegaweńska 67
Jałowski Antoni 14
Jan Paweł II 67
„Janek” zob. Giewartowski Jan
„Janusz” zob. Olszewski Janusz
„Janusz” zob. Świeprawski Seweryn
„Jarach” zob. Domański Robert
Jarmułowicz Edward 95, 125, 160
Jarząbkowska Violetta 24
Jasiński Kazimierz 42, 133
„Jaskółka” zob. Lisiecki Edmund
„Jastrząb” zob. Biernacki Kazimierz
Jastrzębski Bogusław 121, 126, 158
„Jemiola” zob. Szatowski-Szatyński Jan
„Jerzy” zob. Sokołowski Franciszek
„Jesion” zob. Bielecki Leonard
„Jurand” zob. Kwoka Jan Antoni

„Kaczmarek” zob. Szarfa Zygmunt (Tadeusz)
Kaczor Stanisław 92, 125, 160
Kadłubowski Jan 115, 116, 160
Kaliszuk Stanisław 92, 158
„Kapelan” zob. Karnicki Jan ks.
Karnicki Jan ks. 45, 80, 86, 106, 146, 159

„Katusza” zob. Fedorowicz Alina
Kisielewski Augustyn 43, 160
Kister Grażyna 89
Kłopotowska Alina zob. Fedorowicz Alina
Kłopotowski Jerzy 13
Kłopotowski Stanisław 13
„Kmicic” zob. Wojtaszczyk Adam
Kmicic Andrzej 95
Koc Stanisław 17, 43, 57, 101, 158
Kolczak Maria 133
„Komendant” zob. Wyrzykowski Stefan
Kossak Stefan 77, 141
Kotasiewicz Janusz 121
Krajewski 18
Krajewski Alojzy 135
Krawczak Tadeusz 23, 91
„Kruk” zob. Lubowicki Zbigniew
„Kogut” zob. Maciejuk Szymon
„Kolejarz” zob. Subotkowski Edward
„Konar” zob. Samoć Antoni
Kordaczuk Sławomir 24, 74, 162
„Kostia” zob. Prockij Konstanty
Kościuszko 74
Kowalski Roch 99
„Kozioł” zob. Rossiński Czesław
Kriukow Władimir 116
„Kropidełko” zob. Ostapski Roman
„Ksawery” zob. Witkowski Konstanty
„Kuba” zob. Borowicz Tadeusz
Kucharski Antoni 47, 132
Kujawiński Stanisław 9, 20, 32, 39, 74, 85, 138, 147, 160

- Kurczyński Leon 35
 Kwiek Zbigniew 110, 126, 158
 Kwoka (Grotecki) Zdzisław 86, 158
 Kwoka Jan Antoni 100, 147, 159
 Kwoka Jerzy 71, 100, 159
 Kwoka Wiesław 100, 115, 160
- „Lampart” zob. Ratyniec Adam
 „Lanca” zob. Nostitz-Jackowski Tadeusz
 „Latawiec” zob. Wiszowaty Alfons
 „Lech” zob. Kwoka Jerzy
 Lechociński Stanisław 20
 Lemieszek Stefan 44, 67, 85, 159
 Lesiewicz Jan 113, 158
 „Lew” zob. Bogusiewicz Roman
 Lewandowski Walenty 64
 Lewicka Maria 135
 Lewicki Stanisław 10, 87, 94, 100, 112, 118, 135, 136, 144, 149, 159
 „Liniowiec” zob. Szarfa Zygmunt (Tadeusz)
 Lipko-Hardygóra *vel* Galińska Henryka 18, 119, 126, 158
 Lisiecki Edmund 35, 56, 135, 159
 Lubowicki Zbigniew 113, 136, 159
 „Lwowiak” zob. Hardygóra *vel* Galiński Kazimierz
- Łacic Witold 44, 86, 91, 94, 109, 115, 158, 162
 „Łamigłowa” zob. Węgrzyński Franciszek
 Łaszczuk Mieczysław 33, 48, 158
- Łukasiuk Władysław 86
 Łukaszuk Czesław 95, 158
 Łukaszuk Sławomir 24, 155, 162
 Łukaszuk Zygmunt 81, 160
- „Machaja” (NN) 56, 159
 Maciąg Janusz 24
 Maciąg Ludwik 4, 23, 24, 47, 132, 160
 Maciejuk Szymon 33, 159
 Madden Thomas J. 75, 77
 Magier Dariusz 3, 7
 Makaruk Czesław 86, 133, 158
 Małaszkiwicz Ewa 16
 „Mały” (N.N.) 102, 144, 159
 „Mandarynka” zob. Fedorowicz Alina
 „Marian” zob. Sobczak Witold
 „Marta” zob. Fedorowicz Alina
 Marusak Jan 125, 159
 Matusak P. 120, 162
 Melaniuk Leonard 32, 133
 Mężynski Lucjan 101, 136, 158
 „Miecz” zob. Kisielewski Augustyn
 Mikiciuk Wiesław 24
 „Mirka” zob. Wardzińska-Gawrońska Mirosława
 Mirończuk 125
 „Miś” zob. Karnicki Jan ks.
 Mościcki Janusz 152
 Mroczkowski 18
 „Mruczek” zob. Zodrow Paweł
 „Mucha” zob. Marusak Jan
 Mulak Ł. 12, 162
- „Nałęcz” zob. Raczyński Zygmunt
 „Narbutt” zob. Lemieszek Stefan
 Niedziela Stefan ks. 21
- Nikszo Władysław 117
 Nostitz-Jackowska Maria 78
 Nostitz-Jackowski Tadeusz 78, 92–94, 97, 118, 159
- „Oksza” zob. Orzechowski Krzysztof
 Olszewski Janusz 121, 126, 158
 Orlicz-Dreszer Gustaw 15
 Orzechowski Krzysztof 121, 159
 Ostapski Roman 89, 126, 159
- Padysz Władysław 100
 Papliński Zbigniew 18, 43, 110, 159, 163
 Pasek Stanisław 125, 158
 Perycz Waław 84, 100, 158
 „Pień” zob. Stasiuk Antoni
 Pietraszek Józef 153
 Pietruczuk Ferdynand 125, 158
 Piskunowicz Henryk 23
 Plewako Janina 13
 Płonski Jan 18
 „Podbiał” zob. Wyrzykowski Stefan
 „Pokrzywa” zob. Fedorowicz Alina
 Ponikowski Zdzisław 112, 126, 158
 Popow Wasyl 116
 Prockij Konstanty 42, 159
 Przewłocki Henryk 144
 Pticow Fiodor 18
 Pułaski 74
- Raczyński Zygmunt 47
 Radzikowski Mieczysław 58, 88, 92, 101, 111, 160
 Radziwiłł Bogusław 95
 Rakoczy Eustachy 21
 Ratold Stanisław 52
 Ratyniec Adam 80
 „Roch” zob. Wereszko Aleksander

- „Rogala” zob. Lewicki Stanisław
 Rogiński Roman 64
 „Rola” zob. Gumowski Robert
 „Roman” zob. Drewnowski Roman
 Roosevelt Franklin D. 77
 Rossiński Czesław 40
 „Rosomak” zob. Wereszko Aleksander
 Różycka de Rosenwerth 28
 „Rudy I” zob. Strzegomski Robert
 „Rudy II” zob. Górczyński Krzysztof
 „Ruski” zob. Papliński Zbigniew
 Rutkowski Jan 86, 100, 160
 Rybarczyk Stanisław 76, 102, 103
 „Rymsha” zob. Zaborowski Władysław
 Rzepecki Jan 19
- Sacewicz Ludwik 12
 Sacharczuk Konstanty 86, 94, 158
 Sajnowna Jadwiga 133
 Samoć Antoni 78, 159
 „Samson” zob. Szabelski Cecylian
 Samulscy 58
 „Sas” zob. Maciąg Ludwik
 „Sasza” zob. Wyrzykowski Stefan
 Sawicka Alina 74, 162
 Sawicki T. 116, 162
 „Sewer” zob. Tarkowski Zygmunt
 Sędzimir Maria 18
 „Sęp” zob. Bykowski Władysław
 Sibbett Frank T. 154
 Sienkiewicz Henryk 95, 99
 Siwiński Józef 2, 7
 Skowron Józef 71, 133, 160
- „Sławek” zob. Kadłubowski Jan
 Słoiński Edward 50
 „Słuchawka” zob. Jarmułowicz Edward
 „Smyk” zob. Wiszowaty Piotr
 Sobczak Witold 112, 116, 159
 Sobieszczak Tadeusz 23, 74
 Sokołowski Franciszek 115, 159
 Soszyński Roman 21
 Starnawski J. 22
 „Stary” zob. Fedorowicz Eugeniusz
 Stasiuk Antoni 23
 „Staś” zob. Kujawiński Stanisław
 „Stokrotka” zob. Zaborowska-Czarkowska Krystyna
 Stolarczyk 70
 Strzałkowski Tadeusz 55, 158
 Strzegomski Robert 125, 159
 Strzembosch T. 109, 161, 162
 Strzęciwilk Józef 117
 Subotkowski Edward 40, 56, 102, 159
 „Sylwester” zob. Rutkowski Jan
 Szabelski Cecylian 20
 Szarfa Zygmunt (Tadeusz) 73, 138, 143, 159
 Szatowski-Szatyński Jan 19
 Szczepaniak Daniel 24
 Szczepańska Halina 133
 Szydłowski Wacław 92, 93, 94, 101, 160
 Szymański Lucjan 153
- Śledź 70
 Świeprawski Seweryn 58, 117
 „Świt” zob. Dunicz Leonard
- Tarkowski Zygmunt 35, 36, 49, 51, 52, 55, 81, 102, 160
 „Tata” zob. Wyrzykowski Stefan
- Timofiejew M.T. 120
 Tommy zob. Madden Thomas J.
 Tuz Jerzy 15
 Tyczyński Jan 55, 160
 „Tyka” zob. Tyczyński Jan
- „Unita” zob. Melaniuk Leonard
- „Wacusi”/„Wacek” zob. Szydłowski Wacław
 Wardzińska-Gawrońska Mirosława 18
 Wasilewska Wanda 60
 Wasilewski Tadeusz 91
 Wereszko Aleksander 50, 51, 95, 159
 Werler 94
 Węgrzyniak Franciszek 55
 „Wichracki” zob. Radzikowski Mieczysław
 „Wichura” zob. Wilczyński Julian
 Wiechecki Stefan 56
 „Wieniawa” zob. Skowron Józef
 Wilczyński Franciszek 64
 Wilczyński Julian 51, 86, 160
 „Wir” zob. Dziubalski Bernard
 Wirska Alina zob. Fedorowicz Alina
 Wiszowaty Alfons 100, 159
 Wiszowaty Piotr 100, 160
 Wiszowaty Zygmunt 100, 160
 Witkowski Konstanty 92, 106, 109, 159
 Władysław Jagiełło 67
 „Wojnar” zob. Rzepecki Jan
 Wojtaszczyk Adam 47, 135
 Wojtkiewicz Kazimierz 133
 „Wołodajowski” zob. Kuchar-ski Antoni
 Wójcik Jerzy 133
 Wójtowicz Mieczysław 121, 126, 158

- „Wrona” zob. Rybarczyk Stanisław
 Wróblewski Witold 18, 80, 134
 „Wrzos” zob. Łukaszuk Zygmunt
 Wyrzykowski Stefan 9, 17–19, 27, 32, 34, 35, 45, 49, 53, 55, 57–59, 65, 68, 70, 72–74, 76, 80, 81, 83, 86–88, 94, 97–100, 104, 106, 109, 111, 113, 115, 119, 120, 124, 129, 131, 134, 136, 149, 152, 159, 160
 Wyrzykowski Zbigniew 18, 55, 133, 158
 „Vis” zob. Kaczor Stanisław
 Zaborowska-Czarkowska Krystyna 34, 160
 Zaborowski Władysław 45, 88, 126, 160
 Zadrożna Helena zob. Fedorowicz Alina
 Zagłoba Onufry 37, 99
 „Zaprawa” zob. Wiszowaty Zygmunt
 Zawarczyński Marian 137, 138
 „Zbigniew” zob. Lechociński Stanisław
 „Zdzisław” zob. Dąbrowski Bolesław
 „Zenon” zob. Wyrzykowski Stefan
 „Zimny” zob. Kwoka Wiesław
 „Znicz” zob. Kisielewski Augustyn
 Zodrow Paweł 18, 143
 Zwoliński Rafał 144
 Zyberk-Plater 48
 „Żonkil” zob. Kujawiński Stanisław
 „Żuraw” zob. Bocian Władysław

Indeks miejscowości

- Bachorza 17
 Biała Podlaska 9, 10, 12, 15–24, 27, 28, 39–42, 44, 48, 49, 51, 55, 58, 59, 63, 64, 70, 71, 74, 79, 86, 91, 108, 109, 111, 115–118, 125, 126, 129, 131, 136, 141, 150, 157, 162
 Białogródka 13
 Białystok 16
 Bobrujsk 13
 Brema 76
 Brześć 16, 43, 57, 86, 108, 109, 116, 120, 125, 149
 Brzeźnica Bychawska 116
 Burwin 114, 129, 157
 Bydgoszcz 15
 Charków 15, 57
 Chotycze 45, 86–88, 95, 126, 144
 Chwaliszew 144
 Cieleśnica 28
 Czerwień 17
 Danówka 121, 151
 Diagilew 57
 Dorohusk 16
 Dubów 109
 Grabarka 113
 Griazowiec 57
 Grodno 15
 Górki 156
 Gródek 116
 Harachwosty 70, 72, 73, 143, 156
 Hołowczyce 95, 156
 Huszlew 20, 68, 125, 129, 157
 Ihumień (obecnie Czerwień) 17
 Janówka 55, 110, 118, 120, 126, 128, 149–151, 156
 Jezioro 18, 48, 51, 74, 78, 79, 82, 87–90, 126, 134, 144, 149, 156, 162
 Kamień Koszyrski 116
 Kąkolewnica 106, 108, 149
 Kijów 13
 Kłodzko 20, 21
 Kobryń 13
 Kobylany 35, 133, 155, 156
 Kolembrody 120
 Kolonia Droblin 155
 Kolonia Jezioro 156
 Kolonia Korczówka 156
 Kolonia Krynica 155, 156
 Kolonia Mielnik 155
 Kolonia Mokre 12
 Kolonia Ogrodniki 155
 Kolonia Szpaki 155, 156
 Kolonia Władysławów 155, 156
 Kolonia Wyrzyki 155, 156
 Komarno 100
 Konstantynów 19, 40, 88, 126
 Korczówka 156
 Kornica 18, 129, 157
 Koszwały 39
 Kowel 15, 16, 116
 Kozielsk 17
 Kozły 44, 49, 111, 149
 Kraków 20, 21, 23, 32, 161
 Krasna 73
 Krasnodęby-Spytki 64
 Krotoszyn 24, 144

- Krynka 42
 Krzymowskie 73
 Leszczanka 115, 118, 129, 149, 150, 156
 Lipniaki 108, 125, 145, 149, 156
 Litewniki Stare 58, 155, 156
 Liwki 87
 Londyn 21, 32, 39, 40, 89, 90, 96, 109, 147, 161
 Lubartów 116
 Lublin 7–9, 11, 12, 19, 51, 74, 86, 89, 91, 92, 109, 116, 152, 161, 162
 Łwów 32, 60, 75
 Łapy 16
 Łomazy 43, 108, 109, 115, 120, 156
 Łomża 15, 58
 Łosice 18, 79, 80, 88, 93, 94, 134, 149
 Łuck 16
 Łuków 42, 44, 59, 64, 109
 Makarówka 17
 Małaszewicze 16, 108
 Małkinia 16
 Michałki 155
 Michałówka 114
 Mielnik 155
 Mierzwice 94, 95
 Międzyrzec Podlaski 10, 11, 42, 71, 108, 109, 116, 120, 129, 150, 153, 154
 Mińsk 17
 Mińsk Mazowiecki 153
 Mokre 120
 Mordy 144
 Moskwa 13, 15, 57, 60
 Nowina 13
 Nowa Huta 21
 Nowy Sącz 14
 Ogrodniki 19, 40, 156
 Oleśnica 138
 Olszewnica 156
 Olsztyn 59
 Olszynka 156
 Opalin 116
 Ossówka 125
 Oświęcim 29, 77
 Parczew 116
 Paryż 124
 Perki 13
 Pietrusy 125, 156
 Pratulin 13
 Pojelce 20
 Polanica Zdrój 20, 21
 Polskowola 108, 153, 156
 Połtawa 71, 141
 Popławy 155
 Poznań 23, 32
 Ptaszki Jajki 156
 Radlnia 156
 Raszyn 30
 Radzyń Podlaski 7, 9, 17, 19, 30, 32, 39, 40, 51, 59, 79, 86, 91, 92, 106, 109, 117, 145
 Riazan 43
 Romanów 51
 Rossosz 12, 79, 109
 Rzym 154
 Sarnaki 24, 92, 93, 94
 Sewerynów 155, 156
 Siedlce 18, 24, 42, 51, 71, 74, 80, 89, 92, 116, 120, 137, 138, 153, 162
 Siemiatycze 64
 Siliwonki 155
 Sitnik 129, 157
 Sitno 120
 Sławatycze 50
 Smoleńsk 13, 17
 Smolne Piece 118
 Sokołów Podlaski 64, 101, 125, 153
 Sokóle 157
 Sokółka 15
 Sosenki 156
 Stare Koszary 16
 Starobielsk 15
 Swory 20
 Sycyna 64
 Szachy 120
 Szczytna Śląska 20
 Szepietówka 13
 Szpaki 155
 Terespol 16, 18
 Tomaszów Lubelski 15, 40
 Treblinka 125
 Turów 64, 86, 91
 Utrówka 120
 Wadowice 58, 59
 Walimie 58
 Warszawa 7, 13–18, 20, 21, 23, 27, 32, 38–40, 44, 50, 51, 55, 56, 73, 80, 89, 103, 109, 116, 120, 125, 127, 129, 131, 137, 141, 143, 153, 161, 162
 Waśkowółka 73
 Węgrów 115, 153
 Wiaźma 13
 Wilno 15, 32
 Wisznice 50, 108
 Witoroż 108, 109, 114, 115, 117
 Władysławów 125, 155
 Włodawa 116
 Wojcieszków 44
 Wołkowysk 15
 Woroniec 72, 137
 Woskrzenice 64
 Wólka Korczewska 156
 Wrocław 21, 22,
 Wyczółki 155
 Wygnanki 155
 Wygoda 155
 Wyrzyki 155
 Zabuzę 95
 Zaklików 15
 Zambrów 15
 Zawadki 10, 18, 74, 129, 162

Wspomnienia Aliny Fedorowicz spisane zostały w 1945 lub 1946 r., a więc nie później niż kilka, kilkanaście miesięcy od opisywanych wydarzeń. To wielki plus tego świadectwa. Wspomnienia powstające kilkanaście, kilkadziesiąt lat po zdarzeniu są mocno obciążone późniejszymi przeżyciami i przyswojonymi po latach interpretacjami. Tekst ten, choć niewątpliwie pisany „ku pamięci”, ma w wielu miejscach świeżość dziennika.

Zdecydowana większość wojennych dzienników i wspomnień wyszła spod ręki mężczyzn i prezentuje typową dla męskiego stylu narrację. Dowiadujemy się z nich, kto co powiedział, jak walczył, odnotowują one ważne wydarzenia polityczne, społeczne, militarne itp. Nie ma w nich kolorów, zapachów, kształtów. Świat uczuć i zmysłów jest traktowany niemal wstydlive. Wspomnienia „Marty” są pod tym względem niezwykle kobiece. Trudno sobie wyobrazić, by tak pisał starający się utrwalić wizerunek nieugiętego bojownika partyzant – mężczyzna.

Wspomnienia te zawierają wiele ciekawych informacji na temat życia codziennego żołnierzy zgrupowania partyzanckiego, organizacji oddziału, kontaktów z otoczeniem, zwyczajach itp. To sprawia, że materiał będzie interesujący nie tylko dla miłośników historii regionalnej.

Z recenzji dr. hab. Rafała Wnuka



ARCHIWUM PAŃSTWOWE
W LUBLINIE



NACZELNA DYREKCJA
ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH

ISBN 978-83-938833-4-9



9 788393 883349 >

ISBN 978-83-64806-33-9



9 788364 806339 >